

Warszawy przedmioty pożądania • Puszczyk wśród relikwii szpitala • Heca z placem
Rysownik Jerzego Kasprzyckiego • Koty książkowe prawdziwe i zmyślone

ISSN 0039-1689 INDEKS 22622X

STOLICA

NR 9-10 (2364-2365) WRZESIEŃ-PAŹDZIERNIK 2022 • 13,50 zł w tym 8% VAT

CANALETTO I NORBLIN
MALARSCY
KRONIKARZE
WARSZAWY
W ZAMKU
KRÓLEWSKIM



Bernardo Bellotto zw. Canaletto, *Ulica Miodowa, 1777*, olej, płótno (fragm.), Zamek Królewski w Warszawie – Muzeum

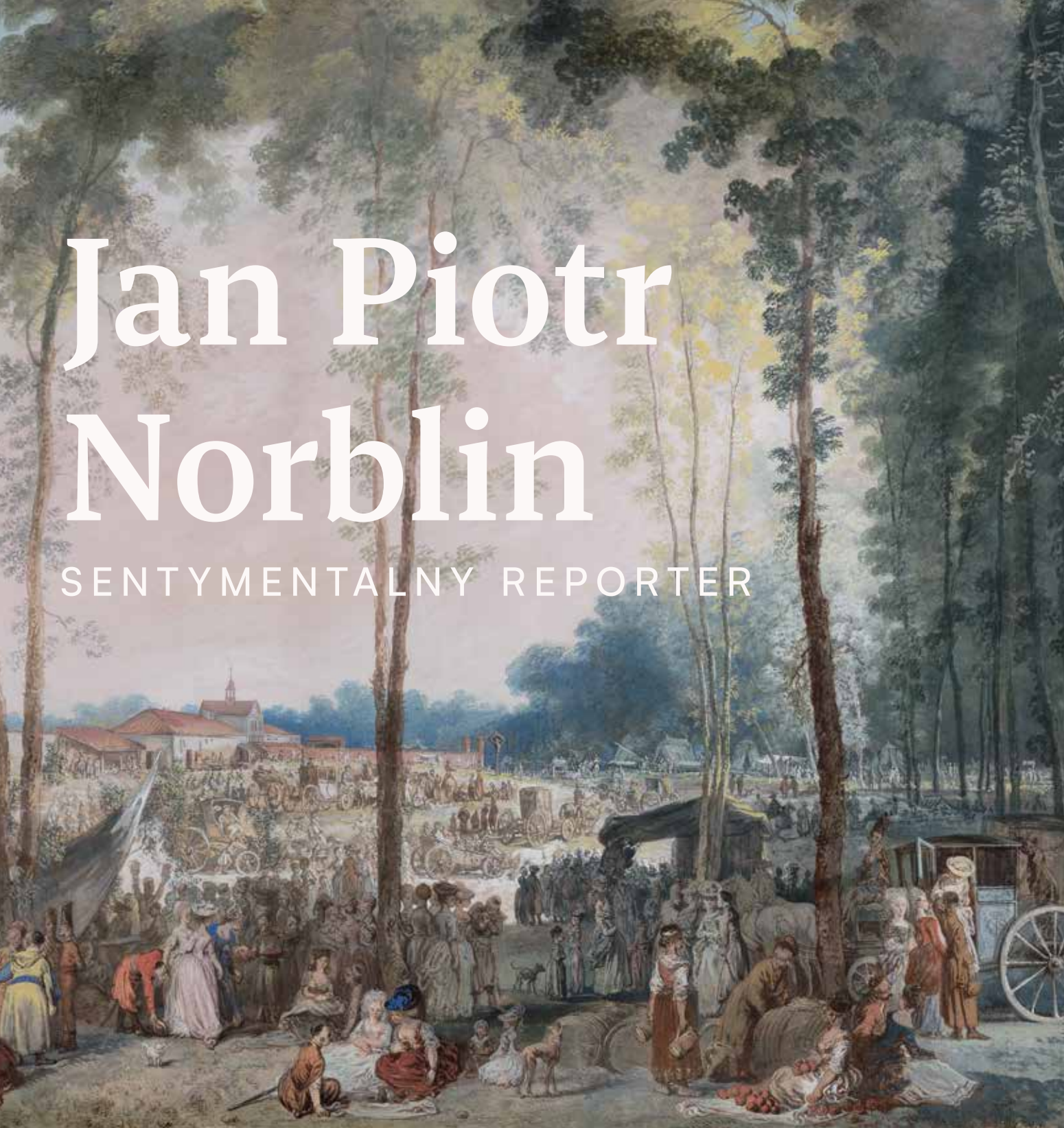
ISSN 0039-1689



9 770039 168224

Jan Piotr Norblin

SENTYMENTALNY REPORTER



WYSTAWA
9.09. — 11.12.2022
PAŁAC POD BLACHĄ
ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

W NUMERZE:

4-5 Kronika miesiąca

CO NAM BUDUJĄ

6 Zaczęło się od hecy. I historia trwa – o placu Pięciu Rogów w nowej odstonie Jerzy S. Majewski

ARCHITEKTURA

16 Symbol epoki czy objaw zafocania? – o architekturze historyzującej międzywojnia Tadeusz Michalski

CODZIENNOŚĆ DAWNEJ WARSZAWY

23 Warszawy przedmioty pożądania – o warszawskich jubilerach opowiada Adrian Sobieszczański

ODPOCZNIJ NA MAZOWSZU

30 Wokół historycznego Mazowsza (cz. 8) – kolejną trasę po mniej znanych zabytkach Mazowsza proponuje Michał Wardzyński

HISTORIA

40 Morsztyn, Sas, Chopin i inni – o dawnych mieszkańcach Pałacu Saskiego opowiada Maria Wardzyńska

44 Puszczyk wśród relikwów szpitala – historyczne założenie dawnego Szpitala Ujazdowskiego przypomina Krzysztof Traczyński

46 145 lat Szkoły Wojciecha Górskiego – Wojciech Brański

ROZMOWA STOLICY

49 *Warszawskie pożegnania* piórkiem Kazimierza Nowaka – z architektem i rysownikiem Kazimierzem Nowakiem rozmawia Tomasz Lerski

KULTURA

55 Życie zwycięża śmierć – Aleksandra Pieterwas o meandrach życia Wiesława Kępińskiego, cudem ocalałego z rzezi Woli

58 Dary dla Zamku – Magdalena Białonowska o Fundacji Zbiorów im. Ciechanowieckich

62 Koniec teatru Słobodzianka? – Tomasz Miłkowski

64 Notatnik kulturalny

68 Barnaba, Bazyli i Gacek – o prawdziwych i zmyślonych kotach książkowych Paweł Dunin-Wąsowicz

74 Zagadka baronówny Kronenberg – Rafał Skąpski

77 Jak Henryk Sienkiewicz wodę łał – o nieznannej inwestycji autora *Trylogii* Włodzimierz Winek

FELIETONY

80 Plac Radości – Maria Terlecka

81 Zaczyna się rok szkolny, kończy plac Pięciu Rogów – Jacek Fedorowicz

82 KS „Warszawianka” – Patrycja Jastrzębska



6

16



30



40

49



68

Elektroniczna wersja STOLICY: www.egazety.pl, www.warszawa-stolica.pl Partnerzy: Narodowe Archiwum Cyfrowe, www.nac.gov.pl, fotopolska.eu

STOLICA

Poprzednie numery *Warszawskiego Magazynu Ilustrowanego STOLICA* można nabyć m.in. w Domu Spotkań z Historią przy ul. Karowej 20 oraz w Muzeum Niepodległości w Warszawie, al. „Solidarności” 62, a także na www.egazety.pl i e-kiosk.pl

Wydawca: EKBIN
ISSN 0039-1689
www.warszawa-stolica.pl, redakcja@warszawa-stolica.pl
tel. 22 741 01 30

Zespół:
Ewa Kielak Ciemniowska (redaktor naczelna)
ewa.stolica@gmail.com
Jerzy S. Majewski
Katarzyna Komar-Michalczyk (sekretarz redakcji)
info@warszawa-stolica.pl

Stale współpracują: Grzegorz A. Buczek, Elżbieta Ciborska, Rafał Dajbor, Paweł Dunin-Wąsowicz, Jacek Fedorowicz, Tatiana Hardej, Michał Krasucki, Małgorzata Kubicka,

prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska, Jan Tomasz Lipski, Tomasz Markiewicz, Ryszard Mączewski, Tomasz Miłkowski, Marcin Mierzejewski, Artur Mościcki, Jacek Olecki, Bogumił Paszkiewicz, Sebastian Pawlina, Michał Pilich, Norbert Piwowarczyk, dr hab. Mateusz Rodak, Rafał Skąpski, Adrian Sobieszczański, Paweł Stala, Przemysław Śmiech, Maria Terlecka, dr hab. Michał Wardzyński

Zdjęcia: Magdalena Hajnosz, Andrzej Kałuszko, Paweł Ciemniowski, Norbert Piwowarczyk, Jacek Sielski, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Warszawy, NAC, Fotopolska, Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, archiwum STOLICY

Opracowanie graficzne: Ideapress sp. z o.o.
Teksty do druku przyjmujemy tylko w formie elektronicznej.

© Copyright STOLICA / Wszelkie prawa zastrzeżone; wykorzystywanie tekstów, ich fragmentów i zdjęć, zarówno w druku, jak i w Internecie – bez zgody redakcji jest niedozwolone. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, wprowadzania skrótów i zmian tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść i formę reklam. Zamówienia na prenumeratę STOLICY w wersji papierowej i elektronicznej – realizowaną przez RUCH SA – można składać bezpośrednio na stronie: www.prenumerata.ruch.com.pl

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO POCHODZĄCYCH
Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY



Na Kopiec Powstania Warszawskiego po półrocznej przerwie powrócił – po odnowieniu – pomnik Polski Walczącej. Kotwicę – znak PW – zamontowano na cokole postawionym na nowo zbudowanej dwupoziomowej platformie widokowej. W centralnym punkcie platformy znajduje się także półtorametrowy uskok eksponujący gruzy zburzonej Warszawy. Na szczyt kopca prowadzi ścieżka, wzdłuż której także rozmieszczany jest gruz ze zrujnowanej stolicy.

Prestżowy tytuł Honorowego Obywatela m.st. Warszawy w tym roku nadano byłej prezydent miasta Hannie Gronkiewicz-Waltz oraz merowi Kijowa Witalijowi Kliczce. Coroczne Nagrody m.st. Warszawy tym razem otrzymali m.in. uczestniczka Powstania Warszawskiego Janina Rożecka „Dora”, dyrektor artystyczny Teatru WARSawy Adam Sajnuik, a także realizujący się w wielu dziedzinach twórczości (autor scenariuszy filmowych, aktor, reżyser, felietonista, satyryk i rysownik) Stanisław Tym. Wśród wyróżnionych znalazły się też organizacje i inicjatywy działające na rzecz miasta i jego mieszkańców, w tym Fundacja Senior w Koronie i Polska Akcja Humanitarna.

Ruszyły prace przy budowie linii tramwajowej do Wilanowa. Już na początku 2024 r. mieszkańcy tej dzielnicy będą dojeżdżać do centrum miasta w 25 minut. Prace rozpoczęto na ulicach Puławskiej, Goworka, Spacerowej, Belwederskiej i Jana III Sobieskiego – od Puławskiej do Beethovna. Mieszkańców czekają duże utrudnienia w ruchu, autobusy miejskie będą kursowały zmienionymi trasami, zawieszono zostaną też tramwaje jadące Puławską na odcinku między ulicą Madalińskiego a placem Zbawiciela.

Kwiaty cieszą oko

Zakończyła się 39. edycja konkursu *Warszawa w kwiatach*. W tym roku do najpiękniejszego stołecznego konkursu przysłano niemal 200 zgłoszeń. Mieszkańcy mogli rywalizować w siedmiu kategoriach. Zwycięzcami zostali:

- **w kategorii balkony, loggie i okna:** Lidia Lorek (Ursynów); Maciej Sawicki (Praga-Południe); Paulina Adamczyk (Wola). Wyróżnienie: Van Pham (Ochota)
- **w kategorii ogrody i ogródki przydomowe:** Agnieszka Mikołajczuk (Ursynów); Monika Mika (Białołęka); Jolanta i Adam Paszkiewicz (Targówek). Wyróżnienia: Marzena i Andrzej Danisz (Targówek); Katarzyna Tuleja-Metz (Śródmieście); Agnieszka Jakubowska-Sawicka (Wawer)
- **w kategorii inicjatywy sąsiedzkie:** Zofia Gądek (Targówek); Centrum Kultury i Aktywności w Dzielnicy Targówek; Ośrodek Wsparcia dla Seniorów nr 1 (Bielany)
- **w kategorii założenia ogrodowe:** Towarzystwo Przytulku św. Franciszka Salezego (Śródmieście); Dom Opieki Oliwska Fundacji Pomoc Potrzebującym (Targówek); Muzeum Powstania Warszawskiego, Pokój na Lato (Wola). Wyróżnienie: Dom Pomocy Społecznej Budowlani (Wola)
- **w kategorii osiedla mieszkaniowe:** Spółdzielnia Inwestycji Mieszkaniowych Ursynów – Osiedle „Pod Brzozami” I i II; Wspólnota Mieszkania Żoliborz Kraińskiego; Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa Praga (Praga-Północ)
- **w kategorii ogródki edukacyjne:** Przedszkole nr 200 „Gąski Balbinki” (Ursus); Przedszkole nr 351 im. Wandy Chotomskiej (Ursynów); Przedszkole nr 143 „Mali Odkrywczy” (Praga-Południe)
- **w kategorii ogrody działkowe** przyznano wyróżnienie dla Pawła Milewskiego (Mokotów).

W konkursie wręczono również trzy nagrody specjalne. Towarzystwo Przyjaciół Warszawy objęło patronatem Nagrodę im. Zofii Wóycickiej dla Nadzwyczajnego Ukwiecenia – w tej kategorii zwyciężyła Renata Fabjańska (Targówek). Dla najbardziej warszawskiej przestrzeni przewidziano nagrodę im. Stefana Starzyńskiego – twórcy konkursu. Otrzymała ją Monika Mika (Białołęka). Ze wszystkich zgłoszeń wyłoniono również najpiękniejsze – „Mister Kwiatów”. Laureatką została Lidia Lorek (Ursynów) – w ramach nagrody wspólnie z projektantką miejskich ukwieceń, ekspertką Zarządu Zieleni Małgorzatą Dudek-Grzegorzewską, zaprojektuje rabaty kwietne w Ogrodzie Saskim, które zakwitną na wiosnę 2023 r. ●



um.warszawa.pl



Wizualizacja przyszłego Centrum Aktywności Międzypokoleniowej, Białołęka

Dla wnuków i dziadków

Na Białołęce przy ul. Ceramicznej 9A powstaje Centrum Aktywności Międzypokoleniowej (CAM), w którym znajdzie się żłobek dla 150 dzieci, a na pierwszym i drugim piętrze – dom dziennego pobytu dla seniorów. Również dla drugiego piętra powstanie placówka wsparcia dla osób z niepełnosprawnością intelektualną ze sprzężeniami i autyzmem. Seniorzy będą mieć zapewnioną pomoc przez osiem godzin dziennie oraz ciepły posiłek. Będą mogli rozwijać także swoje zainteresowania i uczestniczyć w zajęciach utrzymujących sprawność fizyczną.

Centra Aktywności Międzypokoleniowej są tworzone w różnych miejscach na całym świecie i w naturalny sposób wpływają na integrację. Najstarsi mają okazję spotkać się z najmłodszymi nie tylko we wspólnym budynku, lecz również w otwartych przestrzeniach na zewnątrz, np. w ogrodzie społecznościowym czy siłowni plenerowej. Obecnie w stolicy powstaje kilka takich placówek, m.in. na Ochocie i Muranowie, w Wawrze.

Inwestycja realizowana jest w trybie „projektuj i buduj”. Odpowiada za nią konsorcjum firm PBO Śląsk i MTM Budownictwo. Rok temu dzielnica podpisała umowę z wykonawcą, w lutym wykonawca otrzymał pozwolenie na budowę. Gotowe są już fundamenty obiektu i częściowo pierwsza kondygnacja. Inwestycja ma się zakończyć w trzecim kwartale 2023 r. Jej koszt wyniesie ponad 31 mln zł. ●

Będzie więcej zieleni

Miasto planuje sześć nowych parków kieszonkowych. Powstaną na Bielkach (ulica Reymonta), Pradze-Południe (na skrzyżowaniu Fieldorfa i Bora-Komorowskiego), Pradze-Północ (Zamoyskiego), Ursynowie (KEN) oraz na Mokotowie (skrzyżowanie Raclawickiej i Balonowej). W przyszłym roku do użytku oddany zostanie skwer przy skrzyżowaniu ulic Wólczyńskiej i Nocznickiego na Bielkach. Te małe enklawy zieleni będą zajmowały powierzchnię od ok. 400 do ponad 2 tys. m². Rośliny sadzone w stołecznych parkach kieszonkowych są dobierane tak, by ich walorami można było się cieszyć przez cały rok. ●

Rozpoczyna się budowa od lat zapowiadanego parkingu podziemnego na placu Powstańców Warszawy. Obiekt będzie miał cztery kondygnacje z 420 miejscami postojowymi. Zacznie działać na przełomie 2024 i 2025 r. Inwestycja ma kosztować ok. 85 mln zł i zostanie w całości sfinansowana przez spółkę IMMO Park Warszawa. Po 36 latach eksploatacji przekaze ona obiekt Miastu. Jednocześnie przeprowadzony będzie pierwszy etap rewitalizacji i przebudowy placu.

W warszawskich punktach szczepień powszechnych już można się szczepić przed nadchodzącym sezonem grypowym. Działają od poniedziałku do piątku w godz. 8-18 w czterech lokalizacjach: stadion Legii, Białołęcki Ośrodek Sportu przy ul. Strumykowej 2, Ośrodek Sportu i Rekreacji przy ul. Ossowskiego 25, Wawerskie Centrum Kultury przy ul. Żegańskiej 1A. Pod adresem warszawaszczepi.pl znajdują się informacje, jak zarejestrować się na szczepienie.

Centrum Badań nad Kulturą Warszawy Uniwersytetu Warszawskiego we współpracy z Biurem Kultury Urzędu m.st. Warszawy, Instytutem Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego, Muzeum Warszawy, Polskim Towarzystwem Onomastycznym, Warszawskim Obserwatorium Kultury i Zespołem Nazewnictwa Miejskiego ogłasza Konkurs *Nazwy dla Warszawy*. Do 15 października można nadsyłać drogą elektroniczną (cbkw@uw.edu.pl) dwie propozycje: nazwy dla jeszcze nienazwanego konkretnego miejsca w Warszawie oraz nazwy dla kładki pieszo-rowerowej łączącej Bulwary Wiślane z prawobrzeżną Warszawą. W myśl założeń konkursu zgłaszane nazwy nie mogą upamiętniać osób, zdarzeń ani organizacji. ●



Plac Pięciu Rogów w nowej odsłonie, w tle dawny pensjonat Zgoda

Zaczęło się od hecy. I historia trwa

Jerzy S. Majewski

Plac Pięciu Rogów to nazwa nieformalna. Historycznie jest to rozdroże kilku dróg, które z czasem stało się wielkomięską przestrzenią w sercu stolicy. Poniżej prezentujemy opowieść o historii tego miejsca

Przebudowa placu Pięciu Rogów zrealizowana przez Miasto to jeden z pomysłów Rafała Trzaskowskiego na stopniowe cywilizowanie centrum miasta i odzyskiwanie go przez pieszych. W ślad za przebudową placu prowadzona ma być przebudowa ulic Chmielnej, Zgoda i Kruczej, a elementem zmian zakrojonych na większą skalę jest m.in. przekształcenie ronda Dmowskiego, na którym pojawiła się zielen i przejścia dla pieszych w poziomie ulicy, bez konieczności schodzenia do przejścia podziemnego.

Sam plac Pięciu Rogów zmienił się dość radykalnie, stając się właśnie placem, z bardzo ograniczonym ruchem kołowym i jednolitą posadzką wykonaną z dużych betonowych płyt. Ukryto pod nimi

wielkie donice, w których posadzono drzewa. Ich korony mają latem stanowić zielony parasol rozpostarty nad placem. Sposób, w jaki to zrobiono, budzi powszechną krytykę. Ja jednak nie przyłączam się do chóru negatywnych opinii pod adresem nowej aranżacji. Betonowe płyty w pierwszej chwili szokują, ale na ocenę placu należy poczekać jakiś czas. Jeżeli na placu Pięciu Rogów w nieodległym czasie powstaną kawiarnie z otwartymi ogródkami, wyremontowane będą zapyziałe dziś domy, a mieszkańcy Warszawy zaakceptują plac jako miejsce spotkań, spędzania czasu przy stolikach kawiarnianych, mniej lub bardziej spontanicznych działań – to jego tak krytykowany dziś architektura obroni się sama.

Czarny diabełek

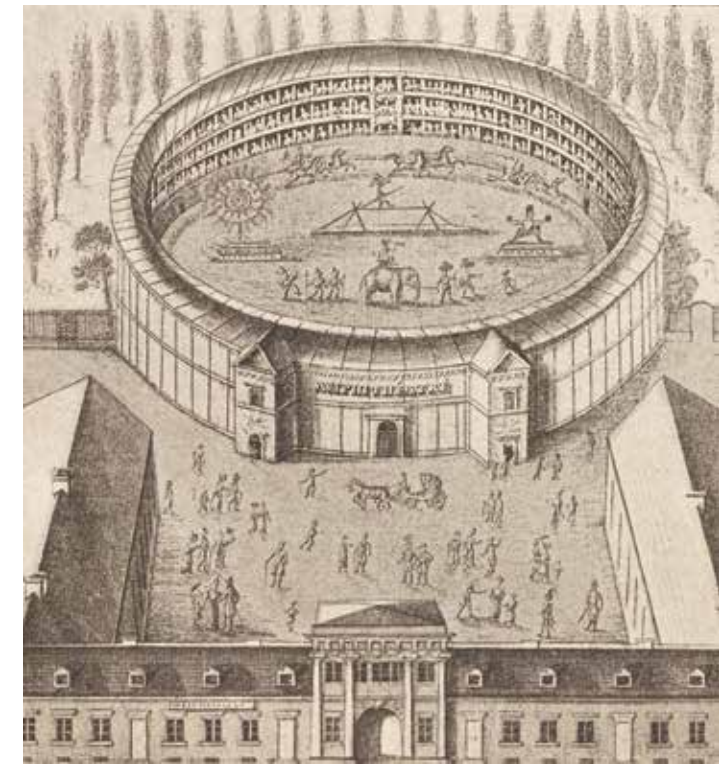
Cofnijmy się w przeszłość, by zobaczyć, jak miejsce to zmieniało się w ciągu dekad i stuleci.

Jest pierwsza połowa lat 60. XX w. Mój dziadek zabiera mnie do zakładu fryzjerskiego dla dzieci na ostatnim piętrze Domu Dziecka, czyli dawnego Domu Towarowego Bracia Jabłkowscy. Ilekroć wychodzimy z budynku, idąc Bracką w kierunku Kruczej, widzimy u krańca obiektu siedzącego handlarza. Sprzedaje czarne gumowe diabełki. Jak je ścisnąć, to piszcza i pokazuje język. Zawsze marzę o takim diabełku. Tym razem dziadek ulega. Pyta o cenę. Handlarz podaje. Na to oburzony dziadek: „Panie, to cyrk jak na Brackiej!”. I zaraz wybuchają śmiechem, bo przecież stoimy na Brackiej. Do domu wracam z diabełkiem. Powiedzenie „cyrk jak na Brackiej” słyszałem potem nie raz – i w szkole, i na podwórku. A co z cyrkiem? No oczywiście kiedyś był. Stał dokładnie tam, gdzie dziś wznosi się Dom Towarowy Bracia Jabłkowscy i sąsiadujące z nim kamienice przy Chmielnej.

Chmielna odchmielu, Zgoda od karczmy

Bracka, Zgoda, niegdyś też Bagno – ulice te biegną po skosie w stosunku do Marszałkowskiej, Kruczej czy Nowego Światu. To dawne drogi narolne. Niegdyś niewybrukowany trakt pełen wądołów ciągnących się od Rozdroża Krzyży (dziś plac Trzech Krzyży) do Grzybowa, a biegnący tak po to, by ominąć ogromny kompleks Ogrodu Saskiego. W miejscu, gdzie do traktu od strony Nowego Światu dochodziła krótka wówczas Chmielna oraz z którego kolejna droga wybiegała w kierunku Szpitala Dzieciątka Jezus (nazwana wkrótce Szpitalną), z czasem wytworzył się plac. Na planie z 1758 r. jest to absolutny koniec miasta. Na wschód od linii Bracka-Zgoda stoją domy, są parcele, sady. Na zachód nie ma nic albo prawie nic, tylko pola, aż po wały Lubomirskiego. Jedynie wokół wspomnianego placu widać wytyczone parcele z kilkoma niewielkimi budynkami. Rewolucyjne zmiany nadeszły już dwa lata później, kiedy drogi zostały uregulowane, stając się ulicami z urzędowymi nazwami. Bracka od gruntów należących do różnych bractw, Chmielna nazywana tak już bardzo dawno od gruntów zwanych Chmielnikiem, na których uprawiano chmiel, Szpitalna od wspomnianego Szpitala Dzieciątka Jezus, założonego w 1758 r. i wznoszącego się mniej więcej pomiędzy dzisiejszym placem Powstańców Warszawy, Marszałkowską, Świętokrzyską i Boduena. Wreszcie ulica Zgoda, która dość nietypową nazwę przejęła od karczmy. Rozdroże musiało być już wtedy miejscem dość ruchliwym, skoro to przy nim stanął wspomniany cyrk. Prawdę mówiąc, rozrywki, jakimi raczono widzów w cyrku zwanym Hecą, były istic diabelskie. Inna nazwa cyrku lepiej odpowiadała charakterowi urządzanych tu widowisk – zwano go szczwalnią.

ZDM; archiwum STOLICY



Cyrk zwany Hecą dostarczał rozrywki najniższego gatunku

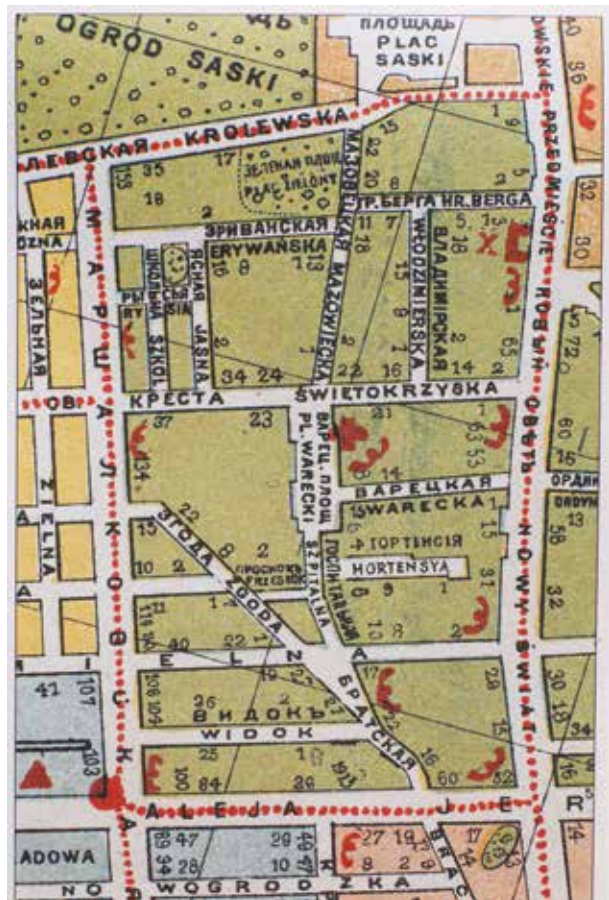
Nie taka hecna heca

Budowlę wznosił w latach 1776-1782 warszawski jubiler Ingermann. Warszawa za Stanisława Augusta była miastem późnobarokowej rozpusty. Bawiła się podobnie jak ówczesna Wenecja, zmierzając wraz z całym państwem ku katastrofie. Bawiła się na balach, redutach, maskaradach. Puszczano się w niebo w balonach, urządzano konne gonitwy. Ale były i rozrywki niższego rzędu. Do nich należały walki zwierząt w cyrku na Brackiej. Nie był to cyrk w dzisiejszym pojęciu – nawiązywał raczej do antycznej tradycji rzymskich amfiteatrów w rodzaju amfiteatru Flawiuszy – czyli Koloseum. Widzowie na Bracką przychodzili rządzni krwi i mocnych wrażeń. Tyle że nie ludzkiej, jak w antycznym Rzymie, a zwierzęcej. Cyrk na Brackiej miał zresztą trochę przypominać Koloseum. Choć był jego prymitywną miniaturą, zbudowaną jednak nie z cegły, kamienia i rzymskiego betonu, lecz z drewna modrzewiowego. Miał rzut koła i cztery kondygnacje. Na dole mieściły się klatki dla zwierząt, wyżej była widownia dla 3 tys. widzów z łóżkami i galeriami podtrzymywanymi przez kolumny. Zewnątrz budowla stanowiła walec bez okien, ożywiony jedynie dwiema wieżyczkami klatek schodowych ujmujących główne wejście. Jubiler Ingermann liczył na wielką publiczność, ale w epoce oświecenia męczenie zwierząt u wielu ludzi budziło odrazę. Lepsze towarzystwo z reguły bojkotowało tego rodzaju przedstawienia. Choć inicjator budowy urządził w cyrku lożę honorową dla samego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, to monarcha pojawił się tam tylko w dniu otwarcia.

Jak wspominał Infantczyk Fryderyk Schultz, autor relacji z pobytu w Warszawie, na widowni przeważali: „brutalni rzemieślnicy, rzeźnicy, kowale itd., do których dodać należy żołnierzy, mnichów, woźniców, →



U góry: plan Korpusu Inżynierów Wojskowych (fragm.) z 1825 r.,
u dołu: plan Warszawy z 1895 r. (fragm.)



strzelców, młodzież zdziczałą nieco lepszego pochodzenia i dziewczki uliczne". Można było oglądać polowania i walki zwierząt. Psy lub wilki szczyły grubego zwierza: niedźwiedzia, dzika, łosia, borsuka lub jelenia. Ważną rolę odgrywał hecmajster, który walczył z zubrem lub rozjuszonym dzikiem. Zwierzęta, trzymane w klatkach, niezabijane od razu i dręczone w kilku przedstawieniach, były często już tak umęczone i apatyczne, że na arenę wyciągano je siłą. Jerzy Łojek na łamach *STOLICY* z 1957 r. przytoczył relację z pobytu w Warszawie w 1791 r. Jana Eryka Biestera, redaktora berlińskiego czasopisma „*Berlinische Monatschrift*". Widowisko w szczwalni wywołało w przyszłości uczucie niesmaku: „Heroiczna walka zwierząt [...] składała się z ośmiu części. Uszłoby jeszcze patrzeć na walkę dzikich zwierząt w pełnej sile, lecz nic wstrętniejszego i nędzniejszego, jak patrzeć na to, kiedy osłabione, przestraszone, wyjące bestie wylazły z otworów swych klatek na otwarte miejsce i starają się niebawem uciec na powrót. Takimi zaś były wszystkie niedźwiedzie i wilki, które wypuszczono. Ani jedno zwierzę nie było wesołe i zwinne, z wyjątkiem panów hecmajstrów i ich psów. [...] Niedźwiedzia jednego, idącego po swój żer, miano drażnić ogniem, lecz tak dobrze już znał całą maszynę, że nawet nie sięgnął po strawę”. W innej scenie „na woła z przywiązaną rakieta do ogona wsadzono manekina wyobrażającego człowieka. Kiedy zmęczony wół zaczął w skokach pędzić naokół, spadł manekin na bok i włócił się po ziemi. Widzowie strasznie głośno się śmieli, ja zaś wstydiłem się za ludzi przed tymi zwierzętami, które na nas patrzyły”.

Po 1794 r. w szczwalni walki zwierząt urządzano sporadycznie. Dochodziło do nich jednak nawet jeszcze po powstaniu listopadowym. W czasie jednej z takich walk, w 1832 r., na widowni siedziało 840 osób, w tym 150 kobiet. Sfora psów atakowała dwa niedźwiedzie, wilka i osła. To była już jednak rzadkość. Imprezy tego rodzaju powszechnie potępiano za bezmyślne i nikomu niepotrzebne okrucieństwo. Za to Heca stała się areną popisów cyrkowych. Teraz dominowała tu tresura zwierząt, jazda konna i wołyżerka. Od 1808 r. właścicielem szczwalni był bojar mołdawski Jordaki Kuparenko, który przybył do Warszawy wraz z wędrowną trupą cyrkową w 1801 r. Wstawił się wzlotem z ogrodów Foksalu balonem papierowym, ulepionym ponoć z samych afiszów teatralnych. W czasie popisów akrobatycznych Kuparenko złamał nogę i przerzucił się na pokazy ogni sztucznych. W jego cyrku popularnością cieszyły się występy gimnastyczne i widowiska dawane przez różne wędrowne trupy. W 1823 r. podziwiano popisy cyrkowe Benedykta Turniera, w 1825 r. menażerię van Ackena i Martina, zaś w 1839 r. występy żonglerskie „grupy Beduinów”. Wielokrotnie przychodzono na popisy znanego atlety Karola Rappa. Obiekt



Narożna kamienica przy ul. Chmielnej 20 przetrwała do dziś – choć po wojnie pozbawiono ją większości detali na elewacjach, z lewej Szpitalna, pocztówka

był częstokroć przebudowywany i zmieniał właścicieli. Ostatnim z nich był niejaki Grintzeig. Ostatecznie budowlę rozebrano w 1852 r.

Najpierw domy drewniane

Cofnijmy się jeszcze w czasie. Na planie Warszawy Josepha Bacha z 1809 r. widać spore zmiany w stosunku do stanu sprzed półwiecza. Miasto nie kończy się na linii dzisiejszych ulic Bracka-Zgoda. Ulice Widok, Chmielna, Złota przecinają Marszałkowską i albo gubią się jak Chmielna i Widok na zachód od niej, albo docierają do biegnącej po skosie i wciąż jeszcze wijącej się jak polna droga ulicy Twardej. Wzdłuż Chmielnej na zachód od obecnego placu Pięciu Rogów stoją już w tym czasie domy, przeważnie drewniane, za którymi ciągnęły się ogrody i sady. Całkiem sporo budynków wznosi się wzdłuż Brackiej oraz nieodległej Marszałkowskiej pomiędzy Widok a Królewską. W ten sposób obecny plac Pięciu Rogów niejako przesunął się bardziej do środka miasta. Zabudowa ta uległa zagęszczeniu w dobie konstytucyjnego Królestwa Polskiego, o czym można się przekonać, wertując bardzo szczegółowy plan Korpusu Inżynierów Wojskowych z 1825 r. Nieomal kopernikańską zmianą było wówczas wytyczenie zaledwie dwa lata wcześniej (1823-1824) szerokich Alej Jerozolimskich, biegnących równoległe do Chmielnej i Widok. Nowa arteria znacznie przyspieszyła rozwój południowej części miasta. Jednak gdy sporządzano plan Korpusu Inżynierów, Aleje obsadzone dwoma szpalerami drzew biegnęły jeszcze w pustce. Za to wokół przestrzeni zwanej dziś placem Pięciu Rogów można naliczyć już kilkanaście

drewnianych budynków i dom murowany na Chmielnej tuż przy narożniku ze Szpitalną. Dodajmy, że drewniany dom i to co najmniej od końca XVIII w. zamykał perspektywę Brackiej w widłach ulic Zgoda i Szpitalnej.

Ponad ćwierć wieku później, u progu 1852 r., wokół placu stały już kolejne, murowane budynki. Pierwszy w widłach Chmielnej i Zgoda, dziś już nieistniejący, i kolejny pod obecnym adresem ul. Bracka 20. Choć przekształcony, przetrwał on do dziś. Cechał się raczej skromną architekturą, był jednak dziełem znakomitego architekta Henryka Marconiego. Powstał w 1841 r. Kamienica aż do 1939 r. była dwupiętrowa, o boniowanej elewacji ożywionej rzędem jednostajnych, półkoliście zamkniętych naczółków ponad oknami. Skromniutki, parterowy budynek murowany z łamanym dachem stał też przy Brackiej u zbiegu z Widok. Przetrwał aż do II wojny światowej, stanowiąc dysonans pośród wielkomiejskiej zabudowy.

Na planie Świątkowskiego z 1852 r. cyrk zwany szczwalnią wciąż stoi, za to narożnik Chmielnej i Brackiej zabudowany jest niewielkim drewnianym budynkiem zwróconym elewacją frontową w stronę pierwszej z ulic. Tymczasem kiedy Świątkowski publikował swój plan, dokonywały się tu ważne zmiany. Po pierwsze rozebrano budynek cyrku. Po drugie zburzono wspomniany drewniak u zbiegu Chmielnej i Brackiej. W jego miejscu powstała kolejna murowana kamienica (dziś ul. Bracka 22) Zdanem Marka Kwiatkowskiego i ten budynek mógł być wzniesiony zgodnie z projektem Henryka Marconiego. Jak dowiadujemy się z „*Kuriera Warszawskiego*” z 1852 r., zbudowano go w tymże roku dla

Józefa i Eleonory ze Szpakowskich Mierzwińskich. Ma on wydłużone elewacje od Brackiej i Chmielnej oraz ścięty narożnik. Od tamtej chwili trzeba było czekać kolejne dwie dekady, aż w 1873 r. na rogu Brackiej i Chmielnej, w miejscu dawnego placu przed szczwalnią, dla Izaaka Przepiórki powstała kolejna spora murowana kamienica. Jednopiętrowa, neorenesansowa, nakryta łamanych dachem mansardowym. Partery przeznaczone na sklepy świadczyły o bardzo już wówczas ożywionym charakterze placu. Znaczenie tego miejsca jeszcze wzrosło, gdy w 1845 r. zaledwie kilkaset metrów dalej, w Alejach Jerozolimskich przy Marszałkowskiej, powstał Dworzec Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, wprowadzający Warszawę w wiek pary i żelaza. Z chwilą wzniesienia dworca przez Widok i Chmielną, ale też przestrzeń obecnego placu Pięciu Rogów, Szpitalną i Mazowiecką biegła najkrótsza droga do ówczesnego centrum miasta.

U progu metropolii

Lata 80. i 90. XIX w. odmieniły Warszawę. Powoli z zaprzętej dziury na rubieżach Imperium Rosyjskiego stawała się metropolią. W tym czasie miały miejsce kolejne etapy przyspieszenia budowlanego, a intensywna zabudowa przekroczyła od południa linię Alej Jerozolimskich. Im bliżej XX w., tym więcej wznoszono wielopiętrowych, wielkomiejskich kamienic. Wypierały one starą zabudowę. Pod ich realizację wycinano sady i ogrody, a zabudowa ulegała coraz większemu zagęszczeniu. Ten proces znakomicie widoczny był wokół przestrzeni zwanej dziś placem Pięciu Rogów. Na przełomie XIX i XX w. miejsce to stało się jednym z najbardziej ruchliwych w centrum Warszawy, które wyraźnie przesunęło się z rejonu Senatorskiej i Krakowskiego Przedmieścia w stronę Nowego Świata, Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich.

Jednym z pierwszych wielkomiejskich domów była tu kamienica przy ul. Brackiej 23. Do dziś zachowały się oficyny budynku, tymczasem w miejscu domu frontowego znajduje się jezdnia ulicy Kruczej. Przed wojną Krucza, węższa niż dziś, dochodziła jedynie do Alej Jerozolimskich, zaś pierzeja biegnącej pod kątem Brackiej ciągnęła się do narożnika z uliczką Widok. Kamienica pod numerem 23 bezpośrednio sąsiadowała z posesją, na której z czasem zbudowano Dom Towarowy Bracia Jabłkowscy. Powstała w latach 1881-1882, a projektantem i zarazem właścicielem budynku był architekt Bronisław Brodziej-Żochowski. Był to dom wyjątkowo okazały i nowoczesny, trzypiętrowy, zwieńczony ciągiem (zapewne później dodanych) lukarn. Jego parter uatrakcyjniał rząd osiemiu wielkich witryn sklepów, wyżej zaś ścianę ożywiały bogate, sztukaterskie obramienia okien. Za budynkiem frontowym znalazły się oficyny. Przypuszczalnie początkiem największego interesu w życiu Żochowskiego było wynajęcie w 1900 r. części parteru firmie braci Jabłkowskich,



Przebieg obecnej linii autobusowej w międzywojniu przecinały linie tramwajowe

której początkiem był mały sklepik z galanterią egzystujący niedaleko kamienicy Żochowskiego, w oficynie domu przy ulicy Widok. Powstał w 1884 r. i prowadzony był przez Anielę Jabłkowską. Firma rozrastała się i po przeniesieniu w 1900 r. na ul. Bracką 23 powoli zajmowała kolejne pomieszczenia. Początkowo wynajmowano w parterze lokal o trzech wielkich oknach wystawowych, a przed 1913 r. – już trzy kondygnacje budynku, jak w domu towarowym. Na parterze firma miała aż osiem wielkich witryn, zajmowała też część oficyn, w których znalazły się pomieszczenia biurowe i pracownia. Rzecz jasna kamienica nie mogła zaspokajać ambicji handlowych właścicieli. Na drukach reklamowych podrasowana nieco fasada sprawiała wrażenie wielkomiejskiego domu towarowego, ale tak naprawdę nim nie była. „Obroty w pierwszych latach XX w. rosły w tempie od 20 do 50 procent w skali rocznej, a tylko wyjątkowo 10 procent. Według danych przedstawia się to tak, że w dziesięciolecie 1904-1913 obroty podniosły się ze 100 tys. rubli do ok. 500 tys.” – pisał Feliks Jankowski w książce *Dom Towarowy Bracia Jabłkowscy. Romans ekonomiczny* (Warszawa 2005).

Ten sam architekt, Bronisław Brodziej-Żochowski, zaprojektował chyba najbardziej tajemniczą budowlę w rejonie placu dziś zwanego Pięciu Rogów. Aby ją zobaczyć, trzeba wejść na podwórko wspomnianej kamienicy przy ul. Brackiej 20. To dawny pałac Belina-Brzozowskich, wzniesiony zaskakująco na tyłach istniejącej już kamienicy. Wiecznie spowity mrokiem, stał się m.in. scenografią powieści Jarosława Iwaszkiewicza *Sława i chwała*. Już przed I wojną światową wnętrza pałacowe wynajmowane były

na mieszkania. „W swoim życiu nie pamiętam tak zimnego mieszkania jak to przy Brackiej 20, w którym musiałam w ciągu blisko roku spędzić trzy razy na tydzień straszną godzinę” – wspominała na łamach *STOLICY* z 1961 r. publicystka Stefania Podhorska-Okołów. Uczyła się wówczas języka i literatury rosyjskiej u panny Powiatowskiej, która była uważana za niezrównaną mistrzynię w przygotowywaniu kandydatek na nauczycielki w prywatnych szkołach i domach – tak, by spełniały wszystkie wymagania władz carskich. Zajmowała ogromny apartament, którego zimą nie była w stanie należycie ogrzać. Kolejną zaskakującą budowlą jest domek w formie włoskiej willi, wciśnięty pomiędzy

pałac a kamienicę projektu Marconiego. Jest to dawny domek stróża pałacowego, z 1881 r.

Z pająkami w herbie

Efektowna wielkomiejska kamienica wypełniła też narożnik ulic Chmielnej i Zgoda (ul. Chmielna 22 / ul. Zgoda 1). Była to eklektyczna kamienica Lilpopów, o wąskim narożniku. Jej projektantem był Edward Lilpop. Dziś najwspanialszą z kamienic, powstała na przełomie XIX i XX w., jest wielkomiejski dom dochodowy przy ul. Brackiej 18. Kamienica powstawała etapami. Przekształcana, ostateczną formę zewnętrzną otrzymała na kilka lat przed wybuchem I wojny światowej według projektu Teofila Wiśniowskiego. Niestety, po II wojnie światowej pozbawiono ją szczytów. Jeśli dobrze przyjrzeć się pompierskiej elewacji frontowej, to można dostrzec się wyobrażeń pająków. Dyskretnie wtapiają się one w bogaty wystrój sztukatorski, spoczywając na herbowych kartuszach. Dom ma jeszcze jedną osobliwość. Gdy patrzymy na niego od strony narożnika z ulicą Widok, możemy ulec złudzeniu optycznemu. Kamienica wydaje się cienka jak kartka papieru, jakby składała się z samej fasady, za którą nic nie ma. Nic bardziej błędnego. Ten wielki budynek jest istną arką Noego, mieszczącą nie tyle zwierzyńców, co mnóstwo mieszkań, sklepy z ogromnymi witrynami, a w podwórku duży gmach szkolny. W latach międzywojennych działały tu szkoła powszechna i gimnazjum męskie Ludwika Lorentza oraz pensjonat Zofii Babińskiej. W czasach znacznie wcześniejszych w budynku stojącym w podwórku funkcjonowała pensja Henryki Czarnockiej (tradycje tej szkoły przejęło Żeńskie Gimnazjum Państwowe

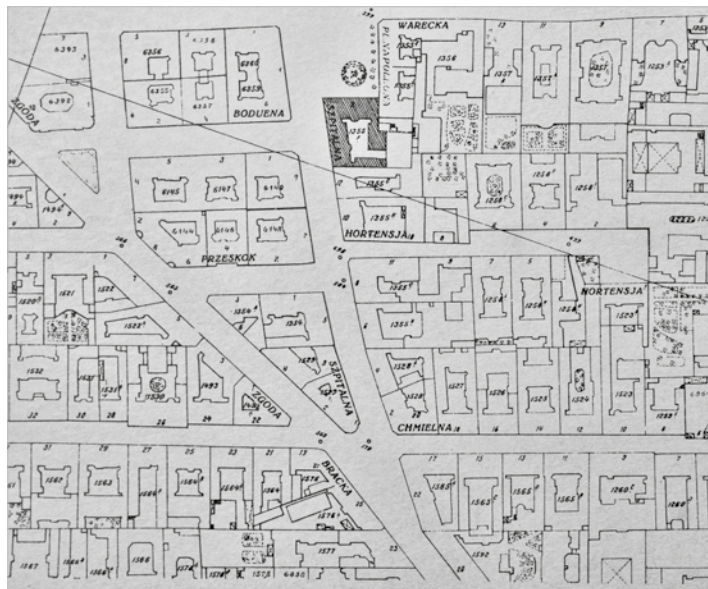
im. Juliusza Słowackiego przy Wawelskiej). Językiem wykładowym przed 1906 r. był rosyjski, ale w trakcie lekcji rysunku czy robót ręcznych tajnie nauczano literatury ojczystej. Nauczycielami byli tu m.in. historyk literatury Bronisław Chlebowski, matematyk Ludwik Straszewicz i językoznawca Edward Grabowski. Atmosfera panowała patriotyczna, a tajne lekcje uczyły zasad konspiracji. Może dlatego absolwentki szkoły były później autentycznymi rewolucjonistkami, jak działaczka PPS Maria Koszutska „Vera Kostrzewa”, potem związana z ruchem komunistycznym, czy Faustyna Morzycka, córka katorżnika, członkini Organizacji Bojowej PPS Frakcja Rewolucyjna. W 1909 r., wiele lat po skończeniu szkoły na Świętokrzyskiej, usiłowała dokonać zamachu na rosyjskiego generała Lwa Uthoffa. Generałowi nic się nie stało, Morzycka zmasakrowała za to przypadkowych przechodniów. Przytłoczona ciężarem winy, podpadła na zdrowiu i w 1910 r. popełniła samobójstwo, zażywając cyjanek potasu.

Dominanta na rogu

Chociaż to kamienicę przy ul. Brackiej 18 trzeba uznać za najbardziej dekoracyjną, to urbanistycznie najlepiej wyeksponowana była kamienica przy ul. Zgoda 2, stojąca w widłach ulic Szpitalnej i Zgoda, z wąską elewacją od strony Chmielnej, zamykająca perspektywę Brackiej. I ona powstawała etapami, pnąc się w górę. Najpierw dwupiętrowa, o wystroju z przewagą elementów neorenesansowych, potem zwieńczona efektownym, mansardowym dachem, pod którym przez jakiś czas miał swą pracownię Aleksander Gierymski. Wreszcie, po tym jak w 1900 r. dom kupili za 136 tys. małżonkowie Gronowscy, mansarda przestała być mansardą, a dom urósł do pięciu pięter.

Fragment eklektycznej elewacji kamienicy przy ul. Brackiej 18





Dobrze widoczna przestrzeń zw. dziś placem Pięciu Rogów, lata międzywojenne

W latach międzywojennych na kolejnych kondygnacjach lokowały się redakcje wielu czasopism i gazet. Dach budynku, dzięki położeniu w rozwidleniu ulic, wykorzystywany był jako miejsce montażu wielkich reklam neonowych. W 1936 r. to tutaj zamontowano pierwszą w stolicy ruchomą reklamę koniaków Marteau, parter zaś zajęła Cukiernia Szwajcarska.

Jedyny dom towarowy

I wreszcie najważniejsza i zarazem najbardziej znana z budowli, które otaczają dzisiejszy plac Pięciu Rogów. Dom Towarowy Bracia Jabłkowski przy ul. Brackiej 25. Był to pierwszy i do przełomu lat 40. i 50 XX w. jedyny dom towarowy w Warszawie. Jego architekturę, dzieło spółki Karol Jankowski i Franciszek Lilpop, uwzględnia każdy podręcznik sztuki XX w. w Polsce. Obiekt, wzniesiony na nieforemnej działce, zbliżonej do trójkąta, był od początku projektowany z myślą o rozbudowie. Uzyskał jako jeden z pierwszych w Polsce żelbetowy szkielet konstrukcyjny, który pozwolił na swobodne ukształtowanie wnętrza. Konstrukcja nie została wstydliwie ukryta, lecz wyeksponowano ją. Centralną część gmachu tworzy ciągnący się przez wszystkie kondygnacje i przekryty przeszklonym dachem hol z klatką schodową, do którego otwierają się galeriami wszystkie piętra. Fasada budowli, opięta lizenami, utrzymana została w duchu silnie zmodernizowanego klasycyzmu i wraz z wnętrzem oszczędnie udekorowana dość dowcipnymi dekoracjami rzeźbiarskimi dłuta Edmunda Bartłomiejczyka oraz największym w Warszawie witrażem zaprojektowanym przez Bartłomiejczyka, a wykonanym przez zakład Władysława Skibińskiego. To tu w 1914 r. przeniosła się firma braci Jabłkowski z kamienicy przy ul. Brackiej 23.

Piękne lata 30.

Okresem, w którym obecny plac Pięciu Rogów awansował do jednego z centralnych, najbardziej ożywionych miejsc w Warszawie, były lata 30. XX w. W tym czasie zbudowano tu wprawdzie tylko jeden obiekt, funkcjonalistyczną kamienicę przy ul. Szpitalnej 4, w 1937 r., dla rodziny Jana Wedla według projektu Zdzisława Mączyńskiego, jednak wokół aż roilo się od sklepów, lokali, redakcji gazet, kawiarni. Herbatą pachniało z kamienicy przy ul. Brackiej 23, gdzie mieściły się biura i jeden ze sklepów Warszawskiego Towarzystwa Handlu Herbatą A. Długokęcki i W. Wrześniewski. Zdaniem Kordiana Tarasiewicza, ostatniego właściciela palarni i sklepów z kawą Pluton, do najstarszych polskich firm handlujących herbatą należała założona w 1843 r. przez Leona Krupeckiego firma, której znakiem była postać włościanina niosącego głowę cukru, zastąpiona w czasach warszawskim pomnikiem Kopernika. Przed 1914 r. przejęło ją Towarzystwo Handlu Herbatą W. Długokęcki i W. Wrześniewski. Dodajmy, że w tym samym domu mieszkała Jadwiga z Unrugów Witkiewiczowa, żona Stanisława Ignacego Witkiewicza. Witkacy przemieszkował u niej podczas pobytów w Warszawie i miał tam pracownię malarską. Nie był tu jednak zbyt często.

Zapachy kawy i świeżo wypieczonych ciastek, ale też papierosów i cygar unosiły się wokół wspomnianej Cukierni Szwajcarskiej, nazywanej już przed wojną „cukiernią na pięciu rogach”. Czynna była od godz. 6 rano do północy i cały czas pełna dziennikarzy z redakcji gazet zajmujących wyższe piętra budynku. Wśród nich w drugiej połowie lat 30. królował Lucien Ropquigny, od 1937 r. redaktor naczelny „L’Echo de Varsovie”, znany wielu warszawiakom także z lekcji języka francuskiego prowadzonych przez radio. Cukiernię założył w 1906 r. Karol Briesemeister w miejscu starszej cukierni Starorypińskiego. Za kasą zazwyczaj siedziała jego żona,

Witryna sklepu braci Pakulskich po wojnie, w l. 40., przed bitwą o handel



APW, domena publiczna



Pocztówka z przestrzenią zw. dziś placem Pięciu Rogów, z lewej perspektywa ulicy Złota, z prawej – Szpitalnej, 1929 r.

która twardo zarządzała finansami. Wnętrze Szwajcarskiej, złożone z kilku pomieszczeń, sprawiało przed wrześniem 1939 r. wrażenie staroświeckiego: wielkie lustro, kanapki i krzesła obite pluszem w kolorze bordo, metalowe stoliki o marmurowych blatach oprawionych w mosiądz, wielki orzechowy bufet ciągnący się przez całą salę. Na bufecie za szkłem piętrzyły się ciastka. Był tu też pokój damski o trzech lustrach i mebelkach w tonie różowym. Do Szwajcarskiej przychodziło się na małe pączki, niewielkie drożdżówki, torty, tradycyjne ciasta, paszteciki i pitną czekoladę. Cukiernia miała swoją tajemnicę. Była miejscem spotkań ówczesnych gejów, którzy tu zawierali znajomości.

Chyba najciekawszym z lokali na parterze sąsiedniej kamienicy, przy ul. Złota 4, był aż do 1939 r. bar Antoniego Salisa. Nie był to klasyczny bar, lecz rodzaj garmażerii z daniami na miejscu i na wynos. Przy stolikach najchętniej zajadano się czerwonym barszczem z pasztecikami. Te ostatnie uchodziły za najsmakowitsze w Warszawie. A ponieważ dania te były szybkie, sycące i niedrogie, chętnie wpadali na nie dziennikarze przesiadujący przy kawie w sąsiedniej Szwajcarskiej.

Zapachy z delikatesów

Melanż bajecznych zapachów spożywczych dochodził z delikatesów braci Pakulskich, z wejściem w narożniku kamienicy przy ul. Chmielnej 22. Z wnętrza buchało ciepło i trudna do określenia atmosfera luksusu pomieszana z egzotyką nieco tajemniczych sklepów kolonialnych. „Po wkroczeniu do wnętrza ogarniał

nas zapach! Niepowtarzalny zapach koktajlu złożonego z pojedynczych zapachów owoców, czekolady, kawy, herbaty, wędzonego łososia, które wyławiało się z ogólnej mieszanki, trochę równych w poszczególnych częściach sklepu. [...] Lada biegła wzdłuż całego sklepu, a po jej obu stronach panował jednakowy ruch, z tym że po stronie wewnętrznej stali subiekci jeden obok drugiego w jednakowych fartuchach płóciennych jasnobłękitnego koloru” – tak wizyty w luksusowych delikatesach braci Pakulskich wspominał Zbigniew Pakalski w książce *Warszawa moich wspomnień* (Warszawa 1995). Delikatesy Pakulskich nie miały sobie równych i stały się jednym z symboli uroków życia międzywojennej stolicy. Jak wspominał Pakalski, najbardziej imponowała mu technika krojenia płatów łososia, który stał się specjalnością firmy. Zanim jednak powstały delikatesy Pakulskich, w tym samym miejscu, przy ul. Brackiej 22, od 1856 r. działał sklep zesłańca syberyjskiego Antoniego Pawłowskiego. Gdy Pawłowski zmarł, majątek po nim przejął jego bratanek, Feliks, który całkowicie przeobraził sklep w nowoczesne przedsiębiorstwo handlowe. Miał jednak tak duże ambicje, że sklep mu nie wystarczał i przerzucił się na organizowanie przetwórstwa spożywczego. Sklep sprzedał – nie przypadkowym nabywcom, lecz własnym subiektem, których znał od 1900 r. Byli nimi trzej bracia Pakulscy: Wacław, Jan i Adam.

Zniszczenia i odbudowa

We wrześniu 1939 r. bomba zniszczyła kamienicę z Cukiernią Szwajcarską. Budynek runął, ale właściciele →



Kamienica przy ul. Brackiej 20, 1940 r.

cukierni, którzy jeszcze przed wrześniem zamówili nowe meble w fabryce w Radomsku, teraz mogli wykrzystać dostarczone im już po kapitulacji meble do urządzenia nowej kawiarni przy Marszałkowskiej u zbiegu z Nowogrodzką. W trakcie oblężenia Warszawy spłonęła też projektowana przez Marconiego kamienica przy ul. Brackiej 20. Odbudowano ją zaraz po wojnie. Została podniesiona o piętro. Niestety, elewację odtworzono z uproszczeniem naczółków.

W czasie okupacji niemieckiej nadal działał sklep braci Pakulskich i Dom Towarowy Bracia Jabłkowsy, choć Niemcy podejmowali próby jego przejęcia. Powstanie Warszawskie i systematycznie niszczenie miasta przez Niemców ominęły przestrzeń dziś zwaną placem Pięciu Rogów. W 1945 r. odrodziło się tu życie, tym bardziej intensywne, że zaledwie kilkaset metrów dalej, i to w każdym kierunku, ciągnęło się morze ruin. Na Chmielną po 1945 r. przychodzono do kina Atlantic, ponownie działał Dom Towarowy Bracia Jabłkowsy i delikatesy Pakulskich. Wkrótce jednak władza komunistyczna, niszcząc resztki prywatnej inicjatywy, zniszczyła i te firmy, upaństwowiając je. Ponura Chmielna lat 50. XX w., wtedy przemianowana na Rutkowskiego, odmieniła się dopiero po 1956 r., kiedy władze zezwoliły na zakładanie prywatnych sklepików i zakładów rzemieślniczych. A ponieważ dawna Chmielna była w zasadzie jedyną częściowo zachowaną ulicą w północnym Śródmieściu, to niemal w każdym domu, bramie, oficynie i podwórku ulokowały się sklepiki z obuwem, zakłady rzemieślnicze, komisje. Przy przestrzeni zwanej obecnie placem Pięciu Rogów rząd takich sklepów zajmował cały parter dawnej kamienicy Przepiórki, bardzo już w tym czasie zdewastowanej.

Tymczasem narożnik, w którym stała kamienica z Cukiernią Szwajcarską, aż do początku lat 60.

pozostawał niezabudowany. Wreszcie wzniesiono tu dość udany architektonicznie 10-piętrowy budynek pensjonatu Zgoda, z niezbyt dużymi lokalami do wynajęcia dla zagranicznych firm (proj. Andrzej Ilecki, Zygmunt Stępiński). W przyziemiu budynku otwarto duży, dwukondygnacyjny cafe-bar Szwajcarska. Wskrzeszono tym samym niejako tradycję przedwojennej Szwajcarskiej. Nie miało to żadnego związku z dawnymi właścicielami, nowa Szwajcarska stała się jednak miejscem modnym, w czym pomagała zarówno udana architektura wnętrza, wielkie witryny, przez które można było

obserwować ruch uliczny, jak i sam charakter baru. Metal, szkło, siedzenia z jasnego skaju, rtęciowe światło, kolorowe neony i mnóstwo przewijających się ludzi. Jedni przesiadywali godzinami, inni wpadali na chwilę, by wypić „małą czarną”, i biegli dalej. Podejrzane typy ogadywały tu interesy. Nobliwi panowie z teczuszkami wertowali „Express Wieczorny” lub „Życie Warszawy”

W narożniku ulic Szpitalnej i Zgoda wzniesiono na przeł. I. 50. i 60. 10-piętrowy pensjonat Zgoda



um.warszawa.pl, APW, „Architektura”



Plac Pięciu Rogów – a formalnie Poli Negri – powoli zapełnia się kawiarnianymi stolikami

albo z nabożeństwem wczytywali się w „Przekrój”. Jednym słowem, w latach 60. po raz kolejny w XX w. zabiło tu pulsujące życiem serce Warszawy. „Na rozdrożu – Chmielna (Rutkowskiego), Szpitalna, Zgoda (Hibnera), Bracka – placyk, za taflą szkła bar kawiarniany Szwajcarskiej. Rano załatwiają tutaj swoje interesy koniki walutowe, wieczorem przybywa towar świeży i naperfumowany – ich dziewczynki, wyspane za dnia, gotowe do nocnej służby: bawić się, pić, kochać. Na narożniku bar Wygodny, przystanek trzeciej kategorii. Inwalida siedzi na wózku, koleś wyniósł mu z bufetu talerz gulaszu i setkę, nie z łaski, służy dawnemu królowi w fachu rozpruwania wagonów towarowych. Raz tylko król źle obliczył skok. Ucięło mu obie nogi. Wózek kiedyś też lepszy miał. Zmotoryzowany, ale go z wielkodusznym gestem przepił. Teraz ma wózek na ręczną korbkę, kumple się złożyli – składkowy. Przed barem Wygodny w największy lipcowy skwar jego stała kompania płucze gardła czyściochą, pod piwko, w święta pod śledzika” – pisał Aleksander Rowiński w książce *Anioły Warszawy*.

Nowy Dom Bracia Jabłkowsy

Tymczasem upaństwowiony Dom Towarowy Bracia Jabłkowsy ulegał coraz większej degradacji. Po wzniesieniu nowego CDT, tuż obok, przy Brackiej, zamienił się w Centralny Dom Dziecka. Po jego wyprowadzce – w Dom Obuwia.

Budynek w latach 80. stał w zasadzie pusty. Urbanisci nawoływali do jego rozbiórki, aż do początku lat 90., kiedy to został przebudowany na dom handlowy Arka. Przebudowa nie była fortunna i na początku XXI

w. obiekt poddano kolejnemu remontowi, tym razem na wielką księgarnię Traffic Club. W 1996 r. reaktywowano rodzinną firmę Bracia Jabłkowsy, należąca do spadkobierców jej założycieli. Dopiero po wielu latach Jabłkowskim udało się odzyskać budynek, w którym dziś na parterze działa m.in. księgarnia, zaś piętra, czekając na lepsze czasy, wykorzystywane są na różnego rodzaju spotkania. Przed kilku laty odrestaurowana została elewacja frontowa budynku, której przywrócono pierwotną kolorystykę oraz detale architektoniczne.

W latach 70. rozebrana została kamienica Przepiórki. W gruncie rzeczy już w 1914 r. skazana była na zburzenie w związku z rozbudową Domu Towarowego Bracia Jabłkowsy. Nie doszło jednak do tego. Ostatecznie kilkanaście lat temu podjęto tu budowę gmachu zaprojektowanego w pracowni Ryszarda i Marty Girtlerów. Gdy przystępowano do tworzenia projektu, inwestorzy chcieli nowoczesnego obiektu, który jednocześnie podkreślałby rodzinną tradycję tego miejsca i wpisywał się w historyczny pejzaż ulicy. I to się udało. Znakomitym pomysłem na ożywienie ulicy stały się tu ogromne witryny parteru, otwierające wnętrze od strony chodnika. Przez wiele lat parter zajmował salon telefonii komórkowej. Obecnie, po przebudowie placu, powstać ma tu lokal gastronomiczny, otwarty na ulicę.

Nazwa plac Pięciu Rogów jest nieformalna i plac, decyzją Rady Warszawy, od 25 sierpnia nosi nazwę Poli Negri. Historia tego miejsca trwa. Zapowiadana przebudowa ulic Zgoda i Chmielnej zapewne przyniesie kolejne zmiany. 📍

Symbol epoki czy objaw zacofania?

O architekturze historyzującej międzywojnia

Tadeusz Michalski

Dwie dekady Warszawy jako stolicy II Rzeczypospolitej były erą niezwykłą dla jej architektury. Był to czas wielkich twórców, inspirujących idei i dynamicznie zmieniających się trendów. Rewolucyjna filozofia modernizmu zmieniała podejście do architektury i urbanistyki, nadal współdzieląc place budów z tradycyjną architekturą zakorzenioną w XIX w. Czy można sprowadzić ocenę architektury epoki do podziału na dobrą, bo nowoczesną, i złą, bo staroświecką? Czy owa architektura historyzująca była objawem jedynie zacofania, czy też może obrazowała ducha czasu, wychodziła naprzeciw aktualnym potrzebom Polaków?

Niebagatelny wpływ nie tylko na polską architekturę, lecz także całą kulturę i zbiorowy charakter Polaków miał fakt, iż okres formowania się nowoczesnych narodów Europy przeżyliśmy w niewoli. Wiek XIX okazał się schyłkowym dla ery feudalnej, był czasem rewolucji przemysłowej i będących jej konsekwencją wielkich przemian społecznych. Wedle teorii narodu, przedstawionej w końcu XVIII w. przez niemieckiego filozofa Johanna Gottfrieda Herdera, podstawowym czynnikiem konstytuującym naród jest jego kultura. Herder uznawany jest za prekursora historyzmu, trendu niezwykle popularnego w XIX w. Fascynacja historią i próby budowania tożsamości narodowej na bazie historii nie były wówczas zjawiskiem wyłącznie polskim, lecz ogólnoeuropejskim. Polacy nieposiadający realnego państwa przenieśli swą państwowość w całości w świat idei, kultury i sztuki. Doszło do sublimacji idei narodu, spajanego przez język, tradycję i religię na przekór zaborcom próbującym przymusowo asymilować Polaków w ramach własnych kultur. W dziedzinie architektury wiek upłynął pod znakiem neostylów i eklektycznej architektury



Żoliborz Oficerski, plac Słoneczny, arch. Romuald Gutt, l. 1922-1925

historyzującej, a końcówka i początek kolejnego stulecia były czasem poszukiwań stylów narodowych. Architektura jako element kultury, doskonale nadający się do identyfikacji narodu, stała się narzędziem w rękach elit w organicznej pracy nad scalaniem narodu i budową tożsamości narodowej. To samo zadanie realizowano przy pomocy innych dziedzin sztuki. Sienkiewiczowskie



Wyżej i po prawej stronie: dom przy ul. Brodzińskiego 2; Szkoła Powszechna „Rodziny Wojskowej” przy ul. Czarnieckiego 49; Kolonia Lubeckiego, dom przy ul. Mianowskiego 9



motto „ku pokrzepieniu serc” tak jak do literackiej *Trylogii* można również odnieść do architektury w stylach narodowych.

Za kolebkę idei stylów narodowych w architekturze uważa się zjednoczone w 1871 r. Cesarstwo Niemieckie. W państwach prowadzących ekspansyjną politykę zagraniczną architektura narodowa stała się wyrazem siły i wyższości własnej kultury nad innymi. W wydaniu polskim była reakcją obronną na próby rusyfikacji i germanizacji kultury polskiej. XIX-wieczne style narodowe z założenia były sztuczne, stały się zlepkiem romantycznej wizji dawnego budownictwa lokalnego z elementami autentycznie występującymi w różnych epokach historycznych na danym terenie. Zatarcie granicy między autentyzmem a historycznym fałszem było zjawiskiem typowym dla architektury i konserwacji zabytków w XIX w., odbijało się też echem w XX w.

Jaskrawym przykładem sztucznie wykreowanego stylu narodowego, powstałego poprzez rozwinięcie i wyolbrzymienie autentycznej tradycji wzorniczej, jest styl zakopiański. Stanisław Witkiewicz sięgnął do podhalańskiej sztuki ludowej. Częściej jednak sięgano po wzorce sztuki wyższej, na czele z architekturą sakralną. Na terytorium Kongresówki dużą popularność zyskał „styl” wiślano-bałtycki, będący odmianą neogotyku, opartą na teorii wspólnych cech gotyckiej architektury sakralnej

Zdjęcia: T. Michalski



Żoliborz Oficerski, dom przy ul. Czarnieckiego 20, arch. Romuald Gutt, l. 1922-1925

na terenie Pomorza i ziem polskich. W Warszawie neogotyck przeciwstawiano rusko-bizantyjskiej architekturze cerkwi, a więc był on oznaką oporu, symbolem odmienności Polaków od Rosjan, a także naszej przynależności do cywilizacji Zachodu. Warszawskimi przykładami tego „stylu” są kościoły autorstwa Józefa Piusa Dziekońskiego: św. Floriana na Pradze i św. Stanisława Biskupa na Woli, zwany zwyczajowo kościołem św. Wojciecha.

„Styl” wiślano-bałtycki, choć popularny, nie był jedyny, istniała bowiem niezliczona ilość kombinacji cech budownictwa dawnego. Przykładem – architektura kościoła Najświętszego Zbawiciela autorstwa Dziekońskiego, będąca mieszanką polskiego renesansu i baroku. Z okresu nieco późniejszego na wspomnienie zasługuje twórczość Oskara Sosnowskiego, w szczególności kościół jego projektu stojący przy placu Narutowicza. Świątynia, budowana etapami od 1911 r., uzyskała formę silnie nawiązującą do architektury średniowiecznej, ale z dostrzegalnym w bryle wieży rysem nowoczesnym. To zapowiedź nadchodzącej mody na łączenie stylów historycznych ze współczesnymi.

Od 1906 r. działało w Warszawie Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości, zajmujące się badaniem, katalogowaniem i ochroną zabytków architektury polskiej. Działali w nim przedstawiciele wielu dziedzin kultury, wśród architektów m.in. Józef Pius Dziekoński, Władysław Marconi, Stefan Szyller, a z młodszego pokolenia Zdzisław Mączyński, Kazimierz Skórewicz i Oskar Sosnowski. Będą oni później współtworzyć międzywojenną Warszawę. Także warszawskie Koło Architektów Polskich prowadziło działalność na polu badania architektury polskiej. Na horyzoncie pojawiła się realna szansa na odrodzenie niepodległej Polski. Stefan Szyller, jeden z najważniejszych architektów warszawskich przełomu XIX i XX w., zanotował po wybuchu I wojny światowej: „W chwili obecnej, gdy po dziejowym kataklizmie

wypadnie nam Polskę odbudować, rozwijanie znamion architektury polskiej stać się powinno dla nas zadaniem pierwszorzędnej narodowej doniosłości”.

Styl dworkowy

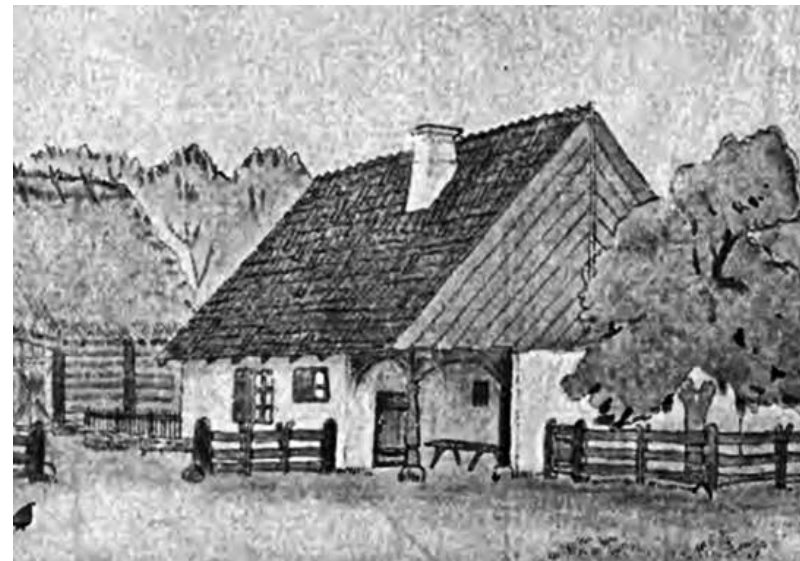
Czas odrodzenia Polski i przywrócenia rangi stolicy Warszawie przypadł na etap przejściowy w sztuce i architekturze. To okres wciąż obecnego przywiązania do stylów historyzujących, w duchu których nadal uczono na otwartym w 1915 r. Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, ale jednocześnie to czas rodzącej się awangardy, modernistycznej rewolucji w myśleniu o architekturze i urbanistyce oraz ekspansji stylu międzynarodowego. Początkowo ton architekturze nadawali dawni mistrzowie, twórcy stylów narodowych, nauczyciele pierwszych roczników warszawskiego Wydziału Architektury. Był to czas prób i poszukiwań, także w łonie tradycjonalistów, czego dowodził Lech Niemojewski w 1934 r., wyróżniając cztery grupy architektów pierwszych lat wolnej Polski: zwolenników tzw. polskiego baroku, amatorów klasycyzmu – głównie adeptów akademii petersburskiej, przedstawicieli szkoły krakowskiej i modernistów. Za centrum działań tych ostatnich uznał Warszawę.

Aby zrozumieć różnicę między architekturą dwudziestolecia międzywojennego a dzisiejszą, trzeba uzmysłowić sobie, jak bardzo czymś innym było wtedy środowisko architektoniczne. Praca architekta traktowana była podówczas z powagą, jako działalność kulturotwórcza.

Ochota, Kolonia Staszica, ul. Langiewicza 21, arch. Marian Kontkiewicz, l. 1923-1924



Zdjęcia: T. Michalski



Projekt wiejskiej chaty, „Odbudowa Wsi Polskiej”, Romuald Gutt, Rudolf Świerczyński, 1915 r.

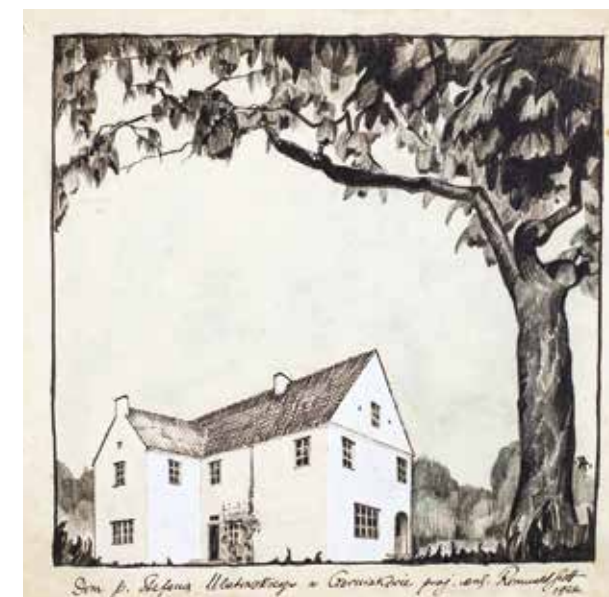
Wśród architektów, przynajmniej tych tworzących elitę zawodową, nadających ton epoce, powszechna była świadomość misji i zobowiązań wobec narodu. Dotyczyło to zresztą całej klasy inteligentkiej, dla której honorem była aktywność na polu patriotycznym i społecznym. Ta pozytywistyczna postawa, wywodząca się z czasów zaborów, nie uległa dezawuacji po odzyskaniu niepodległości. Przemianie uległ jedynie cel: z oporu poprzez pracę organiczną – na odbudowę i umocnienie odrodzonej ojczyzny.

W tych okolicznościach skryzlował się kolejny ze „stylu”, który można zaliczyć do narodowych – tzw. styl dworkowy, w miejskim wydaniu willowym. W pierwszych latach odrodzonej Rzeczypospolitej niezwykle popularny był w Warszawie nurt budownictwa swojskiego, czerpiącego z tradycji wernakularnej architektury wiejskiej oraz architektury dworów szlacheckich. Wyobraźnię projektantów pobudzały rysunki Stanisława Noakowskiego, na których obiektem uniesień artysty była swojska architektura dawna. Wzniósł on skromne elementy prowincjonalnej sztuki budowlanej do rangi symboli narodowych.

Duet architektów Romuald Gutt i Rudolf Świerczyński wygrał w 1915 r. zorganizowany przez Centralny Komitet Obywatelski i Koło Architektów konkurs na *Projekty zagród włościańskich*. We wstępie do katalogu konkursowego napisano: „Każde społeczeństwo, które chce być narodem, a nie luźnym tylko jednostek zbiorowiskiem, wsłuchuje się zbożnie w głosy przeszłości, czerpie z nich moc trwania i pęd ku przyszłości. [...] Niechaj przykłady tu zebrane wyjaśnią dobitniej, niżby to w słowa ująć można, jak nam budować trzeba, aby ze zgliszcz odrodziła się wieś polska w całej swej przedziwnej krasie piastowskiej, aby dowiodła światu, że i dziś, jak tysiąc lat temu, umiemy myśleć, czuć i budować po polsku”. Ci sami dwaj architekci kilka lat później, już w zupełnie innych realiach politycznych, należeli do projektantów domów w kolonii oficerskiej na nowo projektowanym



Akwarela autorstwa Stanisława Noakowskiego, 1922 r., Muzeum Sztuki w Łodzi



Romuald Gutt, rysunek perspektywiczny domu przy ul. Godebskiego 14, 1923 r.

Żoliborzu – dumie nowej Warszawy. Kolonia powstała w „stylu” dworkowym, w którym za wzór przyjęto formę zmitologizowanego dworu szlacheckiego. Mickiewiczowski dwór funkcjonował w kulturze jako symbol rodzinnego gniazda, cnót i tradycji patriotycznych, a zarazem jego tradycyjna forma była prosta w odbiorze i czytelna dla szerokich warstw społecznych. Źródłem czerpania wzorców stały się tradycyjne siedziby ziemiańskie, barokowe lub klasycystyczne, wykształcone w drugiej połowie XVII w. Podstawowym kopiowanym elementem definiującym dwór był portyk z kolumnami lub quasi-portyk z pilastrami zwieńczony trójkątnym frontonem. Innymi elementami charakterystycznymi były: wysokie, często łamane dachy czterospadowe, lukarny i okna mansardowe. W tej stylistyce powstawały nie tylko wille, lecz też domy w zabudowie szeregowej, większe budynki wielorodzinne oraz obiekty użyteczności publicznej, np. dworce kolejowe. →



Żoliborz, Kolonia Urzędnicza, 1928 r.

Idea podmiejskiej willi w „stylu” dworcowym z ogromem doskonale wpisywała się w popularną w pierwszych dekadach XX w. koncepcję miasta-ogrodu, którą usiłowano realizować w Warszawie i okolicach na przyłączonych do miasta gruntach pofortecznych lub parcelowanych gruntach ziemskich za miastem. Jako przykłady poza Żoliborzem należy wskazać: Bielany, miasto-ogród Czerniaków, Żąbki – miasto-ogród zapoczątkowane jeszcze przed I wojną światową – oraz Podkowie Leśną. Liczne przykłady architektury dworcowej można znaleźć na Wierzbnie i Ochocie.

Krakowski łącznik

Człowiekiem, który przeniósł na warszawski grunt krakowski styl narodowy, był Jan Witkiewicz „Koszczyca”. Bratanek Stanisława Witkiewicza, twórcy stylu zakopiańskiego, przeprowadził się do Warszawy w 1925 r., aby zrealizować swój projekt Wyższej Szkoły Handlowej (dziś Szkoła Główna Handlowa). Dwa budynki uczelniane przy ulicach Rakowieckiej i Batorego na Mokotowie pozostały najważniejszymi realizacjami warszawskimi Witkiewicza. Gmach główny SGH, ten ze szklaną piramidą, powstał po wojnie, choć zgodnie z planami autorstwa Witkiewicza.

Inne, mniejsze realizacje – na Mokotowie, Wierzbnie czy Żoliborzu – łatwe są do rozpoznania po typowej dla autora i rzadkiej w Warszawie manierze wymykającej się klasyfikacji, będącej konglomeratem elementów modernizmu, art déco, ekspresjonizmu i narodowego historyzmu. Owa maniera „Koszczyca” była bardziej typowa dla Krakowa niż Warszawy. Oba miasta, odseparowane granicą państw

zaborczych i ulegające przez stulecie innym wpływom, wytworzyły odmienne style narodowe. Architekturę krakowską cechowało wykorzystanie elementów zaczerpniętych ze stylu zakopiańskiego, art déco i większa liczba dekoracji rzeźbiarskich i sgraffit.

Nowoczesna czy zacofana?

Młodzi twórcy architektury Żoliborza Oficerskiego – Romuald Gutt, Rudolf Świerczyński i Kazimierz Tołłoczko – wkrótce porzucili style historyzujące i poszli z duchem czasu, przyjmując do swego portfolio formy awangardowe. To pokolenie projektantów przeszło drogę od historyzmu, przez zmodernizowany klasycyzm, po lokalny moder-

nizm. To ci mistrzowie, do których zaliczyć należy też Czesława Przybylskiego, klasycznie wykształceni znawcy architektury dawnej, o wielkiej kulturze artystycznej, świadomie przyjmujący nowoczesne formy, stworzyli najwspanialsze budynki klasyfikowane jako przykłady warszawskiej szkoły architektury.

Druga połowa lat 20. to początek podboju Warszawy przez architekturę modernistyczną w wydaniu minimalistycznym, „białym”, jak i bardziej lokalnym, o elewacjach licowanych szarą cegłą cementową. Lata 30. to już zdecydowanie czas modernistów. Jak ocenić ówczesny historyzm? W przypadku tzw. stylu dworcowego stosowanego w latach 20. w konwencji miast-ogrodów możemy mówić o rodzaju stylu i idei odpowiadających potrzebom swej epoki. Zgodnie z tą logiką architektura ta nie była zaszłością, ale nową koncepcją opartą o źródła tradycyjne, architekturą powstałą w zgodzie z czasem. W drugiej połowie lat 30., w sytuacji politycznej

Żoliborz, Kolonia Oficerska, I. 1925-1930



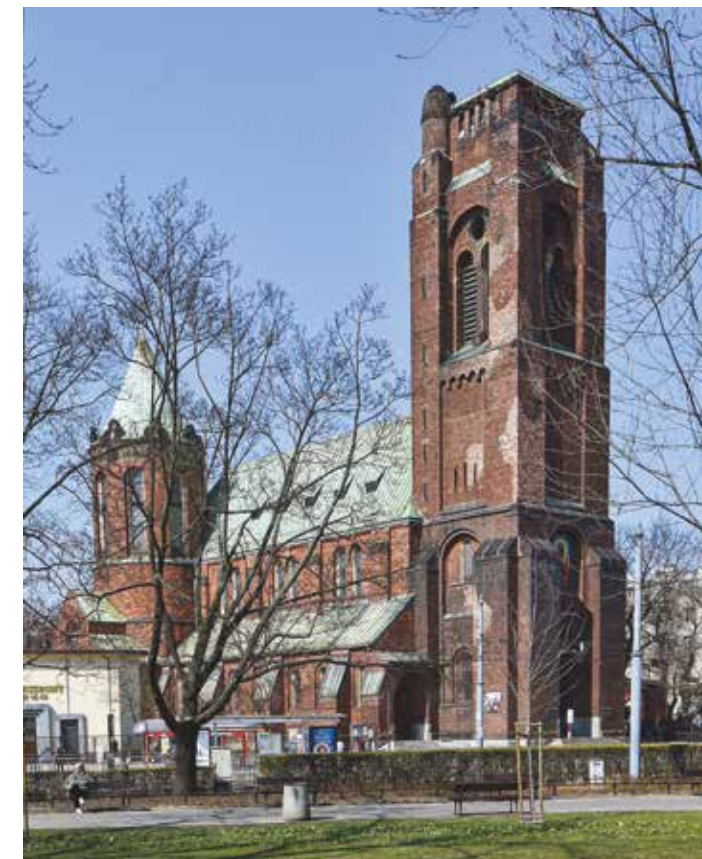
Osiedle Zdobycy Robotnicza przy ulicy Kasprowicza

Domena publiczna

zupełnie odmiennej niż dekadę wcześniej, powrócił architektoniczny objaw romantyzmu narodowego – historyzm. Tym razem jedynie jako element monumentalnej architektury narodowej nowego typu. Głównym reprezentantem stylu wzorowanego na architekturze faszystowskich Włoch był Bohdan Pniewski. Wszystko inne, co powstało w Warszawie w drugiej połowie lat 20. i w latach 30. w stylach historyzujących, śmiało można nazwać objawem konserwatyzmu inwestorów i projektantów. Stwierdzić więc można, że gmach Banku Rolnego przy Nowogrodzkiej (1926-1927), projektu Mariana Lalewicza, czy kamienice projektu tegoż z lat 20. są dziełami o architekturze zacofanej.

Czy można powiedzieć, że jest to zła architektura? Czy da się to obiektywnie stwierdzić? Można ocenić uniwersalne cechy piękna architektury: proporcje, kompozycję, relację obiektu z otoczeniem, dobór materiałów, świadomość użytych cytatów i symboli, balans między funkcją i formą. Pod tym względem należy stwierdzić, że dzieła Lalewicza są piękne, reszta – to kwestia przyjętej doktryny. Lata 20. i 30. to czas, kiedy aktualna była doktryna modernistyczna. Rewolucja w myśleniu o architekturze w wielkim skrócie polegała na przeniesieniu uwagi projektantów z formy na funkcję. Zarówno w skali mikro – rozkładu i funkcji pomieszczeń – jak i szerszej, tj. społecznej, postępowej roli budownictwa. Formalizm cechujący tradycyjną architekturę i urbanistykę stał się obiektem krytyki modernistów. Zgodnie z nową filozofią architektura miała być świadectwem własnej epoki.

Wielka zmiana nastąpiła w podejściu do architektury zabytkowej. Konsekwencją wprowadzenia myślenia modernistycznego do konserwacji zabytków było kategoryczne rozdzielenie historii od teraźniejszości. Na kartach przyjętej w 1931 r. na międzynarodowej konferencji konserwatorów zabytków i architektów Karcie Ateńskiej (nie mylić z Kartą Ateńską CIAM z 1933 r.) pojawiły się pojęcia



Kościół Niepokalanego Poczęcia NMP, plac Narutowicza, proj. Oskar Sosnowski

autentyzmu jako nadrzędnej wartości zabytku i fałszu konserwatorskiego, znane wcześniej z dzieł J. Ruskina czy A. Riegla – pionierów nowoczesnego podejścia do ochrony zabytków. Karta zapoczątkowała doktrynę konserwatorską teoretycznie obowiązującą do dziś.

Lata międzywojnia w Warszawie były zatem dla architektury epoką przejściową między czasami dawnymi, historycznymi, a nowoczesnością. Jednakże, począwszy od połowy lat 20., rolę modnej i właściwej dla projektanta postępowego przejęła architektura modernistyczna. Styl akademicki i neostyle historyzujące stały się domeną twórców konserwatywnych, opierających się postępowi. Na szczęście były to czasy, w których dyplom architekta gwarantował szeroką wiedzę i wysoką kulturę w kreowaniu przestrzeni, dzięki czemu ciężko jest znaleźć architekturę obiektywnie złą z tej epoki.

Dokąd na spacer?

Gdzie najlepiej udać się w wolny, letni dzień, żeby samej ocenić historyzującą architekturę międzywojennej Warszawy? Można ją znaleźć w każdej części miasta, ale mamy miejsca większych jej skupisk. Wielokrotnie przywoływany już Żoliborz to doskonała propozycja na początek. Bardziej kojarzy się z architekturą modernistyczną, ale to także rezerwat willowej architektury dworcowej. Po pierwsze więc kolonia oficerska znajdująca się na wschód od parku Stefana Żeromskiego. Tu znaleźć można wille projektu Gutta, Świerczyńskiego, Tołłoczki i Tadeusza Tołwińskiego. Szczególnie godna polecenia jest ulica Śmiała, zamknięta placem Słonecznym →



Państwowy Bank Rolny przy ulicy Nowogrodzkiej 50/54, arch. M. Lalewicz 1926-1927

projektu Gutta. Przy ulicy Czarnieckiego, na wysokości fortu Sokolnickiego, stoi budynek szkoły podstawowej projektu Witkiewicza „Koszczyca”, z licznymi przestrzelinami na elewacji, pamiętce po walkach z 1944 r. Kolejnym fragmentem dzielnicy wartym odwiedzenia jest kolonia urzędnicza, której domy stoją przy ulicach Wieniawskiego, Brodzińskiego i Wyspiańskiego. Wzdłuż ulicy Wyspiańskiego Gutt ulokował owalny plac Henkla, podobny do placu Słonecznego z kolonii oficerskiej, oraz prostokątny skwer Wyspiańskiego. Budynki Gutta obudowujące te place mocno ucierpiały podczas Powstania Warszawskiego, ich odbudowę w latach 50. kierował Maciej Nowicki, modernista, przedstawiciel ostatniej generacji przedwojennych absolwentów WAPW. Obiekty powstałe w latach 50. nawiązują do stylu dworskowego, ale mają zupełnie inną postać niż przedwojenne projektu Gutta. Budynki na sąsiedniej ulicy Brodzińskiego, projektu Aleksandra Bojemskiego, zachowały się bez zmian.

Równie dobrą propozycją na spacer architektoniczny są Stare Bielany, z placu Wilsona to tylko trzy stacje metra. Plan dzielnicy przypomina wycinek z radialnego wzorca miasta-ogrodu według Ebeneзера Howarda. To nie przypadek, ponieważ dzielnica w założeniu miała realizować idee Howarda. Wśród zbudowanych w latach 20. i 30. XX w. uliczek Starych Bielany są zarówno wille w formach modernistycznych, jak i w tzw. stylu dworskowym. Ciekawostką jest zlokalizowane na północ od placu Konfederacji osiedle spółdzielni mieszkaniowej Zdobyc Robotnicza. Powstało w latach 20. w stylu dworskowym z inicjatywy spółdzielni mieszkaniowej związanej z robotniczymi organizacjami chrześcijańsko-demokratycznymi.

W poszukiwaniu miejskich przykładów tzw. stylu dworskowego warto przejść się także na Ochotę. Tutaj uwadze polecam Kolonię Staszica, gdzie znaleźć można pochodzącą z lat 20. architekturę autorstwa m.in.

Antoniego Dygata i Mariana Kontkiewicza. Posuwając się na zachód w kierunku ulicy Grójeckiej, mijając będziemy budynki kolejnych spółdzielni mieszkaniowych z lat 20., ciągle pozostając w nastroju architektury dworskowej. Tak jak na Żoliborzu i Bielanych, również tutaj, gdy spojrzemy na radialny układ ulic rozchodzących się od placu Narutowicza, dostrzeżemy inspirację ideą miasta-ogrodu. Z Ochoty już niedaleko na Wierzbno, gdzie między ulicami Krasickiego i Wejnerta obejrzeć można domy pasujące do zadanego w tej opowieści klucza.

Niezwykle ciekawym przykładem założenia utrzymanego w stylistyce dworskowej jest znajdujące się między ulicami Myśliwiecką, Górnośląską i Hoene-Wrońskiego osiedle Spółdzielni Mieszkaniowej Profesorów Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, tzw. Kolonia Profesorska, z

lat 1922-1928. Profesorowie postanowili stworzyć spółdzielnię i zamieszkać razem na wspólnym osiedlu. Tak powstało 18 domów zaprojektowanych dla samych siebie lub kolegów z wydziału przez największych warszawskich architektów epoki. W kolonii zamieszkali m.in. Zdzisław Mączyński, Marian Lalewicz, Oskar Sosnowski, Rudolf Świerczyński, Czesław Przybylski czy Antoni Jawornicki. Niemal wszystkie wille powstały w stylu dworskowym, jedynie Romuald Gutt zaprojektował swój dom w autorskim stylu nowoczesnym.

W poszukiwaniu pozostałości miasta-ogrodu Czerniaków, projektu Antoniego Jawornickiego i Oskara Sosnowskiego, warto wybrać się w okolice fortu Czerniaków, a dla pragnących oddalić się bardziej od centrum pozostaje wizyta w mieście-ogrodzie Podkowie Leśnej, także wedle planu Jawornickiego. Bardziej zatarty, ale dostrzegalny układ miasta-ogrodu odnajdziemy w Żąbkach.

Na koniec chciałbym zaprosić na ulicę Targową, przed gmach Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych. Budynek powstał na przełomie lat 20. i 30. XX w. Jego autora, Mariana Lalewicza, przywołałem już jako twórcę w międzywojniu architekta tradycjonalistę. Proponuję obejść gmach dookoła, przyjrzeć się bryle, detalom, proporcjom. Budynek łączy nowoczesność ulokowanej w centrum wysokiej bryły korpusu głównego z bardziej tradycyjną formą czterech skrzydeł. Jak zawsze w dziełach Lalewicza uderza ład – sedno XIX-wiecznego akademizmu, którego architekt ów nigdy się nie wyparł. Wszystkie elementy tworzą harmonijną całość, opowiadając o randze obiektu, jego funkcji i epoce powstania. Nie jest to bezmyślne naśladowanie architektury zabytkowej. Marian Lalewicz udowadnia, że nie tylko architektura awangardowa może być dobra. 🍷

Tadeusz Michalski – architekt, varsavianista, autor strony *Warszawskie Blizny*



Pierwsza Warszawska Wytwórnia WYROBÓW JUBILERSKICH, ul. Leszno 40, 1923 r., „Świat”, 1923, nr 24

Warszawy przedmioty pożądanania

Adrian Sobieszczański

Diamenty są wieczne, za to pamięć ludzka jest zawodna i nietrwała. Dzisiaj niewiele osób pamięta nazwiska przedwojennych warszawskich jubilerów i złotników, których wyroby zaledwie 80 lat temu były synonimem kunsztu i elegancji. Rozpalały wyobraźnię nie tylko kobiet

W latach 20. i 30. najbardziej pożądanymi kamieniami szlachetnymi były brylanty, a na drugim miejscu pozostawały szmaragdy, o których cenie decydował nie kształt, lecz odcień. Obwieszanie się klejnotami nie było w dobrym guście. W końcu lat 20., jak wskazywał legendarny warszawski jubiler Wincenty Wabiński, modne były szerokie bransolety oraz pierścionki z jednym, za to efektownym kamieniem. Na takie wyroby stać było tylko nielicznych. Już przed wojną w jubilerstwie złoto zaczęła zastępować platyna, do łask wracały też ametysty i topazy.

W przedwojennej Warszawie nie brakowało rzemieślników zajmujących się wyrobem biżuterii, jednak należy pamiętać, że mianem jubilera określano zarówno osoby parające się rzemiosłem, jak i handlujące wyrobami jubilerskimi. ➔



Wnętrze sklepu Jubilartu przy ulicy Kredytowej, 1936 r., „Arkady”, 1936, nr 9

Jak zauważają badacze tematu, dawniej określenie złotnik i jubiler stosowano zamiennie. Pracownie i firmy oferowały szeroki asortyment przedmiotów – od biżuterii, przez szeroko rozumiane wyroby złotnicze i zastawy stołowe, po przedmioty liturgiczne. Po zakończeniu Wielkiej Wojny ponownie wzrosło zapotrzebowanie na luksusowe obiekty jubilerskie. W Polsce, w przeciwieństwie do krajów zachodnioeuropejskich, produkcją biżuterii nie zajmowały się duże firmy, lecz prywatne zakłady rzemieślnicze. Praca jubilera była pracą artystyczną; to od jego umiejętności i gustu zależało wykończenie przedmiotu, wydobycie piękna metalu czy kamienia.

W przedwojennej Warszawie można było skorzystać z usług rzeszy wyspecjalizowanych zakładów i sklepów jubilerskich o wielkiej renomie. Jednym z najbardziej znanych był funkcjonujący na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej magazyn Kazimierza Bretsznajdera. Przy ul. Niecałej 8 działał magazyn Andrzeja Kostanika. Stanisław Kulesza od 1915 r. prowadził sklep przy ul. Marszałkowskiej 66, a następnie przy ul. Mokotowskiej 19. Oferowane przez firmę obrączki miały decydować o szczęściu w małżeństwie. Renomą cieszyła się firma Ludwika Lipińskiego, działająca od 1888 r. najpierw przy

Senatorskiej, a od 1908 r. przy ul. Wierzbowej 7, blisko placu Teatralnego. Największym fachowcem od drogocennych kamieni pozostawał Mendel Rutstein.

Organizacja warszawskiego cechu zrzeszającego mistrzów rzemiosł artystycznych i precyzyjnych sięga roku 1516, kiedy to opracowano pierwszy statut Cechu Złotników Starej Warszawy. W 1752 r. powstał Cech Zegarmistrzów, a w 1789 r. – Cech Brązowników i Mosiężników. W 1792 r. król Stanisław August podarował Cechowi Złotników sztandar z wizerunkiem świętego Elżbiety – patrona złotników. Pod koniec XIX i w XX w. z cechem złotników byli związani także warszawscy grawerzy. Forma kształcenia przez lata nie ulegała zmianie i polegała na terminowaniu u mistrza, ale w czasie tym zdobywano też wiedzę i umiejętności w szkołach rzemieślniczych. W dwudziestolecie Warszawski Cech Jubilerów, Złotników i Grawerów miał siedzibę przy ul. Marszałkowskiej 149, w domu, w którym swoją pracownię prowadził Stanisław Lipczyński, pełniący w latach 1906-1939 funkcję starszego cechu.

Obok Poznania i Lwowa to właśnie w Warszawie działało najwięcej pracowni jubilerskich. Warszawa wyprzedzała Poznań liczbą zakładów. Wymianie doświadczeń i integracji środowiska służyły zjazdy i wystawy, z których pierwsza odbyła się w początku 1925 r. we Lwowie. Spotkanie było okazją do podjęcia próby sformowania ogólnopolskiej organizacji działającej na rzecz środowiska i występującej w jego imieniu. Ważnym wydarzeniem dla branży była Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu w 1929 r. W Pawilonie Rzemiosła zaprezentowało się ponad 300 wystawców. Na poznańskiej wystawie nagrodzono m.in. warszawskie firmy. Małym złotym medalem odznaczono firmy: Feliksa Plichty, Jubilart, Krupski i Matulewicz oraz przedsiębiorców z Lwowa i Poznania. Wielki złoty medal przypadł poznańskiej firmie W. Szulc działającej przy pl. Wolności 5, należącej obok istniejącego do dzisiaj przedsiębiorstwa W. Kruk do najważniejszych w branży. W 1930 r. w Warszawie odbył się III Wszechpolski Zjazd Samodzielnych Zegarmistrzów, Złotników, Jubilerów i Rytowników. Spotkanie miało miejsce w Resursie Obywatelskiej, a jego przewodniczącym był Stanisław Lipczyński. Zjazd odbywał się na progu wielkiego kryzysu, którego skutki miały być w Polsce odczuwalne do połowy lat 30. W czasie kryzysu notowano spadki obrotów o 80%. Warunkiem przetrwania było dostosowanie się do potrzeb rynku, m.in. poprzez oferowanie wyrobów tańszych. Po okresie kryzysu, który był ogromnym ciosem także dla branży jubilerskiej, już w 1936 r. powstała specjalna komisja, w skład której weszli Władysław Krupski i Jan Knedler. Komisja miała dbać o interesy rzemieślników, przystąpili do niej też członkowie żydowskiego Cechu Jubilerów i Zegarmistrzów.

Warszawa była trzecim po Moskwie i Petersburgu centrum jubilerskim Imperium Rosyjskiego. Sytuacja zmieniła się diametralnie po wojnie.

W 1919 r. w Warszawie powstała Pierwsza Spółka Jubilerów, założona przez kilku przedstawicieli branży. Siedziba mieściła się przy ul. Senatorskiej 32, potem powstał oddział przy ul. Marszałkowskiej 145. Dążono do rozwoju branży jubilerskiej oraz zabezpieczenia rynku krajowego przed napływem wyrobów importowanych. Te wytwarzane przez spółkę miały konkurować z innymi wyrobami jakością wykonania, kunsztem, a przede wszystkim ceną. Dwa lata później powstała Pierwsza Warszawska Wytwórnia Wyrobów Jubilerskich, a przedsiębiorstwo przeniosło się na ul. Leszno 40, pozostawiając oddział przy ul. Marszałkowskiej 145. Usprawnieniu prac służyły sprowadzone maszyny. Efektem była możliwość wytwarzania dużej ilości biżuterii. Produkowano ją ze srebra, złota i platyny. W asortymencie były pierścionki, kolczyki, bransoletki, zegarki, spinki, papierońnice czy puderniczki. Wyroby cieszyły się dużą popularnością i były wysoko oceniane, czego potwierdzeniem był udział Pierwszej Warszawskiej Wytwórni Wyrobów Jubilerskich w Pierwszej Wystawie Złotniczej w Warszawie.

Wspomniana wystawa odbywała się równocześnie z otwarciem Muzeum Złotniczego w Warszawie, 27 maja 1923 r., z siedzibą przy ul. Złotej 22. Celem instytucji było szkolenie złotników oraz skupienie branży. Na



Krzyż Virtuti Militari V klasy z pracowni Krupskiego i Matulewicza, zbiory autora

Władysław Krupski



czelę placówki stanął Stanisław Hempel, a w skład komitetu wystawy weszli m.in. Jan Ruszczyński, Stanisław Lipczyński i Mendel Rutsztejn. Pokazano wyroby grawerskie, przedmioty złotnicze i brązy artystyczne. Wystawa była okazją do zaprezentowania się dla wielu firm warszawskich, jak Fraget czy Bracia Hempel. Uwagę zwracały wyroby Krupskiego i Matulewicza, w tym papierońnice, mogące rywalizować z wyrobami zagranicznymi. Firma Adama Nagalskiego pokazała przedmioty kościelne, Bracia Łopieńscy – brązy artystyczne. Można też było obejrzeć wyroby Wikto-

ra Gontarczyka, twórcy m.in. buławy marszałka Piłsudskiego oraz wytwórcy najważniejszych polskich orderów i odznaczeń. W dziale medalierskim zaprezentowali się Stanisław Lipczyński i Jan Knedler. Wyroby jubilerskie pokazały m.in. firmy: Stanisława Dmowskiego, Władysława Lipowskiego, Antoniego Turczyńskiego, Mendla Rutsztejna i Feliksa Plichty.

Reklama firmy Krupski i Matulewicz, „Świat”, 1923, nr 24



Polona



Adam Nagalski, 1933 r., „Sztuka Złotnicza”, 1933, nr 1

Do najważniejszych i największych przedsiębiorstw złotniczych w kraju należała Fabryka Wyrobów Złotych, Srebrnych Krupski i Matulewicz. Władysław Krupski był przedstawicielem Sekcji Jubilerów i Złotników przy Zgromadzeniu Kupców m.st. Warszawy. Firma została założona w 1909 r. Specjalizowała się w wyrobie papierośnic złotych, srebrnych, emaliowanych oraz wytwornej galanterii, pucharów, tacek, kubków, kieliszków i nagród sportowych.

Fabryka zlokalizowana była przy ul. Leszczyńskiej 12; w początku lat 20. zatrudniała 70 pracowników. Zakład wyposażono w nowoczesne maszyny. Wyroby Krupskiego i Matulewicza cieszyły się ogromnym zainteresowaniem. Zaliczano je do pierwszorzędnych i często kupowano jako przedmioty pamiątkowe i prezenty, wręczane również w sferach rządowych i wojskowych. Firma miała zaszczyt wykonać pierwszą partię krzyży Orderu Wojennego Virtuti Militari, po tym jak sejm, 1 sierpnia 1919 r., zatwierdził ustawę o przywróceniu dawnego orderu. Wytwarzała krzyże wszystkich klas. W latach 20. i 30. u Krupskiego i Matulewicza wielu odznaczonych zamawiało duplikaty krzyży bez numerów nadania, czyli tzw. wtórniki.

W Polsce w okresie dwudziestolecia do obrotu handlowego trafiały tylko przedmioty o określonej próbie, na straży czego stał Główny Urząd Probierny w Warszawie. Przed wystawieniem na sprzedaż przedmioty musiały być urzędowo przebadane i cechowane

Odnaka 2 Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich po chor. Stanisławie Janowskim, w oryginalnym etui z pracowni Nagalskiego, zbiory Muzeum Narodowego w Krakowie



Reklama pracowni Adama Nagalskiego – „Sztuka Złotnicza”, 1933, nr 1

w urzędach pobierczych. Pracownie jubilerskie rejestrowały też w urzędzie znaki firmowe, które w formie puncy pojawiały się na wyrobach. Władysław Krupski stanowczo protestował przeciwko obowiązkowemu cechowaniu wszystkich przedmiotów i posyłaniu ich w tym celu do urzędów probiernych, wiązało się to jego zdaniem z kosztami, przestojami, stratą czasu i wydłużaniem terminu wykończenia obiektów.

Jednym z najślynniejszych przedstawicieli świata jubilerskiego w Warszawie był Wincenty Wabia-Wabiński. Przeszedł długą drogę, nim stał się szanowanym jubilerem i filantropem. Wincenty Wab był synem szewca, który zmienił nazwisko na Wabiński w celu upodobnienia się do cechowego mistrza Juliana Wapińskiego. Do nazwiska dodał też przydomek Wabia. Jeszcze w czasie I wojny Wabiński kierował sklepem jubilerskim Juliana Wapińskiego przy Krakowskim Przedmieściu 19.

Po ukończeniu szkoły handlowej wyjechał w podróż po Europie. Zwiedził Paryż, Berlin, Londyn, Wiedeń i Madryt. Do Warszawy wrócił bez grosza, ale za to, jak sam pokreślał, z kapitałem doświadczenia życiowego. Za podarowane mu od przyjaciela w 1919 r. 150 tys. marek wynajął lokal na prowadzenie zakładu jubilerskiego. 2 lutego 1920 r. sklep Wabińskiego został otwarty w Hotelu Europejskim, w narożniku od strony placu Saskiego i dzisiejszej ulicy gen. Michała

Tokarzewskiego-Karaszewicza. Na otwarciu sklepu obecny był m.in. Ignacy Jan Paderewski z żoną. Częstymi bywalcami zakładu byli arystokraci, wojskowi, politycy i artyści, co potwierdzają wpisy w księdze pamiątkowej sklepu. Pamiątkowe podpisy złożyli m.in. Juliusz Osterwa, Antoni Fertner, Lucyna Messal, Józef Piłsudski oraz adiutant marszałka gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Wabia-Wabiński dał się poznać także jako filantrop, często przekazywał pieniądze i swoje wyroby na cele charytatywne. W ten sposób zapewniał sobie dobrą reklamę. W lutym 1920 r. ogłosił konkurs na klejnot w „stylu polskim”, czym potwierdzał swoje przywiązanie do odradzającego się państwa. Patriotyczny obowiązek spełnił też, wstępując ochotniczo do wojska w sierpniu 1920 r.

Oprócz biżuterii Wabia-Wabiński wykonywał wtórniki orderów i odznaki wojskowe, orły na sztandary, m.in. dla 6 Pułku Strzelców Podhalańskich. Biżuteria z pracowni Wabińskiego często stanowiła nagrodę w konkursach. Wabia-Wabiński był autorem srebrnego wieńca ku czci Juliusza Słowackiego, złożonego na grobie wieszca podczas powtórnego pogrzebu w 1927 r. W wywiadzie z 1926 r. Wabiński dawał wskazówki, jak należy wykonywać pracę jubilera – trzeba pracować jak najdokładniej, klientów traktować z uprzejmością, a przy transakcjach okazywać wyrozumiałość. Dla klientów biedniejszych zalecał robić upusty. Pracownia Wabińskiego nie zaprezentowała się na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w 1929 r. Czas ten był początkiem problemów jubilera, zmagającego się

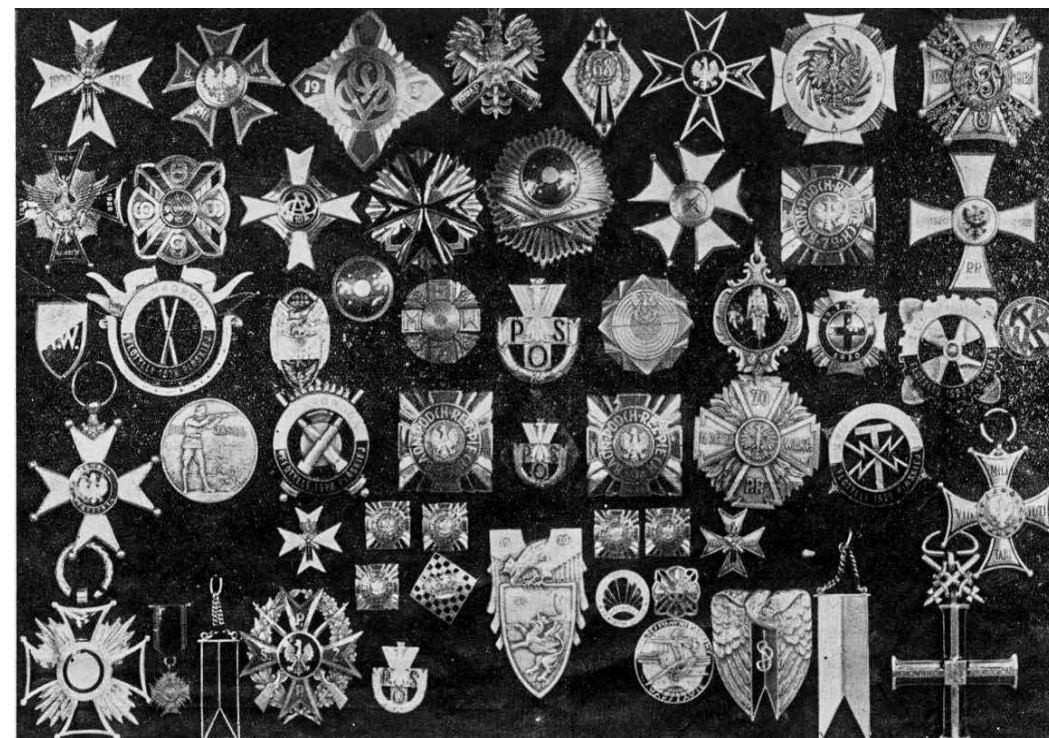
z problemami finansowymi. Wabiński próbował się ratować, wykorzystując swoje znajomości i prosząc o pożyczkę Paderewskiego. Aby spotkać się z kompozytorem, wyjeżdżał nawet do Szwajcarii. Do spotkania raczej nie doszło, a jubiler nie uzyskał kwoty, o którą prosił. W początku 1932 r. na światło dzienne zaczęły wypływać informacje o przywłaszczaniu sobie przez Wabińskiego powierzanej mu biżuterii i klejnotów. Zatrzymany, trafił na Pawiak, skąd został zwolniony za kaucją w wysokości 5 tys. zł, wpłaconą przez teścia, Adama Sapiechę, regulującego także długi jubilera. Procesem żyła cała Polska. Na ocenę sądu wpływ zapewne miała działalność filantropijna Wabińskiego. Skazano go na dwa lata więzienia, w zawieszeniu na pięć lat. Jego współpracownik, warszawski grawer Józef Kweksilber, otrzymał karę 1000 zł grzywny. Wabia-Wabiński nie odzyskał dawnej pozycji. W latach 30. był współwłaścicielem firmy jubilerskiej z siedzibą przy Kredytowej. Jego dawny sklep w Hotelu Europejskim zajmowali kolejno jubiler Bolesław Tarkowski i firma Jubilar.

Wspomnijmy jeszcze, że 24 sierpnia 1926 r. prasa donosiła o zuchwałym napadzie na sklep Wabińskiego w Hotelu Europejskim. Napad miał miejsce między godz. 13 a 15, w czasie przerwy obiadowej. Kradzieży dokonano na oczach przechodniów. Dzienniki rozpisywały się o napadzie w iście amerykańskim, filmowym stylu. Włamywacze weszli do salonu, otwierając drzwi dobranymi kluczami, po czym zaczęli opróżniać gabloty i wystawy tego najwytworniejszego salonu jubilerskiego stolicy. Złodzieje byli z pewnością zaznajomieni z fachem, jak i z wyrobami jubilerskimi, bo ich łupem

padły przedmioty najcenniejsze. Straty, obliczone wstępnie na ok. 100 tys. zł, były zdecydowanie większe – podczas mowy w sądzie Wabiński podawał kwoty rzędu 200 tys. zł. Jubiler w całym nieszczęściu miał trochę szczęścia, ponieważ włamywacze nie zobaczyli pozostawionego na wierzchu kluczyka do kasy z najcenniejszymi klejnotami.

W styczniu 1930 r. również zuchwałego rabunku dokonano w sklepie jubilerskim Edwarda Jagodzińskiego przy Nowym Świecie. Włamywacze dostali się do sklepu przez tylne drzwi →

Wyroby z pracowni Adama Nagalskiego, 1933 r., „Sztuka Złotnicza”, 1933, nr 1





Punca Jana Knedlera na krzyżu Virtuti Militari V klasy, zbiory autora

za pomocą dorobionych kluczy, rozpruli płomieniem acetylowym kasę i ukradli gotówkę oraz biżuterię, której wartość obliczono na 185 tys. Po zakończonej robocie wyszli frontowymi drzwiami, zostawiając na miejscu narzędzia pracy. Po śledztwie aresztowano włamywaczy, a przy tym policja wpadła na trop planowanego napadu na filię Banku Polskiego w Częstochowie. Analogiczna organizacja i sposób rozprucia kasy spowodowały, że służby powiązały ze sobą te zdarzenia. Włamania były dziełem szajki kasiarza, na której czele stał Stanisław Cichocki – legendarny Szpicbródka. Do szajki należeli też Adam Stempel, Julian Dylewski, Marian Brzeziński, pseudonim Maciek Buc [jego historię przypomniał na łamach STOLICY nr 3-4/2021 Mateusz Rodak – red.]. Niedługo później aresztowano kasiarza Juliana Daszkiewicza, który przyznał się do włamania do sklepu jubilera i opisał szczegółowo działania każdego z towarzyszy. Po podzieleniu się łupami na Saskiej Kępie planowali wyjechać z kraju pod zmienionymi nazwiskami. Służby

w niedługim czasie aresztowały też Szpicbródkę wraz z włamywaczem Marianem Brzezińskim. Osiem miesięcy później aresztowano w Sosnowcu nie mniej zręcznego od Szpicbródki kasiarza Kazimierza Stempla, właściciela kabaretu Czarny Kot.

Zanim Jagodziński przyjechał do Warszawy, prowadził przedsiębiorstwo Niecielski i Jagodziński przy samym Chreszczatyku 31 w Kijowie. Przyczyną upadku przedsiębiorstwa była rekwizycja złota i kosztowności przeprowadzona w 1919 r. na mocy dekretu Symona Petlury. Po przeprowadzce do Warszawy Jagodziński prowadził od 1921 r. swój zakład przy Nowym Świecie 42. Kradzież kosztowności przyczyniła się do samobójczej śmierci jubilera, który jako człowiek nieposzlakowanej uczciwości, mimo że nikt nie wysuwał pod jego adresem zarzutów, nie umiał śmiało patrzeć w oczy klientom. 9 maja 1930 r. o godz. 6 rano skoczył z czwartego piętra domu przy ul. Smolnej 10. W uroczystościach pogrzebowych wzięli udział licznie przybyli jubilerzy warszawscy, dając w ten sposób wyraz współczucia i solidarności z rodziną zmarłego.

Renomą w przedwojennej Warszawie cieszyły się wyroby Jubilartu. Firma egzystowała od 1901 r., a jej początków należy upatrywać w działalności I Kijowskiej Spółki Jubilerskiej. Dom Handlowy Jubilart funkcjonował od 1921 r., w kamienicy przy ul. Kredytowej 18. W latach 20. zajmował się przede wszystkim handlem wyrobami jubilerskimi, oferował też przeróbki i naprawę biżuterii. W drugiej połowie lat 20., na zorganizowanym przez Stowarzyszenie Kupców Polskich, Centralę Związku Kupców i Urząd Starszych Zgromadzenia Kupców m.st. Warszawy pierwszym konkursie wystaw sklepowych firma uzyskała wyróżnienie. Wielkim sukcesem Jubilartu była Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu w 1929 r., na której zaprezentowano m.in. brylantową broszkę, komplet ze szmaragdami i platynową bransoletkę. Firmę odznaczono Wielkim Medalem Srebrnym. Wyroby warszawskiego przedsiębiorstwa uzyskały też złoty medal i Grand Prix na International General Trade Exhibition w 1932 r. w Londynie. Firma była

jedynym polskim wytwórcą biorącym udział w tej wystawie. W początku grudnia 1935 r. drugi salon firmy został otwarty w Hotelu Europejskim, w miejscu, gdzie wcześniej funkcjonował sklep Wabińskiego. Na Wystawie Światowej w Nowym Jorku w 1939 r.



Bransoleta i pierścionek produkcji Jubilartu

wśród nielicznych firm zaproszonych przez Generalny Komisariat Wystawy do udziału w Państwowym Pawilonie Polskim znalazł się Jubilart, o którym pisano, że biżuteria przezeń wyrabiana nie tylko dorównuje najświetniejszym kreacjom zagranicznym, lecz także w wielu przypadkach je przewyższa.

Salon firmy Jubilart przy ul. Kredytowej 18 został zaprojektowany przez znanego architekta Lucjana Korngolda. Ustawiono tu fornirowane meble na smukłych nóżkach, wyznaczające przestrzeń dla personelu, gdzie umieszczono sejf. Meble również zostały zaprojektowane przez Korngolda, a wykonane przez bydgoską firmę Ottona Pfeferkorna z Bydgoszczy. Szkło i lustra wyprodukowała Wspólna Praca. Charakter wnętrza podkreślał żyrandol o cylindrycznym kształcie. Neon umieszczony nad wejściem powstał w firmie Des. Co ciekawe, Korngold sam pochodził z rodziny jubilerów. Jego ojciec, Jakub Korngold, prowadził przy ul. Marszałkowskiej 154 salon jubilerski, sięgający swoimi początkami 1830 r. Salon został założony przez Nuchima Korngolda, początkowo miał siedzibę przy ulicy Franciszkańskiej. Po śmierci Jakuba Korngolda firmą kierowała wdowa Felicja z dziećmi – Aliną i przyszłym architektem Lucjanem.

Dobrze znany warszawiakom był zakład prowadzony przez Adama Nagalskiego. Urodzony w 1860 r. Nagalski w latach 30. obchodził 55-lecie swojej pracy. Wraz z Antonim Psykiem w latach 1894-1917 prowadził Pracownię Wyrobów Srebrnych przy ul. Senatorskiej 29. W lipcu 1904 r. pracownia została przeniesiona na ul. Bielańską 6, fabryka zaś działała przy ul. Bielańskiej 16. W 1920 r. Adam Nagalski założył Pierwszą Krajową Fabrykę Medali i Nagród

Sportowych. W końcu lat 30. firma Nagalskiego występowała jako Nagalski i Ska. Właścicielami i jednocześnie dyrektorami byli Adam i Stanisław Ferdynand Nagalscy, oprócz nich do spółki weszli Stefan Czesław i Franciszek Nagalscy oraz Aniela Kuran i Leokadia Nowakowska. Fabryka specjalizowała się w produkcji sztucców, obiektów kościelnych, odznak, medali, nagród sportowych. W pracowni Nagalskiego powstawały żetony sportowe, proporczyki, odznaki pułkowe, odznaki szkół wojskowych. Pracownia wyrabiała krzyże Virtuti Militari, Ordery Odrodzenia Polski, Krzyże Zasługi. Zakład prowadził też wyłączną produkcję Państwowych Odznak Sportowych zaprojektowanych przez prof. Szkoły Sztuk Pięknych Karola Stryjeńskiego. 🇵🇱

Adrian Sobieszczański – historyk, licencjonowany przewodnik miejski, pasjonat polskiej wojskowości i architektury, współtwórca projektu *Warszawy Historia Ukryta*

BIBLIOGRAFIA:

R. Bobrow, *Warszawscy złotnicy, jubilerzy, grawerzy i kupcy wyrobów kruszcowych w XIX wieku*, Warszawa 2018; A. Lipczik, *Jubilerstwo w międzywojennej Warszawie. Rzemiosło, ludzie, biżuteria*, Warszawa 2021; J.B. Miecznik, *Przemijający świat rzemiosła. 500 lat Cechu Złotników, Zegarmistrzów, Optyków, Grawerów i Brązowników m.st. Warszawy*, Warszawa 2016; T. Jeziorowski, J.S. Tym, *Blask orderów*, t. 3: *Ordery i odznaczenia Polski Ludowej (PRL) i III Rzeczypospolitej*, Warszawa 2019; G. Rytel, *Lucjan Korngold: Warszawa – São Paulo 1897-1963*, Warszawa 2014; prasa z epoki

Polonia

Reklama pracowni Stanisława Kuleszy – „Gazeta Poranna” / Kalendarz na rok 1923

Kontynuujemy nasz cykl tras turystyczno-naukowych po Mazowszu. Dobór miejscowości i zabytków jest podyktowany wartościami historycznymi oraz znaczeniem dla sztuki Mazowsza. Zebrane w grupy budowle sakralne, rezydencjonalne i publiczne można uznać za najbardziej reprezentatywne dla regionu, co więcej, składają się one na ilustrację kluczowych zjawisk i procesów w dziejach Mazowsza. A przy tym przypominamy plejadę często zupełnie zapomnianych polskich artystów i rzemieślników.

Wokół historycznego Mazowsza

– o kulturze artystycznej regionu

cz. 8

Michał Wardzyński

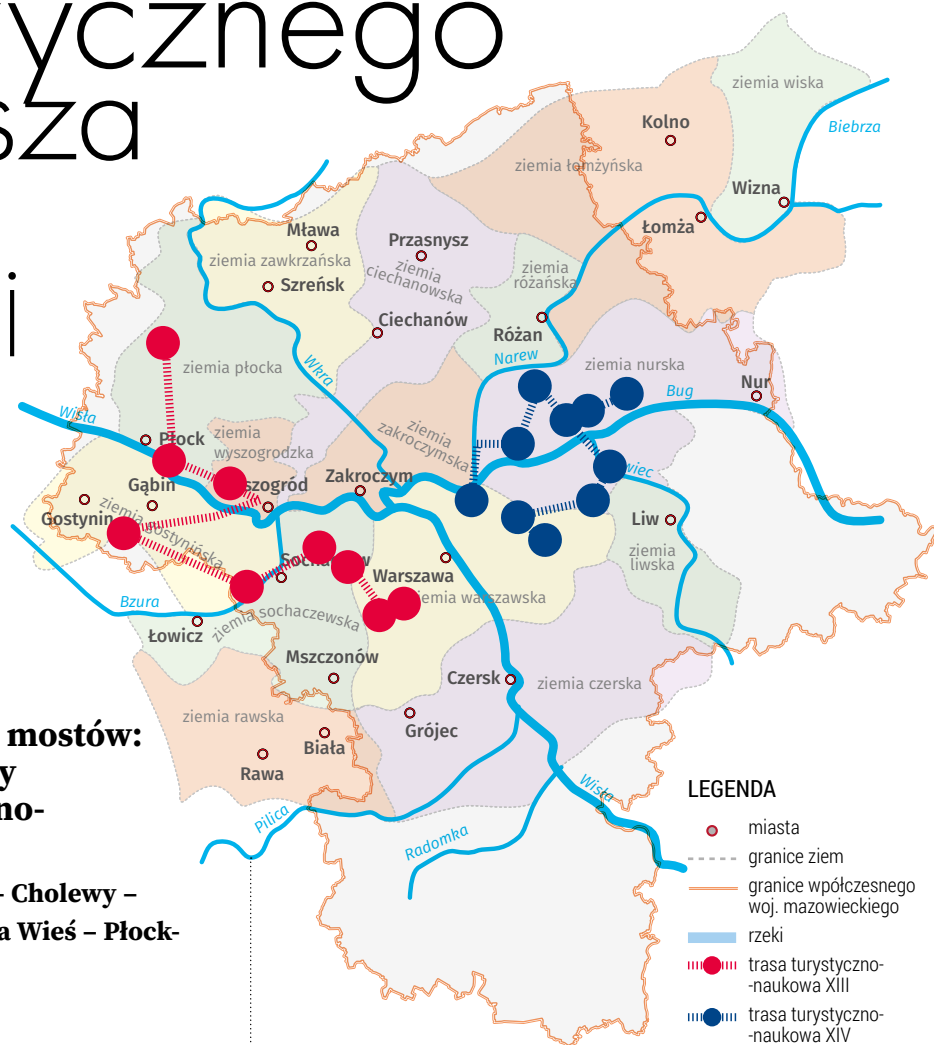
Trasa XIII:

Patroni miedz, domostw i mostów: barokowe pomniki i figury przydrożne (trasa północno-zachodnia)

Raszyn – Nadarzyn – Bieniewice – Cholewy – Kozłów Szlachecki – Suserz – Mała Wieś – Płock – Imielnica – Stare Piastowo

Badania nad nowożytną małą architekturą i rzeźbą w przestrzeni publicznej prowadzone są w Polsce niekonsekwentnie, brak też – z wyjątkiem Śląska, należącego w XVI-XVIII w. kolejno do Królestwa Czech i Prus – opracowań syntetycznych i problemowych na ten arcyciekawy temat. Wśród dzielnic dawnej Rzeczypospolitej, które doczekały się bazowych opracowań inwentaryzacyjno-katalogowych, wymienić należy tylko Małopolskę i Wielkopolskę. Na Mazowszu i w Warszawie, z uwagi na małą liczbę takich zabytków, skupiano się na przydrożnych figurach

Prowadząc rozważania nad sztuką dawnego Mazowsza, należy pamiętać, że administracyjne granice tego regionu są dzisiaj różne od tych sprzed 1795 r. Bez dawnego województwa rawskiego oraz ziem łomżyńskiej i wiskiej, za to z dodaną północną częścią dawnego regionu sandomierskiego (Radom i okolice) oraz fragmentami Podlasia i ziemi łukowskiej województwa lubelskiego – współczesne województwo mazowieckie gromadzi spuściznę materialną i kulturową kilku niezwiązanych ze sobą wcześniej dzielnic dawnej Rzeczypospolitej.



czeskiego kanonika – św. Jana z Pomuka (Nepomucena), utopionego w Wełtawie w Pradze w 1393 r. W latach 20. XVIII w. za sprawą jezuitów wybrano go na jednego z patronów Cesarstwa. Miał chronić wiernych od klęsk elementarnych i zagrożeń ze strony innowierców. Na polu popularyzacji wiedzy na temat świętego największe sukcesy odniósł anonimowy autor cenionego portalu internetowego Nepomuki.pl i forum społecznościowego <https://www.facebook.com/nepomuki>.

Tymczasem poza Warszawą, w wielu historycznych miejscach, ocalały do tej pory wyjątkowe dzieła rzeźbiarskie, które fundatorzy z różnych stanów i środowisk zamawiali głównie w XVIII w. w wyróżniających się warsztatach w stolicy i poza nią, m.in. funkcjonujących przy kamieniołomach piaskowców w Szydłowcu, Kunowie nad Kamienną czy Rozwadach pod Gielniowem, a nawet wapieni w Pińczowie nad Nidą. Autorzy tych obiektów pozostają zazwyczaj anonimowi, dopiero ostatnie lata zaowocowały pierwszymi atrybucjami. Proponowana dzisiaj wycieczka zbiera najciekawsze z takich zabytków na terenie historycznych ziem warszawskiej, sochaczewskiej i gostynińskiej oraz wyszogrodzkiej i płockiej. Część z nich trafiła tam w wyniku translokacji pokasacyjnych z Warszawy i Płocka. Duże odległości między nimi skłaniają do wyboru na nasz objazd samochodu. Lokalizacje poszczególnych obiektów podano – dla ułatwienia peregrynacji – z maksymalną precyzją. Podobnie jak w przypadku poprzedniej trasy można program i tej rozdzielić na dwa dni podróży.

Wycieczkę warto rozpocząć spacerem po **Raszynie**, gdzie znajdują się dwie unikatowe kamienne statuy: Immaculaty (przy szańcach artyleryjskich z 1809 r., przy dawnej trasie E7) i Boga Ojca (w połowie długości historycznej grobli między Raszynem i Falentami). W świetle najnowszych badań źródłowych i porównawczych można je wiązać z niezachowanym kościołem klasztornym brygidek pw. Trójcy Świętej przy



Raszyn, grobla dawnej drogi z Falent do Warszawy, statua Boga Ojca, piaskowiec szydłowiecki, ok. 1700 r., wyk. NN warsztat szydłowiecki zatrudniony m.in. w Wilanowie (atryb.), stan z 2015 r.

ulicy Długiej w Warszawie, którego fronton dekorowały. Wyjątkowe cechy stylistyczne wskazują, że powstały ok. 1700 r. w szydłowieckiej pracowni, która wcześniej przygotowywała antykizujące rzeźby i biusty bóstw do rezydencji królewskiej Sobieskich w Wilanowie, we współpracy z królewskim rzeźbiarzem Stephanem Schwanerem z Gdańska (notowany 1681-1694). Do Raszyna trafiły po 1828 r. za sprawą miejscowego proboszcza ks. Antoniego Zieleniewskiego, kiedy dawną świątynię pobrygidzkową arch. Wilhelm Henryk Minter (1777-1832) przebudował po 1822 r. na warsztaty odlewnicze Korpusu Artylerii Królestwa Kongresowego.

W drodze do pobliskiego **Nadarzyna**, trasą S8 na zachód, warto zatrzymać się przy klasycystycznym kościele parafialnym i wejść na teren dawnego cmentarza. Wystawiono tam najprawdopodobniej w połowie XVIII w. (w 1753 r.?) okazały kamienny (piaskowiec z Kuno-

nowa) pomnik św. Jana Nepomucena, z wysokim graniastym cokołem i późnobarokową w duchu statuą tego męczennika. Pod względem kompozycji nawiązuje on przy tym do jednego z najbardziej popularnych modeli takich przedstawień, z trzymanym ukośnie w obu rękach krucyfiksem i w birecie kanonickim na głowie. Obiekt został niedawno odczyszczony.

Aby osiągnąć **Bieniewice** pod Błoniem, należy udać się na północ drogą wojewódzką nr 720 przez Otrębusy i Brwinów, a potem skrócić na zachód. Statua św. Jana Nepomucena z 1761 r. znajduje się przy ulicy Błńskiej (dawny trakt do Poznania) za przejazdem kolejowym. W 2015 r. przeniesiono ją ze środka pola bliżej chodnika i odrestaurowano, usuwając wcześniejszą wielobarwną polichromię. Wśród mazowieckich figur przydrożnych ta odznacza się szczególnymi rokokowymi dekoracjami cokołu, syglami (nierozwiązanymi inicjałami fundatora: M. B. / N. T. & C. V.) i dynamiczną, pełną patosu pozą, z krucyfiksem w rękach. Przywodzi na myśl ówczesną późnobarokową rzeźbę czeską.



Nadarzyn, figura św. Jana Nepomucena, piaskowiec kunowski, ok. 1753 r., wyk. NN pracownia stołeczna albo północnomazowska, stan z 2019 r.

Kierując się z Bieniewic na północ do wsi Pass, a następnie na zachód przez Nową Górną, docieramy po 10 km do wsi **Cholewy**, gdzie przy głównej drodze, po stronie południowej, zachował się wśród drzew kolejny, tym razem stołeczny piaskowcowy „Nepomuk”. Z uwagi na zniszczenie płyty z inskrypcją w cokole i brak innych napisów czy graffiti nie jest obecnie możliwe określenie daty powstania i fundatorów obiektu. Wiadomo jedynie, że tę wysokiej klasy statuetkę z drugiej ćwierci XVIII w. zakupiono do Cholew przed II wojną światową z Warszawy od niejakiego Jana Chruścińskiego (rodzina ta miała w końcu XIX w. w Warszawie kamienicę przy

ul. Ciepłej nr 2, nr hip. 1094b). Jest to zatem następny przykład translokacji zabytków warszawskich na Mazowsze, w tym przypadku związanej zapewne z kasatą świątyni lub klasztoru albo gwałtowną urbanizacją. Pomnik czeka na podjęcie prac konserwatorskich.

Od położonego na zachodnim brzegu rzeki Bzury **Kozłowa Szlacheckiego** dzielą nas 34 km, które można pokonać drogą krajową nr 92. Przed fasadą miejscowej świątyni parafialnej znajduje się wystawiony w 1763 r. sumptem Józefa Siemianowskiego, kasztelana rawskiego, piaskowcowy pomnik św. Józefa. Po przenosinach w 2007 r. z dawnego majątku dworskiego w sąsiedniej wsi Nowy Kozłów Pierwszy przeszedł on, dwa lata później, fachową konserwację. Bogatsze ukształtowanie cokołu z bocznymi spływami wolutowymi odpowiada tradycji śląskiej i małopolskiej, a samą figurę świętego, trzymającego w rękach Dzieciątko Jezus, ujęto frontalnie, gęsto drapując szaty i płaszcz. To jedyny na Mazowszu pomnik tego patrona, uznanego na początku XVIII w. za opiekuna cesarskiego rodu Habsburgów i Śląska.

Druga część trasy prowadzi przez urodzajne i atrakcyjne widokowo obszary zachodniej części naszego

Płock-Imielnica, rzeźba św. Jana Nepomucena, wapieni pińczowski, 4. ćw. XVIII w., wyk. pracownia Beranków/Barankiewiczów z Pińczowa (atryb.), stan z 2017 r.



Bieniewice koło Błonia, posąg przydrożny św. Jana Nepomucena, piaskowiec, 1761 r., wyk. NN pracownia stołeczna albo północnomazowska, stan z 2017 r.



Mała Wieś pod Wyszogrodem, posąg św. Jana Nepomucena, piaskowiec, 1799 r., wyk. NN warsztat stołeczny lub północnomazowski, stan z 2016 r.



Stare Piastowo, figura św. Jana Nepomucena, piaskowiec, ok. 1750 r., wyk. NN warsztat toruński lub pomorski (atryb.), stan z 2017 r.

regionu. Z Kozłowa przejeżdżamy 47 km na północny zachód aż do wsi **Suserz**, położonej między Gąbinem i Żychlinem. Na bramce wejściowej wczesnoklasycystycznego kościoła parafialnego z końca XVIII w. (proj. arch. Hilary Szpilowski, zob. **Trasa VIII**) ustawiono zapewne w tym okresie dwa odkute z wapienia pińczowskiego posągi świętych: Jana Nepomucena i Antoniego Padewskiego. Sumaryczne opracowanie sylwet, modelu szat i rysów twarzy obu rzeźb skłaniają do przypisania ich znanemu mistrzowi rzeźbiarskiemu z Pińczowa nad Nidą – Morawianinowi Vaclavowi Berankowi (notowany od 1733 r., zm. w 1767 r.). Kierowany przez niego warsztat kamieniarsko-snycerski i stiukatorski wykonał ponad 67 (sic!) podobnych obelisków, kolumn i figur przydrożnych, które przyozdobiły liczne miejsca w centralnej i zachodniej Małopolsce oraz na Mazowszu (m.in. w Ratowie nad Wkrą, zob. **Trasa VI**).

Dalsze kroki kierujemy do **Małej Wsi** pod Wyszogrodem, co wymaga skierowania się na wschód, by przekroczyć Wisłę mostem w tym mieście, i dalej na północny zachód. Po pokonaniu 60 km trzeba zlokalizować w środku miejscowości w pobliżu parku podworskiego, po prawej stronie głównej drogi, stojącą w głębi parceli kamienną późnobarokową figurę św. Jana Nepomucena. Zamówił ją w 1799 r. Klemens Nakwaski, podkomorzy wyszogrodzki, fundator m.in. kaplicy dworskiej – mauzoleum rodowego w Kępie Polskiej nad Wisłą. Mimo przekształcenia cokołu w 1935 r. ostatnia konserwacja z 1997 r. odsłoniła jej szlachetne formy. Bardzo późna data powstania nie wypłynęła na klasycyzującą kompozycji i cech stylowych posągu, który reprezentuje cechy

typowe dla licznych stołecznych zamówień kierowanych do warsztatów z wymienionych ośrodków północnomazowskich.

Stąd blisko już do stołecznego mazowieckiego grodu – **Płocka**, gdzie w rozłożonym wokół krawędzi skarpy wiślanej przedmieściu **Imielnica** zachowała się przy ulicy Harcerskiej, na zachodnim, wysokim stoku parowu zwanego Pisencja, wartościowa późnobarokowa statua „Nepomuka”. Została posadowiona wtórnie w XIX lub na początku XX w. na ceglany cokole. To seryjny produkt pińczowskiej pracowni spadkobierców Vaclava Beranka, kopia analogicznej statuy dłuta Ignacego Barankiewicza z 1791 r. ze wsi Borzymów pod Beszową. Kolejny przykład z tej serii znajduje się pod miejscowością Kikół pod Lipnem (murowaną kolumnę wystawiono przy trasie krajowej nr 10, u wylotu ulicy Nadbrzeżnej).

Ostatnim przystankiem na naszej trasie będzie wieś **Stare Piastowo** pod Sierpcem, odległa od Płocka o 34 km w kierunku północnym. Blisko potoku Struga, w zakolu drogi przy domu nr 30, umieszczono w latach 50. lub 60. XX w. po kilkakrotnych przenosinach z miejsca na miejsce piękną piaskowcową statuetkę św. Jana Nepomucena. Nosi ona wyraźne cechy rzeźby toruńskiej lub pomorskiej z połowy XVIII w. Szczególnie finezyjnie wycięte są roślinne ornamenty w koronkowym dolnym brzegu komży kapłana. To najdalej na zachód wysunięty zabytek nowożytny tego rodzaju na historycznym Mazowszu i dowód wymiany artystycznej między tym regionem i sąsiednimi centrami artystycznymi w Toruniu, Brodnicy czy Lubawie (por. **Trasa VI**). ●



Barcice, dawny kościół parafialny norbertanek z Płocka, widok ogólny z dzwonnica, 1758 i 1768 r., stan z 2018 r.

Trasa XIV:

Nad Narew, Bug i Liwiec: nurska *terra incognita* z mazowieckimi *vasanami* i *silesiacami*

Nieporęt – Barcice – Sokółowo Włościańskie – Rybienko Stare – Wyszaków nad Bugiem – Poręba Średnia – Loretto nad Liwcem – Jadów – Radzymin – Czarna

W podróży kulturowo-artystycznych po historycznym Mazowszu łatwo ulec majestatycznemu pięknu najważniejszych zabytków. Zapomina się wtedy o innych wartościowych miejscach i obiektach, które w wielu przypadkach dopiero niedawno doczekały się uznania specjalistów. Nie brakuje ich zwłaszcza we wschodniej i północnej części naszego regionu, w obrębie dawnych wielkich puszczy: Zagajnicy (Zielonej) i Biskupiej (Białej), których obszary odpowiadają dzisiaj etnoregionom Kurpi Zielonych i Białych. Warto pamiętać, że dzieje tej części Mazowsza

były skomplikowane, a wzniesione tutaj rezydencje i świątynie na ogół nie dotrwały do naszych czasów. Dotyczy to np. dawnej ziemi nurskiej, która była trzecim pod względem wielkości terytorium administracji książęcej na Mazowszu czersko-warszawskim. Jej granice sięgały na zachodzie linii Narwi od Serocka przez Pułtusk po Lubiel Nowy, obejmując rozległe dorzecze dolnego Bugu. Wschodnią jej część książęta mazowieccy przyłączyli do ziem piastowskich dopiero po pokonaniu w 1264 r. w bitwie pod Brańskiem wojsk plemion bałtyjskich Jaćwingów/Sudowów. Proponowana trasa, poprowadzona z dala od głównych szlaków turystycznych, wśród rozległych mokradel dolin rzek oraz borów puszczy Biskupiej (Białej) i Kamienieckiej, pozwala zapoznać się z najcenniejszymi zabytkami tego regionu. Warto przypomnieć, że gościliśmy już w tym rejonie dwukrotnie w Broku – mieście prywatnym biskupów płockich (zob. **Trasy III i X**). Innymi ważnymi rezydencjami tych dostojników były położone na tym terenie: Pułtusk, Sielun, Ciekryn i Wyszaków nad Bugiem, które razem z Brokiem stanowiły największy kompleks dóbr kościelnych na Mazowszu.

Podróż rozpoczynamy w miasteczku, którego historia jest kwintesencją związku kultury artystycznej Mazowsza z dziką przyrodą w widłach Wisły i Narwi – **Nieporęcie** nad rzeczką Długą. To siedziba dawnej rezydencji myśliwskiej książąt mazowieckich i królów elekcyjnych z dynastii Wazów. Po wspaniałym drewnianym dworze w typie niderlandzkim oraz bocznym pawilonie murowanym zwanym Nowym Domem nie został wprawdzie żaden ślad, ale w skromnym murowanym kościele parafialnym wzniesionym po 1660 r. z fundacji króla Jana II Kazimierza Wazy, który podarował tę miejscowość stołecznemu kolegium jezuitów, znajduje się bodaj ostatni materialny ich fragment. To portal umieszczony wtórnie w wejściu do zakrystii. Pochodzi z pierwszej ćwierci XVII w. i zdobi go dekoracyjny późnomanierystyczny kamienny kartusz z herbem Vasa/Snopek. Profilowane odrzwia odkuto z „czarnego marmuru” dębnickiego.



Sokółowo Włościańskie, kościół parafialny, ołtarz główny, koniec XVII w., wyk. NN warsztat gdański lub pomorski (atryb.), stan z 2018 r.

◀ Nieporęt, kościół parafialny, portal zakrystii – dawny element pałacu myśliwskiego króla Zygmunta III Wazy, ok. 1620 r., wyk. NN warsztat krakowski lub pińczowski (atryb.), stan z 2010 r.



Zdjęcia: M. Wardziński

Z Nieporętu droga wiedzie przez Zegrze i Serock, skąd można podziwiać panoramy otoczenia Zalewu Żegrzyńskiego. Po przekroczeniu Narwi mostem w Wierzbicy warto skręcić od razu w prawo na Nową Wieś i Kanieńską, by zobaczyć pełne starorzecze ujście Bugu do Narwi.

Jedziemy dalej boczną drogą przez Popowo Kościelne i po pokonaniu ok. 20 km w górę doliny Bugu docieramy do **Barcic** – wsi należącej od 1185 do 1795 r. do opactwa norbertanek św. Marii Magdaleny w Płocku. Drewniany, trójnawowy kościół parafialny pw. św. Stanisława powstał w 1758 r. z fundacji ks. Mateusza Kamińskiego (Kamińskiego), proboszcza tego klasztoru. Sąsiadująca z nim dzwonnica jest o 10 lat młodsza. Wyposażenie ołtarzowe i prospekt organowy o cechach późnobarokowych wykonano w latach 1795-1797, zaś charakterystyczną formę fasady ze szczytem udekorowanym trzema graniastymi wieżyczkami świątynia uzyskała dopiero w wyniku dwóch remontów/przebudów w latach 60. i 80. XIX w. Najcenniejszym elementem wystroju jest południowy ołtarz przytęczowy św. Józefa – o atektonicznej formie ramy do obrazu – ujęty motywami herbowymi i bujnym ornamentem chrząstkowo-maźłownym. Za jego wykonanie był odpowiedzialny anonimowy warsztat snycerski, który działał w latach 20. i 30. →



Rybienko Stare, pałac Giedroyciów, *corps de logis*, Gabinet Wedutowy, malatury wnętrza, wyk. Jan Bogumił Płersz (atryb.), stan z 2019 r.

Wyszków nad Bugiem, ul. 3 Maja nr 8, marmurowy obelisk upamiętniający śmierć królewicza-biskupa Karola Ferdynanda Wazy, 1655 r., wyk. NN warsztat chęciński (atryb.), stan z 2011 r.

XVII w. dla tego opactwa. Jego prace wizytowaliśmy wcześniej w Łęgu Probstwie, Łomży czy Lipnie (zob. **Trasy II, IV**). Sprowadzono go tutaj dopiero w pierwszej połowie XIX w. właśnie z Płocka. Obchodząc świątynię, warto zwrócić uwagę na urządzenie cmentarza i terenu przykościelnego, z ustawioną na osi bramki wejściowej, w otoczeniu sosen, drewnianą kapliczką słupową z latarnią, wystawioną w końcu XIX w. Tego typu dzieła małej architektury sakralnej były szczególnie popularne w obu częściach Kurpi od XVIII do początku XX w.

Dalej trasa wiedzie 34 km na północ, przez bory Puszczy Biskupiej oraz Wolę Mystkowską i Rzaśnik, do **Sołowa Włociańskiego**, gdzie zachował się obszerny drewniany kościół parafialny pw. Niepokalanego Poczęcia NMP z 1682 r. To jeden z punktów cenionego przez turystów i krajoznawców Mazowieckiego Szlaku Tradycji. Uwagę skupia tutaj architektoniczny ołtarz główny z końca XVII w., fundacji właściciela wsi Jana Wietckiego, cześnika ciechanowskiego i wiceekonomalborbskiego, ze słynącym łaskami obrazem Matki Bożej Częstochowskiej. Elementy architektoniczne tej nastawy, rzeźby św. św. Wojciecha i Kazimierza oraz akantowe zdobienia przywodzą na myśl importy barokowej rzeźby gdańskiej i pomorskiej w pobliskim Pułtusku i Kacicach oraz w Ostrołęce, Czerwinie i Myszyńcu (por. **Trasa X**).

Wracając na południowy wschód przez Rzaśnik i Porządzie, mijamy jedno z najcenniejszych miejsc przyrodniczych w tej części Mazowsza – bagno Pulwy – by po 28 km dojechać do **Rybienka Starego** nad Bugiem. Znajduje się tam malowniczo usytuowany na koronie skarpy rzecznej i okolony cennym parkiem krajobrazowym wczesnoklasycystyczny pałac biskupa Jana



Poręba Średnia, kościół parafialny, kazalnica manierystyczna z nieustalonego kościoła luterńskiego na Dolnym Śląsku, 1652 r., stan z 2018 r.

Stefana Giedroycia, biskupa żmudzkiego, jednego z najzagorzalszych targowiczów na Litwie. Obiekt wzniesiono w 1785 r., zapewne według planów sławnych architektów stołecznych epoki stanisławowskiej: Simona Gottlieba Zugka albo Johanna Christiana Kamsetzera, z udziałem dekorującego malaturami trzy pokoje paradne (Sala Asamblowa, Salon Ośmioboczny, Gabinet Wedutowy) Jana Bogumiła Płersza. Podmiejska rezydencja składa się z piętrowego korpusu głównego z trzema ryzalitami i wysokim dachem oraz dwóch oficyn bocznych. W kilku wnętrzach zachowały się oryginalne boazerie, supraporty oraz XIX-wieczny piec z farfurnie nieborowskiej Radziwiłłów. Z uwagi na częste zmiany właścicieli (Morzkowscy, Skarzyńscy, Ministerstwo

Zdrowia, Monar, SARP) i funkcji (pensjonat, szpital, ośrodek opiekuńczy) pozostałe wnętrza wielokrotnie przerabiano i modernizowano. Obecnie cały teren rezydencji jest niedostępny z powodu kolejnych prac remontowych, z przeznaczeniem na luksusowy pensjonat.

Z Rybienka tylko krok do Wyszkowa nad Bugiem, gdzie znajdują się dwa cenne zabytki związane z wielkimi postaciami piastującymi godność biskupa płockiego. Przy prowadzącej do historycznego centrum miasteczka i siedziby dworu biskupiego ulicy 3 Maja znajduje się XVII-wieczny „czerwonomarmurowy” obelisk, który upamiętnia miejsce śmierci, 9 maja 1655 r., królewicza Karola Ferdynanda Wazy. Jako jeden z młodszych królewiczów objął on biskupstwa we Wrocławiu (od 1625 r.) i w Płocku (od 1640 r.), dzierżył też po rodzicach i po przyrodnim bracie Władysławie IV państwo żywieckie oraz księstwo opolsko-raciborskie. W trakcie elekcji 1648 r. był początkowo pierwszym kandydatem do tronu Rzeczypospolitej. Podobnie jak Władysław IV był wybitnym mecenasem kultury i kolekcjonerem sztuki. Omawiany pomnik jest jedynym poza Kolumną Zygmunta w Warszawie przykładem świadomego kreowania przez przedstawicieli tej dynastii elekccyjnej nowych propagandowych form artystycznych. Fundatorem obelisku był król Jan II Kazimierz Waza, a za jego projektanta uważa się sławnego wiolinistę i projektanta nadwornego – rzymianina Giovanniego Battistę Gisleniego. Zastosowanie „czerwonego marmuru” z Bolechowic pod Chęcunami miało ideowo nawiązywać do wykorzystywania w antyku przynależnego cesarzom Rzymu porfiru afrykańskiego.

Drugim ważnym zabytkiem Wyszkowa jest wczesnoklasycystyczny kościół parafialny pw. św. Idziego, zbudowany w latach 1793-1795 zapewne według projektu pierwszego architekta króla Stanisława II Augusta Poniatowskiego – Domenica Merliniego z Valsoldy. Pracował on wcześniej w Jabłonnie, Płocku i Jońcu dla biskupa płockiego Michała Jerzego Poniatowskiego, najmłodszego brata króla. Jednowieżową fasadę wyróżnia zwieńczony półkoliście portyk wgłębnny oraz elegancki detal obramień portalu i okien. W wyniku zniszczeń w latach 1915, 1920 i 1939 wnętrza odbudowanej świątyni uzyskało nowy, modernistyczny wystrój.

Kierując się dalej na wschód, w górę doliny Bugu przez Brańszczyk, docieramy po 21 km do **Poręby Średniej**, gdzie w kościele parafialnym z lat 1780-1788

(rozbudowanym w latach 1880-1883) zachował się sprowadzony przez ks. prob. Władysława Biernackiego w 1950 r. z Dolnego Śląska cenny zespół dzieł sakralnych o proveniencji luteranńskiej i katolickiej. Powodem zakupu było niemal całkowite zniszczenie wyposażenia jesienią 1944 r., w trakcie ciężkich walk frontowych. Zjawisko translokacji elementów wystrojów kościelnych z Ziemi Odzyskanych na rdzenne tereny polskie nie zostało dotąd przebadane i omówione w kręgach naukowych, trwają za to prace inwentaryzacyjno-dokumentacyjne, które w przyszłości pozwolą określić jego skalę, strony oraz mechanizmy transakcji i ich odbicie w ówczesnej dokumentacji gospodarczej czy fiskalnej. Przykładowo wiadomo, że na mocy porozumienia między Ministerstwem Kultury i Sztuki (PRL) a Konferencją Episkopatu Polski i Prymasowską Radą Odbudowy Kościołów Warszawy w 1950 r. trafił do stolicy transport kolejowy dzieł sztuki dolnośląskiej z jednej z poniemieckich składnic muzealnych pod Jelenią Górą, w którym znalazły się m.in. najcenniejsze lubiąskie cykle malarskie Michaela Lucasa Leopolda Willmanna – dzisiaj rozmieszczone w kilkunastu świątyniach stołecznych, m.in. na Starym i Nowym Mieście, w Śródmieściu, na Solcu, Żoliborzu, Woli, we Włochach i Pyrach, oraz np. w Tarczynie. Do końca lat 60. XX w. ołtarzami i ambonami, prospektami organowymi czy pojedynczymi obrazami i statuami ozdobiono ponadto wnętrza katedry polowej Wojska Polskiego, katedry polskokatolickiej przy ulicy Szwoleżerów czy pałacu prymasowskiego przy Miodowej. Inne przykłady takich samych działań ujawniono ostatnio w kilku świątyniach w Poznaniu oraz we wschodniej Małopolsce, na Lubelszczyźnie i Podlasiu. Zabytki z Poręby Średniej oraz następnych trzech miejscowości – mazowieckie *silesiaca* powojenne – do niedawna często błędnie identyfikowane jako oryginalne i powiązane w literaturze przedmiotu niesłusznie z dziejami kultury i sztuki na Mazowszu, czekają na gruntowną reinterpretację. W omawianej świątyni dolnośląską proveniencją może się poszczycić XIV-wieczna, wczesnogotycka figura Madonny w typie „na lwie” (uważana dotąd za zakup z terenu Państwa Zakonu Krzyżackiego), okazała późnomanierystyczna ambona z 1652 r. (w trakcie prowadzonych w 2012 r. prac konserwatorskich odsłonięto jej oryginalną polichromię z niemieckimi inskrypcjami i przedstawieniem Marcina Lutera w zaplecku) i konfesjonał luteranński z czwartej ćwierci XVII w. Dwa ostatnie sprzęty muszą pochodzić z jednego z licznych do 1945 r. na Dolnym Śląsku kościołów luteranńskich.



Loretto, kościół pielgrzymkowy PP. Loretanek z Warszawy, obraz *Zaśnięcie św. Benedykta* z bocznego ołtarza w ambicie kościoła opackiego cystersów w Lubiążu na Dolnym Śląsku, olej na płótnie, 1684 r., wyk. Michael Lucas Leopold Willmann

Wracamy do Wyszkowa i po przekroczeniu jednym z mostów Bugu, kierując się na południowy wschód, osiągamy po 30 km położone w dawnej Puszczy Kamienieckiej Loretto nad Liwcem. W 1928 r. na zachodnim brzegu rzeki bł. ks. Ignacy Kłopotowski założył letni ośrodek wypoczynkowy dla ubogich, sierot i seniorów z warszawskiej Pragi, przekazany w opiekę założonemu przez niego Zgromadzeniu Sióstr Matki Bożej Loretańskiej. W kaplicy-sanktuarium Matki Bożej Loretańskiej znajduje się kolejne cenne *silesiacum* – jeden z lubiąskich obrazów Willmanna: *Śmierć św. Benedykta* z 1684 r. W kościele opackim cystersów w Lubiążu obraz ten dekorował do 1943 r. pole główne barokowego ołtarza projektu Matthiasa Steinla.

Domena publiczna

Podążając dalej na południe, w górę Liwca, przez znane podwarszawskie letniska w Urlach i Borzymach, po 10 km trafiamy do **Jadowa**, który już w XV w. stał się ważną w okolicy osadą targową, wyróżnioną przywilejem lokacyjnym w 1823 r. Ozdobą neogotyckiego kościoła parafialnego pw. Znalezienia Krzyża Świętego (proj. Józef Pius Dziekoński, 1882-1886) są wyjątkowej urody rokokowe organy sprowadzone z kościoła ewangelickiego w Rościszowie pod Dzierżoniowem (niem. Steinseifersdorf) z 1785 r., z instrumentem sławnej świdnickiej firmy organmistrzowskiej Schlag und Söhne.

Dzieło tego samego autorstwa zachowało się w odległym o 40 km podwarszawskim **Radzyminie**, w kościele parafialnym (ob. kolegiacie) pw. Przemienienia Pańskiego. Ponieważ pierwotny instrument został zmieciony z wieżową fasadą w trakcie walk w 1944 r., w pierwszych latach powojennych po zakończeniu odbudowy szukano możliwości zakupu i montażu nowego. Zainstalowany w Radzyminie późnobarokowy prospekt ze świątyni luteranńskiej w Piechowicach (niem. Petersdorf) koło Jeleniej Góry (bud. 1747-1748, opuszczona po 1945 r., w 1971 r. rozebrana) był pierwotnie przeznaczony do stołecznej świątyni pw. Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskim. Zbyt duże rozmiary szafy i instrumentu w nowym miejscu zaowocowały niefortunną decyzją o ich całkowitej przebudowie, której podjęła się krakowska firma Wacława Biernackiego. Dla zainteresowanych rzeźbą rokokową Radzymin przynosi jeszcze jedną niespodziankę. Przed kolegiatą, przy dawnym budynku szkoły elementarnej i przytułku zachowała się pochodząca z 1779 r. kamienna statua św. Jana Nepomucena fundacji książąt Czartoryskich – ówczesnych właścicieli miasteczka – której pochodzenie nie było dotąd znane. W świetle najnowszych badań jest to odosobniony na Mazowszu przykład płytki lwowskiej, zapewne z kręgu pracowni Macieja Polejowskiego, działającego jako snycerz w Sandomierskiem i na pograniczu Podlasia i Wołynia.

Naszą wędrówkę po dawnej ziemi nurskiej zamyka późnobarokowe *cymelium* mazowieckie – murowana kapliczka słupowa z latarnią i snycerską figurą św. Jana Nepomucena we wsi **Czarna** pod Kobyłką, 7 km na południe od Radzymina. Wzniesiono ją przy zakręcie ulicy



Jadów, kościół parafialny, rokokowy prospekt organowy z Rościszowa koło Dzierżoniowa z instrumentem firmy Schlag und Söhne ze Świdnicy na Dolnym Śląsku, montaż z przebudową po 1948 r.

Gościńiec, w pobliżu dawnej przeprawy przez rzeczkę Czarną, dokładnie na przedłużeniu osi alei prowadzącej na północ z kobyłkowskiego sanktuarium i ośrodka rekolekcyjnego jezuitów. Dynamiczne formy i czas powstania ok. 1750 r. pozwalają widzieć w niej dzieło projektanta sławnej świątyni w Kobyłce – architekta nadwornego rodziny Żałuskich, Guida Antonia Longhiego z Viggii koło Como w północnej Lombardii. Pozostawił on po sobie w Warszawie oraz w Łasku, Kielcach i Krakowie szereg wyjątkowych dzieł architektonicznych, które sytuują go wśród wybitnych przedstawicieli środkowoeuropejskiego, habsburskiego nurtu architektury późnobarokowej w Europie Środkowej. 🇵🇱

dr hab. Michał Wardzyński – Instytut Historii Sztuki UW, Mazowiecki Instytut Kultury

BIBLIOGRAFIA:

- A. Bernatowicz, *Niepodobne do rzeczywistości: malowana groteska w rezydencjach Mazowsza i Warszawy 1777-1820*, Warszawa 2006; W. Bławdziewicz, *Dzieje Nieporętu 1387-2009*, Warszawa-Raszyn 2012; I. Elward, J. Mąkowski, *Wyszków nad Bugiem*, Wyszków 2009; I. Galicka, H. Sygietyńska, *Odkrywanie sztuki – sztuka odkrywania*, Warszawa 1994; K. Guttmejer, *Guido Antonio Longhi: działalność architektoniczna w Polsce*, Warszawa 2006; W.Z. Łyjak, *Schlagowskie organy znane i nieznanne*, „Spotkania z Zabytkami”, 28: 2004, nr 6, s. 36-37; tenże, *Organ na Mazowszu: w diecezji płockiej od XIV wieku do 1818 roku*, Płock 2006; tenże, *Organ na Mazowszu w diecezji płockiej od 1818 do 1925 roku*, Płock 2008; W. Popławski, J. Wnuk, *Radzyminska kolegiata*, Radzymin 2016; *Poza Warszawą*, t. I-IV, red. A. Pieńkos, M. Wardzyński, Warszawa 2018-2021; T. Rogala, *Obelisk Wazów w Wyszowie: konserwacja*, Warszawa 1994; J. Sito, *Wielkie warsztaty rzeźbiarskie Warszawy doby saskiej: modele kariery, formacja artystyczna, organizacja produkcji*, Warszawa 2013; *Sztuka Warszawy*, red. M. Karpowicz, Warszawa 1986; M. Wardzyński, *Sztuka nowożytna na Mazowszu. Zarys problematyki*, w: *Dzieje Mazowsza*, t. II: *Lata 1527-1795*, red. J. Tyszkiewicz, Pułtusk 2015, s. 629-731; tenże, *Lwowska rzeźba rokokowa pod Warszawą? Przyczynek do geografii artystycznej osiemnastowiecznej rzeźby na Mazowszu*, w: *Vellis quod possis. Księga pamiątkowa ofiarowana Panu Profesorowi Janowi K. Ostrowskiemu*, red. A. Betlej i in., Kraków 2017, s. 389-295; J. Wiśniewski, *Drewniane kościoły Mazowsza: przewodnik*, Pruszków 2016.

M. Markuszewski / domena publiczna

Morsztyn, Sas, Chopin i inni mieszkańcy Pałacu Saskiego

Maria Wardzyńska

Pałac Saski swoją historią sięga drugiej połowy XVII w., ale dzieje budynku tworzy nie tylko architektura. Przede wszystkim tworzą ją ludzie. Choć sam gmach ulegał przebudowom i zmianom, jedno przez niemal 400 lat jego istnienia pozostawało niezmiennie – zamieszkiwały go ciekawe osobistości, a w jego murach rozgrywały się szczególne wydarzenia. Kto i kiedy mieszkał w Pałacu Saskim i jakie słynne nazwiska możemy z nim kojarzyć? Postaramy się przybliżyć historię obiektu poprzez sylwetki jego mieszkańców i ich działalność

Pierwszym znamiętym właścicielem i lokatorem pałacu był Jan Andrzej Morsztyn – poeta i polityk, podskarbi wielki koronny. W 1661 r. rozpoczął budowę posiadłości magnackiej, która dała początek późniejszemu Pałacowi Saskiemu. Wybór miejsca miał związek z nadaniem Morsztynowi tych gruntów przez króla Jana Kazimierza. Do 1664 r. wzniesiono barokowy pałac, którego bogaty wystrój świadczył o wysokiej pozycji właściciela. Ucztowali w nim przedstawiciele królewskiego dworu, członkowie szlachty, m.in. hetman Jan Sobieski – przyszły król. Morsztyn znany był ze swoich profrancuskich poglądów na politykę zagraniczną Rzeczypospolitej, a w czasie panowania króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego planował nawet przeprowadzenie zamachu stanu z pomocą wojsk francuskich. Mimo iż był elektorem Jana Sobieskiego, to w trakcie jego rządów zaangażował się w spisek detronizacyjny zawiązany z Ludwikiem



Jan Andrzej Morsztyn, l. 1667-1680, miedzioryt

XIV. Po ujawnieniu spiskowców Morsztyna oskarżono o zdradę stanu i malwersacje finansowe, w efekcie czego uciekł z kraju do Francji, gdzie objął urząd sekretarza Ludwika XIV. Zmarł w Paryżu w 1693 r., a warszawski pałac przeszedł w ręce córki Morsztyna Ludwiki Marii i jej

męża Kazimierza Ludwika Bielińskiego, którzy dokonali rozbudowy gmachu.

W czasach, kiedy poeta mieszkał w pałacu, obiekt stał się ośrodkiem życia kulturalnego Warszawy. Mieściły się tu galeria sztuki oraz teatr, na którego deskach wystawiono m.in. Cyda, w przekładzie samego Morsztyna, a także organizowano koncerty.

Po rodzinie Morsztynów i Bielińskich kolejnymi właścicielami i mieszkańcami pałacu, od 1713 r., byli elektorowie sascy i królowie Rzeczypospolitej z dynastii Wettynów – August II i August III z dworami. Rok 1697, kiedy podczas elekcji wybrany na króla został Fryderyk August I, otwiera ponad 60-letni okres zwany epoką saską. To

Wettynom zawdzięczamy stworzenie w Warszawie Osi Saskiej – założenia urbanistycznego, którego częściami były i są Ogród Saski oraz Pałac Saski wraz z dziedzińcem, późniejszym placem Saskim (dziś Piłsudskiego). Nazwy te trwale wpisały się w krajobraz stolicy.

August II był pasjonatem architektury i urbanistyki, jednocześnie zafascynowanym absolutyzmem francuskiego Króla Słońce Ludwika XIV i założeniem w Wersalu. Mający duże ambicje władca powołał Saski Urząd Budowlany (Bauamt), który pracował nad projektem założenia urbanistycznego – osi barokowej Warszawy. Prace nad nowym centrum miasta przerwano na skutek katastrofalnej dla Rzeczypospolitej wojny północnej oraz związanej z tym walki o tron Polski między Augustem II i Stanisławem Leszczyńskim. Szczęśliwie do idei rezydencji królewskiej powrócono w 1710 r., a w 1713 r. wykupiono grunty wraz z pałacem Morsztyna.

Plany były bardzo ambitne. Wettyn biegle wykorzystywał sztuki piękne do celów propagandowych, a rozbudowany program kulturalny, zarówno na dworze drezdeńskim, jak i warszawskim, miał oddziaływać poprzez projekty architektoniczne, pełne przepychu uroczystości czy kolekcje dzieł sztuki. Widać to wyraźnie w zachowanych projektach przebudowy posiadłości Morsztyna, których większość nie doczekała się realizacji. Wyłania się z nich jednak obraz wizji przyświecającej Augustowi II (kontynuowanej przez Augusta III) przy kreowaniu „teatru władzy” wokół warszawskiej rezydencji. Sam pałac był rozbudowywany i przekształcany właściwie przez całą epokę saską. Urządzono go z przepychem, aranżując zarówno przestrzeń oficjalną, jak i prywatną. August II polecił ulokowanie w północnym skrzydle teatru, gdzie trupy aktorów prezentowały się przed dworem. W części północnej były także apartamenty żeńskie, służące królewskim kochankom. August II miał ich ponoć w Warszawie wiele, jako że jego małżonka



Louis de Silvestre, portret Augusta II Mocnego, po 1718 r., zbiory Muzeum Narodowego w Poznaniu

Krystyna Eberhardyna nigdy nie przyjechała do Polski w ramach sprzeciwu wobec konwersji męża z luteranizmu na katolicyzm.

Po śmierci Augusta II w 1733 r. na tron Polski wybrany został jego syn Fryderyk August II, odtąd król August III. Kontynuował on działalność ojca w obszarze rozwoju kultury. Dał się poznać jako znawca i mecenas sztuki, miłośnik teatru i opery – szczególnie włoskiej. Do Warszawy, i specjalnie w tym celu wybudowanej w Ogrodzie Saskim Operalni, sprowadzał zespoły włoskiej *commedia dell'arte*, opery i baletu. Podczas pobytu we Włoszech poznał samego Antonia Vivaldiego, a Jan Sebastian Bach zadedykował Augustowi III *Mszę h-moll*.

Wettyn prowadził również aktywny program architektoniczny. W Warszawie rozbudował m.in. Zamek Królewski, ale przede wszystkim Pałac Saski, który wciąż był główną rezydencją królewską. Rozbudowa była konieczna ze względu na powiększającą się rodzinę królewską. August III i Maria Józefa Habsburg mieli 14

dzieci, z czego 11 przeżyło wiek dziecięcy. Maria Józefa była osobą głęboko wierzącą i dla niej w 1734 r. teatr w północnym skrzydle przebudowano na kaplicę królewską pw. św. Anny (funkcjonowała do 1777 r., po czym znów na krótko stała się teatrem).

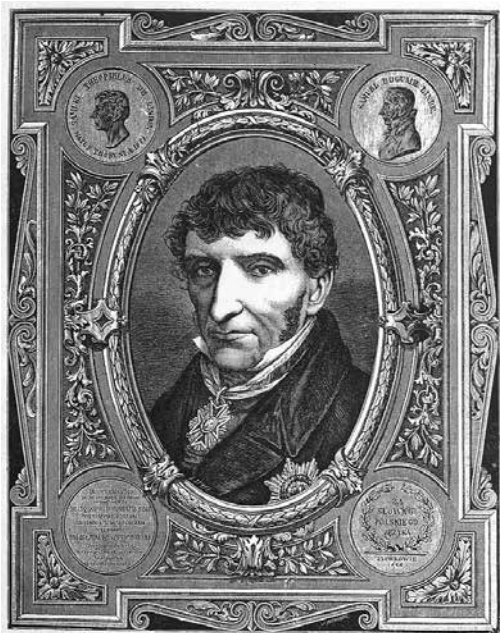
Po śmierci Augusta III w 1763 r. Pałac Saski pozostawał własnością elektorów saskich, którzy zachowali dla siebie apartamenty w korpusie głównym, lokując w nich przedstawicielstwa handlowe i dyplomatyczne. Duży budynek trudno było utrzymać, dlatego podzielono jego przestrzeń i wynajmowano ją na biura oraz mieszkania prywatne.

Po III rozbiorze i utracie przez Rzeczpospolitą niepodległości zmienił się status Pałacu Saskiego.

W 1797 r. został on kupiony przez króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II i przestał pełnić funkcje rezydencjonalne.

W październiku 1804 r. Pałac stał się siedzibą Królewskiego Liceum Warszawskiego. Do jego kadry pedagogicznej należeli m.in. Samuel Bogumił Linde – rektor, Feliks Jan Bentkowski, Zygmunt Vogel czy Mikołaj Chopin. Liceum Warszawskie zajmowało północne skrzydło pałacu, gdzie mieściły się zarówno sale wykładowe, jak i mieszkania pedagogów.

Samuel Linde był pedagogiem, językoznawcą, znanym przede wszystkim z monumentalnego dzieła – pierwszego *Słownika języka polskiego*. Opublikowane w latach 1807-1814 dzieło składało się z sześciu tomów i zawierało 60 tys. haseł. Słownik został bardzo wysoko oceniony i rozpropagowany nie tylko na ziemiach polskich, lecz także na terenach dzisiejszej Litwy i Ukrainy. Linde został doceniony i 7 grudnia 1826 r. otrzymał tytuł szlachecki oraz własny herb – Słownik. →



Samuel Bogumił Linde, drzeworyt sztorcowy, 1901 r. z książki *Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX*, red. S. Askenazy et al., t. 1, Warszawa 1901

W pracach nad *Słownikiem* Lindemu pomagał Feliks Bentkowski, historyk literatury i językoznawca, który w latach 1803-1817 był nauczycielem języków starożytnych, niemieckiego, a później wykładał język polski, literaturę oraz historię. Sprawował także funkcję kierownika licealnej biblioteki. Niezwykle ważnym dorobkiem Bentkowskiego było dzieło *Historia literatury polskiej wystawionej w spisie dzieł drukiem ogłoszonych*, wydane w dwóch tomach w 1814 r. Dwa lata później w uznaniu *Historii literatury...* został uhonorowany godnością doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego i uzyskał stopień doktora filozofii. Po 1817 r. został profesorem historii powszechnej na Królewskim Uniwersytecie Warszawskim.

Kolejnym ważnym dla historii Liceum Warszawskiego pedagogiem był Zygmunt Vogel, zwany przez przyjaciół Ptaszkiem (*Vogel* – niem. *ptak*). Był on wybitnej klasy rysownikiem

i malarzem, posługującym się głównie techniką akwareli, specjalizującym się w widokach miejskich. Zawdzięczamy mu wiele prac przedstawiających Warszawę z przełomu XVIII i XIX w. Będący pod wrażeniem prac Vogla król Stanisław August objął go osobistą protekcją i wysłał w liczne podróże po miastach Rzeczypospolitej, aby sporządzał tam rysunki i akwarele. Po abdykacji króla Vogel znalazł pracę w Liceum Warszawskim, a później objął katedrę w Oddziale Sztuk Pięknych Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego.

Rodziny Chopinów nie trzeba przedstawiać, nie wszyscy jednak wiedzą, że pierwsze utwory mały Frycek komponował właśnie w Pałacu Saskim. Jego ojciec Mikołaj w 1810 r. otrzymał propozycję posady nauczyciela języka francuskiego w Liceum Warszawskim i jeszcze w tym samym roku rodzina przeprowadziła się do Warszawy. Mieszkanie służbowe na drugim piętrze północnego skrzydła pałacu zajęli w 1811 r.

Wiosną 1817 r. zapadła decyzja wielkiego księcia Konstantego o zmianie przeznaczenia Pałacu Saskiego i przekazaniu go na cele

Portret Zygmunta Vogla, 1857 r., litografia Aleksandra Kokulara



wojskowe. Tak rozpoczął się pierwszy z kilku okresów wojskowej historii pałacu.

W 1836 r. urząd municypalny, któremu pod zarząd władze carskie przekazały Pałac Saski, zdecydował o konieczności jego sprzedaży osobie prywatnej z nakazem przebudowy w taki sposób, aby możliwe było połączenie przejściem placu Saskiego z Ogrodem Saskim. Dodatkowym argumentem był zły stan techniczny budynku, który ucierpiał w trakcie insurekcji kościuszkowskiej, kiedy to stoczono przed nim potyczkę z oddziałem wojsk carskich. Został wówczas ograbiony i zdewastowany. Po pewnych zawirowaniach właścicielem pałacu został Jan Skwarcow, a autorem ostatecznie realizowanego projektu – architekt Adam Idźkowski. Przebudowa obiektu w klasycystyczno-neogotyckiej formie zakończyła się w 1842 r. Pałac Saski stał się „apartamentowcem” i szybko wypełnił lokatorami. W 1854 r. pałacowe adresy miało 54 głównych najemców.

Oczywiście najbardziej pożądane były mieszkania od strony Ogrodu Saskiego, a wśród lokatorów nie mogło zabraknąć przedstawicieli polskiej szlachty, by wymienić:

Apolinary Kątski, litografia dwubarwna, ok. 1851-1900



Wikimedia Commons: POLONA



Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), ok. 1865 r., fot. Konrad Brandel, zbiory Muzeum Warszawy

Kazimierza i Klarę Lubomirskich, księcia Michała Radziwiłła, hrabinę Zofię Ossolińską czy Cecylię Lubowidzką, którzy zajmowali apartamenty w południowym skrzydle. W 1845 r. mieszkanie na parterze od strony placu Saskiego zajęła rodzina Łuszczewskich, z córkami Katarzyną i Jadwigą, znaną później jako Deotyma. Matka Jadwigi, Magdalena (Nina) Łuszczewska, marzyła, aby wynająć mieszkanie od strony ogrodu, jednak wszystkie wówczas były zajęte i dopiero w 1849 r. udało się zrealizować to pragnienie. Łuszczewscy znani byli z organizowania niedzielnych wieczornych spotkań ludzi kultury, sztuki i nauki, podczas których dyskutowano, koncertowano czy deklamowano utwory. Jadwiga pierwszy raz wzięła udział w spotkaniu w wieku 15 lat, szybko zdobyła uznanie nie tylko umiejętnością deklamowania, lecz przede wszystkim improwizowania. Przydomek „Deotyma” wybrała matka Jadwigi, gdy dziewczyna skończyła 18 lat, a jej improwizacje zdobyły rozgłos w mieście.

W salonie Łuszczewskich 7 lutego 1848 r. miało miejsce wystawienie pierwszej części *Fausta* Goethego – z muzyką księcia Radziwiłła, którą



Józef Buchbinder (aut. wzoru), Laura Guérin z Brzezińskich, drzeworyt, 1883 r.

wcześniej Nina Łuszczewska usłyszała podczas pobytu w Berlinie.

W poniedziałki spotykano się więc w salonie Łuczewskich, a muzyczne piątki organizował tu Apolinary Kątski, skrzypek i kompozytor, założyciel Instytutu Muzycznego w Warszawie (dzisiejszy Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina).

W północnym skrzydle budynku znajdowały się także mniejsze mieszkania. Miłośnicy malarstwa mogli podziwiać płótna dawnych włoskich mistrzów w galerii Alberta Wilczka na trzecim piętrze pałacu. Była ona otwarta w godz. 11-16, a właściciel chętnie sprzedawał obrazy po „cenie umiarkowanej”.

Wśród innych osobistości wymienić trzeba dr. Jana Oczapowskiego, lekarza i pomysłodawcę nazwy pierwiastka „tlen”. Był on również „lekarzem departamentów senatu”, a następnie ordynatorem w Szpitalu Ewangelickim. Kolejnym mieszkającym w pałacu lekarzem, dentystą, był Stanisław Loewenstein, który bezpłatnie leczył ubogich i udzielał porad w swoim mieszkaniu na pierwszym piętrze.

Mieszkanie w północnym skrzydle miał także rządca domu, Antoni Rembiewski, którego żona,

Wiktoria, była jedną z najbardziej aktywnych konspiratorek na terenie Królestwa Polskiego. W ich mieszkaniu odbywały się konspiracyjne spotkania, przechowywano broń. Wiktorię Rembiewską objęto dozorem policyjnym, a później aresztowano i internowano.

W Pałacu Saskim prowadzono też działania edukacyjne. Swoją pensję miała tu Laura Guérin z Brzezińskich, właścicielka i dyrektorka jednej z najlepszych prywatnych placówek oświatowych dla dziewcząt w Warszawie drugiej połowy XIX w. Jednym z wykładowców pensji był bajkopisarz Stanisław Jachowicz.

W północnym skrzydle mieścił się także sklep Handel Win Antoniego Bysieńskiego, słynący z doskonałych win francuskich, a także szampanów węgierskich czy reńskich, zaopatrzonej też w egzotyczne owoce: cytrusy i figi, oferujący też owoce morza. Obok znajdował się Magasin Français Adele Hoffman (Magazyn Mody Francuskiej Adeli Hoffman) ze strojami przywozonymi z samego Paryża, gdzie ubierały się najmodniejsze warszawskie damy, oraz „Fabryka Perfum i mydeł toaletowych Fryderyk Puls”, w której sprzedawano wszelkie perfumy, wodę kolońską czy mydło migdałowe. Nie zabrakło także miejsca, gdzie nabyć można było umbrelki do lamp i świec – z Fabryki Obić Papierowych Rahn Sukces et Vetter.

Ten niezwykle bujny okres życia towarzyskiego w murach Pałacu Saskiego trwał do 1864 r., gdy budynek został przejęty przez wojsko na kwaterę Dowództwa Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Był to początek kolejnego etapu wojskowej historii gmachu, w czasie którego zajmowały go zarówno wojska rosyjskie, jak i niemieckie podczas I wojny światowej.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Pałac Saski stał się siedzibą Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i przez kolejnych 20 lat był świadkiem ciekawych wydarzeń. Ale to już inna opowieść. 🍷

Puszczczyk wśród reliktyw szpitala

Krzysztof Traczyński

Niewiele pozostało ze Szpitala Ujazdowskiego, którego początek sięga 1792 r. W XIX w. wybudowano nowoczesne pawilony i utworzono Szpital Główny Wojskowy. Teren od dzisiejszej ulicy Pięknej do Agrykoli zajmował 15 ha. Do obsługi rozległego obszaru używano tramwaju konnego, zastąpionego w późniejszych latach kolejką. Zza pawilonów Oddziału Chirurgii wylaniała się cerkiew św. Michała Archanioła, wybudowana w latach 1892-1894 dla rosyjskich żołnierzy stacjonujących w Warszawie, rozebrana w 1924 r. W miejscu, w którym się znajdowała, dziś przebiega Trasa Łazienkowska, dzieląca dawny teren Szpitala Ujazdowskiego na dwie części. Tory kolejki prowadziły od bramy wjazdowej przy Pięknej do budynków najdalej wysuniętych na południe. Po prawej stronie bramy wznosił się reprezentacyjny, trzykondygnacyjny budynek komendantury. Obiekt został zbombardowany we wrześniu 1939 r. i obecnie na jego miejscu stoi gmach Ambasady Francji w Warszawie. Po drugiej stronie drogi wjazdowej – jej pozostałością jest ulica Jazdów – znajdował się parterowy budynek szpitalnej izby przyjęć, za nim stały obiekty gospodarcze i magazyny oraz pawilon mieszczący Zakład Bakteriologii. W ostatnim z wymienionych we wrześniu 1939 r. prof. Ludwik Hirszfild zorganizował stację krwiodawstwa. Na jego radiowy apel o oddawanie krwi dla rannych warszawiacy, w tym przede wszystkim warszawianki, licznie stawiali się w szpitalu.

Nowo wybudowany dom w parku za Zakładem Bakteriologii zwany był generałówką, mieszkał w nim bowiem m.in. gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, legionista, uczestnik odsieczy dla Lwowa w 1918 r. i tzw. wyprawy wileńskiej z kwietnia 1919 r. Obok, w gmachu wzniesionym w 1878 r., znajdował się graniczący z parkiem pawilon oddziałów Neurologii i Psychiatrii. W tym ostatnim w czasie okupacji odbywały się tajne zebrania



Dawny pawilon chirurgiczny, ul. Jazdów1A

Armii Krajowej. Obiekt przetrwał wojnę, ale został rozebrany w 2002 r.

Zachowało się niemało przedwojennych zdjęć bramy wjazdowej na teren zespołu i jej otoczenia. Fotografia z 1926 r. przedstawia tłum oczekujący na wiadomości o rannych w czasie przewrotu majowego. Na zdjęciu z 1938 r., zrobionym w dzień Święta Niepodległości, widać przejeżdżającą przez bramę – zwieńczoną gwiazdą z orłem w koronie i zdjęciem marszałka – wojskową kolumnę konną.

Po drugiej stronie alei wjazdowej, za budynkiem komendantury, usytuowany był pawilon Oddziału Ginekologii i Położnictwa (gdzie na świat przyszli m.in. Zofia Kucówna, Ernest Bryll i Alina Janowska), a tuż za nim Zakład Radiologii. Kierował nim od 1926 r. prof. dr Witold Zawadowski, który podczas odwiedzin szpitala przez marsz. Józefa Piłsudskiego zaznajamiał go z nowoczesną technologią medyczną. Na zdjęcia rentgenowskie przeprowadzał tu wychowanków domu dziecka przy ulicy Krochmalnej Janusz Korczak. Budynek przetrwał wojnę i dziś przy ul. Jazdów 5 mieści się XV Oddział Dzienny

K. Traczyński

Szpitala Nowowiejskiego. Tuż za Zakładem Radiologii w dwóch parterowych budynkach leczono zakaźnie chorych, a w latach okupacji przetrzymywano jeńców radzieckich. Na tyłach budynków, przy ogrodzeniu oddzielającym teren szpitala od parku Ujazdowskiego, we wrześniu 1939 r. grzebano poległych obrońców Warszawy. Na początku lat 50. ich ciała ekshumowano i przeniesiono na cmentarz Powązkowski. Miejsce ich pierwotnego pochówku upamiętnia pomnik wzniesiony w 1989 r.

Ciąg budowli po zachodniej stronie ulicy Jazdów zamykało pięć murowanych pawilonów. W pierwszym z nich mieścił się Oddział Oftalmologiczny (okulistyczny). Według znanej anegdoty pracujący na oddziale doktor Bolesław Wieniawa-Długoszowski pacjentów chorych od pasa w dół leczył rycyną, a tych z dolegliwościami od pasa w górę aspiryną. Jednym z jego pacjentów był marsz. Józef Piłsudski.

Kolejne trzy pawilony zajmował Oddział Chirurgii. We wrześniu 1939 r. trafił tu dziadek mojej żony Jarosław Tymowski, właściciel majątku Ulesie koło Dąbrowy Zielonej, zajmujący się m.in. hodowlą koni; wierzchowca z jego stajni dosiadał major Hubal. Dziadek Sławek, trafiony odłamkiem bomby lotniczej, został przewieziony furmanką z Głuchowa do Warszawy. Od poważnej rany, a może nawet śmierci, uratowała go talia kart, schowana w kieszeni munduru, kupiona, gdy jako ochotnik udawał się na punkt mobilizacyjny w Łodzi. W czasie rekonwalescencji odkrył tkwiące w kartach spore odłamki. Ostatnie chwile pobytu w Szpitalu Ujazdowskim dziadek opisał we wspomnieniach:

„Bombardowanie wzrastało się z dnia na dzień. Rankiem 25-go (września) samoloty niemieckie zaczęły latać nisko. Jeden z nich zrzucił dwie czy trzy zapalające bomby na nasz pawilon. Piętro stanęło momentalnie w ogniu i ledwo zdołano wynieść ze szpitala kilku leżących tam rannych (część chorych i personelu schowało się w prowizorycznym schronie, gdzie przeczekali do wieczora). Z nastaniem mroku niemieckie bombardowanie prawie zupełnie ustało. Jeden za drugim zaczęliśmy wtedy opuszczać schron. Wyszliliśmy na Aleję biegnącą między pawilonami Szpitala Ujazdowskiego. Szalała wichura, leżały poprzewracane drzewa i zabite konie. Nad Warszawą wisiała jedna wielka łuna”.

Dwa z pięciu pawilonów przetrwały do dziś. W jednym z nich mieści się Dział Starej Książki Medycznej Głównej Biblioteki Lekarskiej im. Stanisława Konopki. Przy ul. Jazdów 1 ma siedzibę Instytut Teatralny. Po drugiej stronie alei biegnącej przez cały teren szpitalny, od ulicy Pięknej (wtedy Piusa) do Agrykoli, stał największy z budynków – gmach Szkoły Podchorążych Sanitarnych, a w latach 1939-1944 główny pawilon szpitalny. Budynek i otaczające go obiekty zostały zniszczone w czasie wojny.

W sierpniu 1939 r. na terenie Szpitala Ujazdowskiego znajdowało się 36 budynków. Na północ od Zamku Ujazdowskiego i gmachu Szkoły Podchorążych zlokalizowane były pierwotnie obiekty mieszczące różne zakłady obsługujące szpital. Na lokalne potrzeby pracowały piekarnia, pralnia i zakład fryzjerski. W szklarniach przy domu ogrodnika uprawiano warzywa. W środkowej części placu wzniesiono budynek mieszkalny dla lekarzy, oddzielnie zaś ten dla personelu pomocniczego. Budynek mieszkalny możemy oglądać dzisiaj pod adresem ul. Jazdów 10A, gdzie funkcjonują przedszkole Raj na Skarpie oraz Fundacja Pomocy Polakom na Wschodzie.

Przez cały czas trwania okupacji teren szpitala był miejscem pracy konspiracyjnej. Tu znajdowali schronienie byli członkowie Armii Krajowej i ZWZ, a lekarz Michał Lityński, wspólnie z naczelnym kapłanem ewangelicko-augsburskim Wojska Polskiego Feliksem Gloehem za pomocą fałszywych metryk parafialnych ratowali Żydów – obaj uhonorowani zostali za to medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata. W budynku Zakładu Anatomii Patologicznej przechowywane było serce Juliusza Słowackiego. W czasie wejścia Niemców do Warszawy ukryto je w kaplicy klasztornej na Ochocie, gdzie spłonęło w czasie Powstania Warszawskiego.

Szpital funkcjonował do wybuchu Powstania. Z początkiem walk polski personel został zmuszony do ewakuacji. Placówkę przeniesiono na ulicę Chełmską, a następnie na Sadybę. Po wojnie władze komunistyczne, pomimo starań prof. Jana Zachwatowicza o odbudowę, postanowiły rozebrać zabytkowe mury Zamku Ujazdowskiego. W planie była rozbiórka wszystkich pawilonów szpitala, również tych, które potem szczęśliwie się zachowały. Pamiętający czasy Zygmunta III Wazy, zbombardowany już we wrześniu 1939 r., Zamek Ujazdowski przetrwał wojnę w dość dobrym stanie, choć wypalony i z doszczętnie zniszczonym dachem. Jego mury zewnętrzne rozebrano jednak w 1954 r. W miejscu Zamku miał po wojnie powstać Teatr Wojska Polskiego, co na szczęście nie zostało zrealizowane. W 1974 r. podjęto prace przy odbudowie obiektu.

Teren Jazdowa to dziś wyjątkowe miejsce. Można pospacerować aleją wśród starych drzew, wśród zachowanych reliktyw szpitala i ostatnich domków fińskich, zbudowanych tuż po wojnie. Można odwiedzić Zamek, mieszczący dziś Centrum Sztuki Współczesnej, a po zmroku posłuchać głosu mieszkającego tu puszczyka. 🐿️

dr Krzysztof Traczyński – ukończył Wydział Inżynierii Lądowej na Politechnice Warszawskiej, wykładał geotechnikę tamże, studiował geologię na Uniwersytecie Warszawskim; od 1990 r. prowadzi firmę geotechniczną Geotest; pasjonuje się geologią i historią Warszawy

Szkoły 145 lat Wojciecha Górskiego



Wojciech Brański

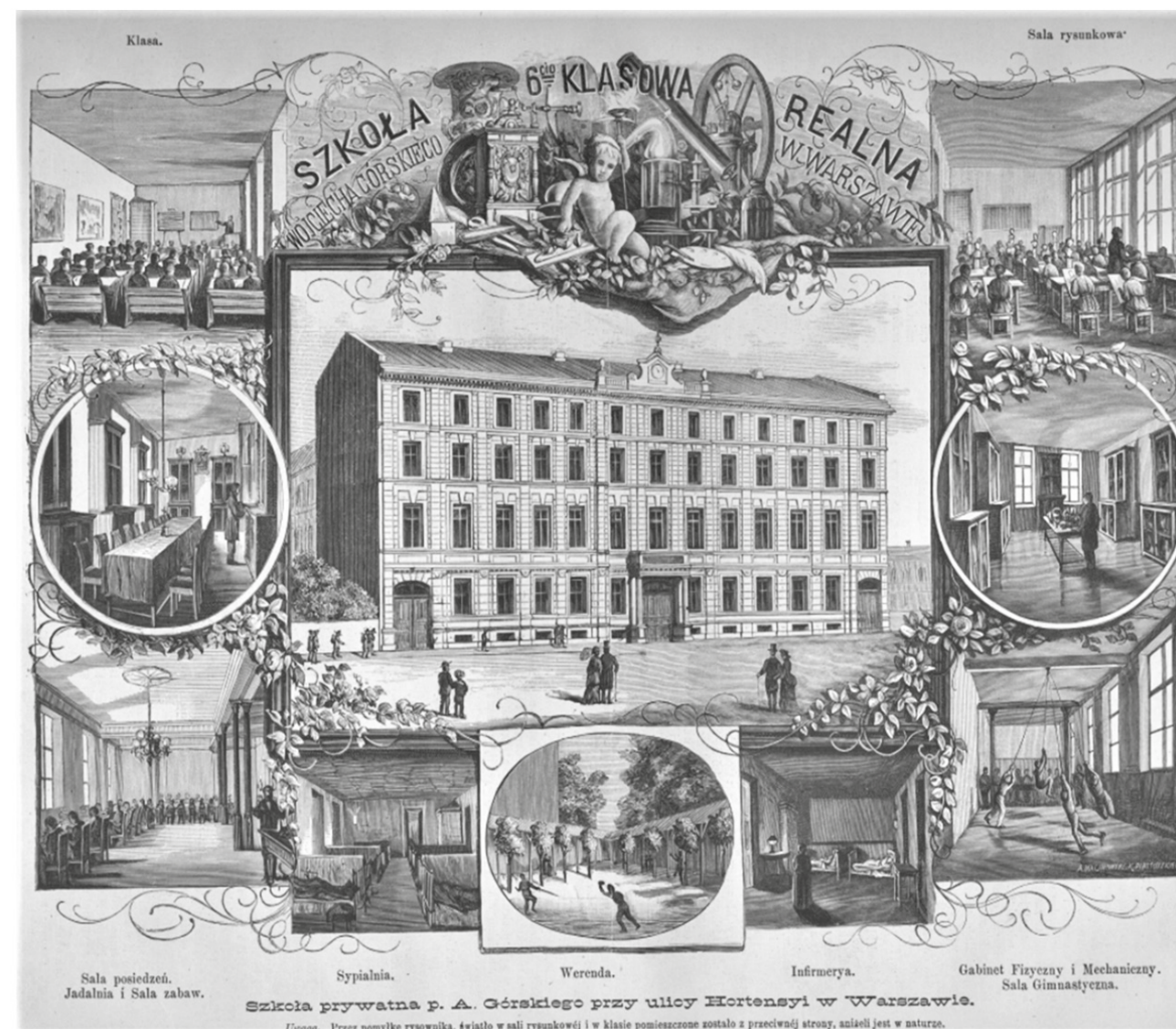
Na początku ostatniego ćwierćwiecza XIX w., w czasach, w których Polski nie było, a polskość była metodycznie wypychana ze wszystkich dziedzin życia, rozpoczęła działalność prywatna szkoła Wojciecha Górskiego, a wkrótce potem przy ulicy Hortensji stanął gmach szkolny, jakiego do tej pory w Warszawie nie było. Placówka przetrwała czasy rusyfikacji Apuchtina i obie wojny światowe. Zamknięto ją w 1950 r. Obecnie działają dwie szkoły noszące imię Wojciecha Górskiego: LX Liceum na Bielanach i Szkoła Podstawowa w Pamiętce pod Tarczynem

Wojciech Górski, występując w 1877 r. o koncesję na prowadzenie polskiej czteroklasowej szkoły realnej, nie wiedział, że w nieodległej przyszłości przyjdzie mu mieć do czynienia z kuratorem – gen. Aleksandrem L. Apuchtinem – powołanym na to stanowisko w 1879 r. z zadaniem przeprowadzenia programu rusyfikacji. Przesłaniem bezwzględnie Rosjanina były przypisywane mu słowa: „Matka Polka zawodzić będzie nad kołyską dziecka rosyjską piosenkę”. Ale koncesję na prowadzenie szkoły udało się zdobyć jeszcze przed przybyciem do Warszawy Apuchtina i to był przysłowiowy łut szczęścia. Po dwóch latach szkoła była już sześcioklasowa. Nie minęło więcej niż trzy lata rządów Apuchtina, a na ulicy Hortensji stanął pierwszy w Warszawie – i w całym Królestwie Kongresowym – gmach zaprojektowany od podstaw jako szkoła. Jego autorami byli Artur Goebel i Józef Pius Dziekoński. Na zachowanej litografii widać niektóre pomieszczenia szkoły: klasa, sala rysunkowa, sala posiedzeń, jadalnia i sala zabaw, sypialnia, werenda, czyli boiska do gier z dwoma szpalerami drzew, „infirmaryja” (sala chorych), gabinet fizyczny i mechaniczny, sala gimnastyczna. Przedsiębiorczy nauczyciel, bez środków własnych, z wykorzystaniem kredytu dokonał dzieła budowy gmachu, który potem, przez wiele lat, uznawany był za wzorcowy budynek szkolny.

Czym kierował się młody nauczyciel matematyki, współdziedziczący skromny majątek Księżowola na ziemi grójeckiej? Żeby uwiarygodnić odpowiedź

na tak postawione pytanie, należy sobie uświadomić stan ówczesnej oświaty. Najbardziej dotkliwym był – wprowadzony na mocy rozkazu carskiego w roku szkolnym 1869/1870 – nakaz prowadzenia nauki w szkołach średnich (gimnazjach) w języku rosyjskim. Były to wyłącznie szkoły rządowe, zatrudniające rosyjskich nauczycieli. Ukończenie takiej szkoły i otrzymanie świadectwa umożliwiającego dostanie się na uniwersytet było utrudnione ze względu na wysokie wymagania w zakresie znajomości języka rosyjskiego. Z grona zaczynających naukę po ośmiu latach kończyło szkołę kilka procent uczniów. Wielu musiało powtarzać klasy, a jeszcze więcej wydalano za braki w języku rosyjskim.

Niszczące polskość działania rosyjskiej administracji odciskały piętno na wszystkich obszarach życia społecznego, ogromne żniwo zbierały też w oświacie. Na 4 tys. mieszkańców Warszawy w początku lat 90. przypadała jedna szkoła. W Niemczech funkcjonowała wtedy jedna szkoła na 900 mieszkańców, w Norwegii – jedna na 250 mieszkańców, w Rosji – jedna na 1500 mieszkańców. W Warszawie było zaledwie 47 prywatnych męskich szkół średnich (w tym tylko Pankiewicza i Górskiego jako sześcioklasowe) i 33 pensje żeńskie. Analfabetyzm pod koniec XIX w. sięgał 75-80%, a mówimy tylko o samej Warszawie, centrum cywilizacyjnym Kraju Nadwiślańskiego. Przeszło 300 tys. mieszkańców stolicy nie umiało czytać ani pisać!



Szkoła przy ulicy Hortensji i jej różnorodne pomieszczenia, przygotowane pod pełnienie określonych funkcji

Przejsie do szkoły rządowej było możliwe pod warunkiem zdania niełatwego egzaminu. Świadectwa szkolne nie uprawniały do kontynuowania nauki, nie dawały też żadnych ulg w wymuszonym obowiązku służby wojskowej.

A jednak szkoły prywatne powstawały i wypełniały ogromną lukę edukacyjną. Pełniły rolę swoistych „przytułków oświatowych” lub „pogotowia ratunkowego” dla młodzieży niemającej szans na zdobycie wykształcenia normalną drogą oraz przygotowanie tych, którzy chcieli kontynuować naukę na uniwersytecie, do państwowego egzaminu. Współcześni określali ten ruch mianem „walki o unarodowienie szkoły”. Znamiennie są słowa Wojciecha Górskiego: „Przegrawszy na polu walki orężnej, postanowiliśmy zwyciężyć na polu nauki, sztuki, kultury i dobrobytu”. Oddają one ducha szerzącej się wtedy idei „pracy u podstaw” – jedynej alternatywy dla zakorzenionej głęboko ideologii romantyczno-bohaterskiej. Co nie znaczy, że kiedy

trzeba było stanąć z karabinem w rękę, młodzież od Górskiego nie podjęła wyzwania. Kamienne tablice umieszczone w szkole po I wojnie światowej zawierały kilkadziesiąt nazwisk wychowanków poległych na różnych frontach. Poległym w II wojnie światowej nie ufundowano już tablic, było ich ponad dwustu.

Nieustające dochodzenie praw do nauczania według swojego, a nie rządowego modelu szkoły, podejmowane próby rozszerzenia nauczania w języku polskim – wszystko to wymagało doskonałej znajomości rosyjskiego prawa oraz przepisów mnożonych przez biurokratyczny rosyjski aparat oświatowy. Wymagało też dyplomacji oraz sztuki argumentacji. Górski okazał się niezwykle skuteczny w biurokratycznym „fechtunku” z rosyjskim aparatem urzędniczym. Nie zawsze wygrywał te pojedynki, w pewnym okresie został pozbawiony prawa kierowania swoją szkołą, mógł jedynie być w niej nauczycielem.

„Co tyczy się literatury (polskiej) – to ograniczać się ona ma konспекtem, który układać mają uczniowie →

z wykładów profesora. Profesor zaś ma opowiadać uczniom po rosyjsku treść dzieł autorów polskich. Profesor mówić powinien po rosyjsku na lekcji koniecznie. Główną część ma stanowić tłumaczenie – podrzędna tylko literatura” – zapisał 24 listopada 1882 r. w swoim młodzieńczym *Dzienniku* uczeń kieleckiego gimnazjum państwowego Stefan Żeromski. Nie dość, że przedmiot był nadobowiązkowy, traktowany na równi z językami obcymi, to jeszcze nauczycielowi nie wolno było rozmawiać w klasie po polsku! Uczniowie mogli robić notatki, ale tylko po rosyjsku. Za słowo wypowiedziane po polsku lub znalezienie polskiej książki groziło uczniowi wydalenie ze szkoły, a nauczycielowi takiego wychowanka – dymisja.

Ambicją rosyjskich zarządców oświaty było zminimalizowanie liczby uczniów kończących szkołę średnią. Stąd ogromny odsiew na egzaminie maturalnym: przykładowo, na 38 uczniów klasy, do której uczęszczał Żeromski, maturę otrzymało tylko dziewięciu – i przyszłego pisarza w tej liczbie nie było.

Wśród innowacji wprowadzonych przez Górskiego do jego szkoły wymienimy kilka niemających w tamtych czasach swoich odpowiedników w innych placówkach.

Były to m.in.: semestralny system nauki, 60-minutowe lekcje, uruchomienie i prowadzenie przez wiele lat pensjonatu (internatu) głównie dla zamiejscowych uczniów, pełniącego też nadzór zdrowotny nad mieszkańcami, powołanie stowarzyszenia byłych wychowanków, ustanowienie Fundacji Wojciecha i Anieli małżonków Górskich, wprowadzenie kroniki/pamiętnika szkolnego zapisywanego przez uczniowski samorząd (od klasy początkowej gimnazjum do matury, tj. sześć lat), utworzenie „gospody” pełniącej rolę schroniska dla grup wycieczkowych ze szkół odwiedzających Warszawę, utworzenie uczniowskiej kasy oszczędnościowo-zapomogowej, urządzenie dwóch osiedli szkolnych – w tym jedno nad Wigrami – przeznaczonych na wakacyjny wypoczynek uczniów, zbudowanie na terenie wykrojonym z majątku rodzinnego Księżowoli gmachu łączącego funkcję wiejskiej szkoły podstawowej z działalnością Domu Ludowego (dzisiejsza Pamiętka), przesunięcie w tejże szkole przyjętych powszechnie wakacji w miesiącach letnich na okres zimowy (od adwentu do 15 lutego) ze względu na udział dzieci wiejskich w letnich pracach polowych. To chyba nie mało?

Podjęcie w czasach nocy apuchtinowskiej idei szerzenia oświaty, budowa gmachu szkoły, jakiego nikt w Kongresówce do tej pory nie widział, wiara w przywrócenie języka polskiego w szkolnictwie – czy nie jawi się to jako romantyczna mrzonka? A jednak udało się, i to bez wielkiej ofiary krwi, którą przez ostatnie stulecia szafowaliśmy bez miary. Górski i jemu podobni wiedzieli dobrze, że gmach niepodległości trzeba wznosić na trwałym fundamencie, którego podstawowym

spoiwem jest oświata. Stąd praca i wiedza w emblematyce – znaczku szkolnym – a nie pompatyczne truizmy odwołujące się do ofiary, honoru, ojczyzny itp.

Pogrzeb Wojciecha Górskiego odbył się w 1935 r. W 1936 r. uroczyste przemianowano ulicę Hortensji na Górskiego, a w 1937 r. obchodzono jubileusz 60-lecia szkoły. Wielu absolwentów szkoły zginęło w zawierusze wojennej i Powstaniu, lecz pozostali odnaleźli siebie w powojennej rzeczywistości i nie bacząc na to, że formalnie szkoła przestała istnieć, spotykali się w kolejne rocznice swojej matury. We wspomnianej kronice szkoły znajdujemy zapisy ze spotkań. Ostatni zapis pochodzi z 26 maja 1990 r. Tylko niektórzy doczekali odrodzenia szkół noszących imię Wojciecha Górskiego i przywrócenia do życia Towarzystwa Byłych Wychowanków.

Towarzystwo Byłych Wychowanków utrzymuje pamięć o Wielkim Pedagogu i jego szkole powstałej w czasach, w których decydował się los naszego kraju. Na wybór szkoły wpływ dziś mają wielorakie czynniki, są jednak placówki, których ukończenie nobilituje, ułatwia start w dalszej karierze. Szkoła Górskiego do takich należała. Jakże często bywało, że ojciec przyprowadzał na ulicę Hortensji swego syna, bo sam był absolwentem tej właśnie szkoły.

Wychowankami i absolwentami naszej placówki było wielu późniejszych wybitnych naukowców, pisarzy i polityków, m.in. kard. Stefan Wyszyński, profesorowie Konrad Górski, Stanisław Lorentz, Leon Manteuffel, Tadeusz Orłowski, Edward Lipiński, Waclaw Gąsiorowski, Stefan Wiechecki „Wiech”, Leszek Prorok, Karol Małcużyński, Hanna Kirchner, Waclaw Albiński i Krzysztof Boczkowski (dwaj ostatni należą do grupy absolwentów szkoły już po jej upaństwowieniu), Mieczysław Karłowicz, Feliks Rybicki, Jan Adam Maklakiewicz, Jerzy Sz wajcer „Jotes”, Szymon Kobyliński, Krzysztof Zanussi. Nie sposób wymienić całej plejady ludzi nauki, inżynierów, wybitnych pedagogów, aktorów i działaczy kultury. 🍷

Z okazji 80. rocznicy śmierci Wojciecha Górskiego na łamach STOLICY nr 10/2015 Wojciech Brański opublikował artykuł *Z gruzów i zgliszczy, o Wojciechu Górskim i jego szkole* pisał także Adrian Sobieszczański w STOLICY nr 9/2018

dr inż. Wojciech Tadeusz Brański (1935) – wychowanek szkoły Fundacji Anieli i Wojciecha Górskich, absolwent Wydziału Łączności Politechniki Warszawskiej, fizyk, specjalizuje się w elektronowym rezonansie paramagnetycznym i jądrowym rezonansie magnetycznym, zdobywca dwóch dziewięciu wierzchołków w Himalajach, w tym najwyższego osiągniętego przez Polaków, Kanczendzongi Środkowej, honorowy prezes Polskiego Klubu Górskiego, prezes Towarzystwa Byłych Wychowanków Gimnazjum pw. św. Wojciecha, dawniej Szkoły Wojciecha Górskiego

Warszawskie pożegnania piórkami Kazimierza Nowaka



Kazimierz Nowak był przez blisko 20 lat współpracownikiem redaktora Jerzego Kasprzyckiego i współtworzył cieszący się ogromnym zainteresowaniem cykl *Warszawskie pożegnania* na łamach „Życia Warszawy”. Stworzył ponad 1100 rysunków warszawskich kamienic, willi, fabryk, domów drewnianych, dworców, kościołów. Każdy, kto interesował się historią Warszawy, starannie wycinał i zbierał felietony Jerzego Kasprzyckiego, a piękne rysunki były ich integralną częścią

Z Kazimierzem Nowakiem rozmawia Tomasz Lerski

Przede wszystkim jest Pan architektem, zaprojektował Pan wiele obiektów w kraju i za granicą – ok. 100 domów i willi w Warszawie, ale też w Szczecinie, Berlinie, Chicago, Iraku, Zjednoczonych Emiratach Arabskich i USA, osiedle mieszkaniowe na Tarchominie, wnętrza siedziby wydawnictwa Muza SA... Ogromny dorobek! Kiedy znajdował Pan czas na tworzenie rysunków do felietonów Jerzego Kasprzyckiego, i to co tydzień, przez wiele lat?

Kocham Warszawę i mogę dla niej pracować bez końca. Jestem warszawiakiem w pierwszym pokoleniu, ale czuję się ze stolicą związany znacznie dłużej! Mój dziadek Tadeusz Sikorski pochodził z rodziny ziemiańskiej, nieco zubożałej, spod Dobrzynia nad Wisłą. Urodził się w 1902 r. Po I wojnie światowej opuścił tamte strony i przeniósł się do Łodzi, tak samo postąpił jego brat. Obaj wstąpili do szkoły drogistowskiej, którą prowadził w Zgierzu Józef Auerbach. Po ukończeniu takiej szkoły można było otworzyć skład apteczny; była to droga dla tych, którzy nie mieli możliwości odbycia studiów z zakresu farmacji. Dziadek poznał tam córkę właściciela rzeczony szkoły, zakochał się w niej z wzajemnością, ale jej mężem został... brat dziadka! Auerbach kupił młodemu małżeństwu aptekę w Zgierzu przy ulicy Długiej (w międzywojniu Piłsudskiego).

Po ślubie brata Pański dziadek opuścił Zgierz i przeniósł się do Warszawy. Było to w połowie lat 20. Pracował w żydowskiej aptece w Miedzeszynie pod Warszawą. Dlaczego właśnie tam?

Były to tereny bardzo modne, latem tłumnie odwiedzane przez żydowskich letników. Dziadek doskonale się tam poczuł, potrafił znaleźć wspólny język z miejscową klientelą. Tam właśnie pewnego dnia przyszła młoda klientka, aby uzyskać pomoc, bo wpało jej coś do oka →



Pałacyk przy ul. Mokotowskiej 25, zbudowany w 1878 r. dla Kazimierzy Ćwerciakiewiczowej. Od 2005 r. siedziba Instytutu Adama Mickiewicza

na pobliskiej stacji PKP. Weszła do apteki, a dziadek doznał olśnienia! To była moja przyszła babcia. Pochodziła z tamtych stron, jej rodzina kupiła od Towarzystwa Parcelacyjnego Branickich tereny w Miedzeszynie, od Wisły aż po dzisiejszą linię kolejową.

Mieszkał Pan do niedawna w rodzinnym domu w Miedzeszynie. To rzadkość w realiach warszawskich, aby ta sama rodzina mieszkała w jednym domu niemal wiek.

Dziadek kupił w Miedzeszynie sporą parcelę w 1926 r., a w 1927 r. zbudował pierwszy dom. Apteka, w której zaczynał, stoi do dziś. To dom na rogu ówczesnej ulicy POW i dzisiejszej Patriotów, pod numerem 1. Mieści się tam obecnie biblioteka publiczna. Ulicę POW po wojnie przemianowano na Agrestową, zachowała się jednak w moich zbiorach cenna pamiątka – przedwojenna tabliczka z dawną nazwą. Ten teren należał do rodziny żydowskiej – państwa Buchalterów. Przy ulicy POW zorganizowano komisariat Policji Państwowej i pobudowano wille. Dom dziadka był bardzo duży, narożny, piętrowy, właściwie była to podmiejska kamienica. Przeznaczyl ją na mieszkania dla letników, a na dole uruchomił swój skład apteczny. Potem, w 1937 r., zbudował na tej samej parceli drugi, nowoczesny dom, z centralnym ogrzewaniem. Po sąsiedztwie przedsiębiorca Lewin wystawił efektowny, funkcjonalistyczny budynek kasyna. Podobno z tego powodu upadło kasyno w Otwocku, bo to należące do Lewina było bliżej Warszawy i cieszyło się większą frekwencją. Ulica POW i jej zabudowa stały się potem miedzeszyńskim gettem, które jest słabo opisane w historiografii i nieupamiętnione. Niemcy utworzyli

getto w 1941 r., sięgało ono niemal do Falenicy. Obok domu mego dziadka utworzono strażnicę SS; po wojnie dokonano tam odkryć zakopanych kosztowności, złota, srebrnych sztuców itd. Pochodzenie tych skarbów nie budzi wątpliwości – należały do ofiar getta miedzeszyńskiego. Budynek kasyna Lewina ocalał.

Utworzenie getta w Miedzeszynie położyło kres także aptece Pańskiego dziadka?

Dziadek stracił w chwili utworzenia getta swój skład apteczny i oba domy. Przeniósł się do Falenicy, bo tam w 1938 r. otworzył drugą aptekę. Miał też trzecią aptekę w Świdrze, a czwartą prowadził w Otwocku. Ja urodziłem się niedługo po wojnie w domu na rogu Bysławskiej i Patriotów w Falenicy, właśnie nad apteką dziadka. Dom stoi do dziś i jest w rejestrze zabytków (willa Sapieżanka). Kiedy Niemcy wkroczyli do Łodzi, dla Auerbachów zaczęły się wielkie problemy. Brat dziadka przyjechał wtedy do Otwocka ze swą żoną, która ukrywała się następnie w domu dziadka, ale też pracowała. Zawsze na zapleczu, była bardzo pomocna jako farmaceutka. Szczęśliwie doczekała wkroczenia Armii Radzieckiej.

Rodzina była zaangażowana w konspirację?

Dziadek należał do AK, nosił pseudonim Biały, bo cały czas chodził w kitlu. Zajmował się medykamentami dla AK, był szefem podziemnej komórki medyczno-sanitarnej. Moja mama (ur. w 1925 r.) należała do Szarych Szeregów. Pamiętnego 1 sierpnia przyjechała po leki do Falenicy, ale wybuchło Powstanie i nie wróciła już do Warszawy. Jej ówczesny narzeczony, żołnierz AK, zginął w czasie walk i spoczywa na Powązkach.

Miłość do architektury i talenty plastyczne odziedziczył Pan po ojcu?

Mój ojciec, Kazimierz Nowak, pochodził z Emowa koło Falenicy. Studiował początkowo w warszawskiej ASP, potem na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Zaczął pracować w pracowni Bohdana Lacherta w czasie budowy osiedla Muranów. Urodziłem się w 1951 r. i jeździłem z ojcem do pracowni Lacherta jako małe dziecko, a potem nastolatek. Na rajzbracie ojciec rysował wnętrza kina Muranów, a z drugiej strony sali prof. Henryk Dąbrowski, dziekan Instytutu Malarstwa i Rzeźby Politechniki Warszawskiej, oraz architekt Jan Knothe projektowali sgraffita dla kamienic na Rynku Starego Miasta i Kazimierza nad Wisłą. Od dziecka patrzyłem na te wspaniałe, nieco bajkowe projekty, które bardzo działały na moją wyobraźnię. Ojciec był

znakomitym rysownikiem, portrecistą i malarzem. Przechowuję do dziś wiele jego prac. Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w 1965 r. Odziedziczyłem po nim umiejętności plastyczne. W 1966 r. opuściłem Falenicę, bo dziadek odzyskał dom w Miedzeszynie. Było to wielkie święto dla całej rodziny. Miedzeszyński dom był bardzo duży, wielopokojowy, z ogromnym tarasem, balkonem, arkadami. Niestety, zburzono go niedawno, teraz w tym miejscu stoi nowoczesny apartamentowiec.

Od marzeń o architekturze do bycia architektem droga daleka. Jak to było w Pańskim przypadku?

W 1969 r. nie udało mi się dostać na Wydział Architektury PW (punkty!). Dwa lata pod rząd zdawałem ponownie na architekturę. Byłem zdeterminowany! Dostałem się wreszcie w 1972 r., a jako praktykant budowałem rafinerię w Płocku. Moimi profesorami byli świetni architekci: Bohdan Lachert, Jan Bogusławski, Krzysztof Kakowski (bratanek kardynała), Konrad Kucza-Kuczyński, Stefan Kuryłowicz, Anna Czapska i inni. Obroniłem dyplom i w latach 1979-1989 byłem asystentem w Zakładzie Rysunku, Malarstwa i Rzeźby oraz w Zakładzie Historii Architektury Współczesnej Politechniki Warszawskiej.

Lecznicza dr. Ludwika Bryndza-Nackiego przy ul. Marszałkowskiej 45. Tu, w zamożnej klinice ginekologiczno-położniczej, na świat przyszło wielu późniejszych wybitnych przedstawicieli warszawskiej inteligencji. Piękny budynek o neorenesansowej, szlachetnej fasadzie, zniknął z pejzażu miasta w 2011 r.

Lecznicza dr. Ludwika Bryndza-Nackiego przy ul. Marszałkowskiej 45. Tu, w zamożnej klinice ginekologiczno-położniczej, na świat przyszło wielu późniejszych wybitnych przedstawicieli warszawskiej inteligencji. Piękny budynek o neorenesansowej, szlachetnej fasadzie, zniknął z pejzażu miasta w 2011 r.



Równie dużo projektował Pan w Berlinie. Właściwie Berlin był przez długi czas Pana drugim domem.

Poniekąd nadal nim jest. W 1989 r. założyłem pracownię architektoniczną KN Design Studio, którą w 2002 r. przekształciłem w Studio KN. Otrzymałem status Freischaffender Architekt i od 1995 r. prowadzę w Berlinie biuro architektoniczne Architekturbuero-Nowak. Katalog moich projektów zrealizowanych w Niemczech jest rzeczywiście dość duży.

Porozmawiajmy o Pańskiej współpracy z „Życiem Warszawy”. Zajął Pan miejsce po wspaniałym rysowniku, Marianie Stępiu, który współpracował z redaktorem Kasprzyckim od pierwszego felietonu Warszawskich pożegnań.

Moja historia z Jerzym Kasprzyckim zaczęła się w chwili mego powrotu z USA. Studio wałem tam architekturę, byłem na czwartym roku i robiłem dyplom. Przyleciałem do Warszawy. W tym czasie mój kolega ze studiów, Waldemar Łysiak, wydawał książkę *Asfaltowy salon* o swych podróżach po USA. Przyszedł do wydawnictwa i tam spotkał zatroskanego Jerzego Kasprzyckiego, który w tej samej oficynie wydawniczej publikował swe książki. →

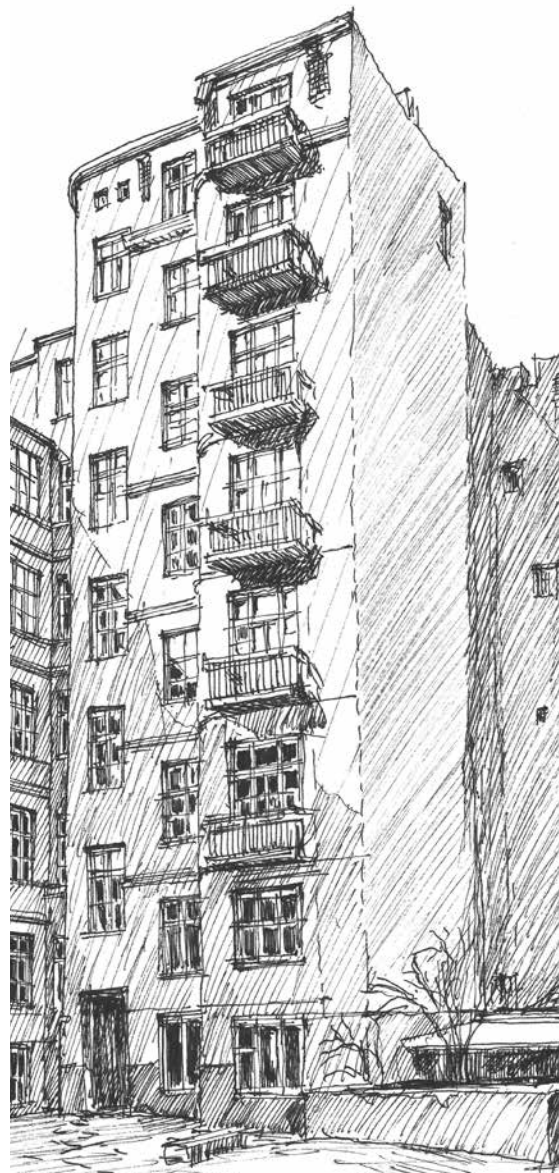
Było to zaraz po nagłej śmierci Mariana Stępnia. Ten świetny projektant i rysownik projektował wnętrza siedzib LOT-u w Stanach i zmarł tam niespodziewanie. Łysiak wspominał o mnie panu Kasprzyckiemu, dał telefon. Pan Jerzy zadzwonił, wyznaczył cztery tematy do narysowania i powiedział, że jeśli moje rysunki się spodobają, to przyjmie mnie do współpracy.

Jaki był pierwszy Pana rysunek dla *Warszawskich pożegnań*?

Bazar Różyckiego, wejście z bramy od ulicy Brzeskiej, zaraz przy maglu. I to był mój debiut jako rysownika architektury w „Życiu Warszawy”. Drugim tematem był dom kolejowy przy ulicy Na Batoryjce. Czytelnicy mnie zaakceptowali, odbył się plebiscyt, z pomysłem dla mnie wynikiem. W ten sposób odziedziczyłem miejsce po Marianie Stępiu, na blisko 20 lat. Ilustrowałem też oddzielnie książki pana Kasprzyckiego: *Żydzi Warszawy*, *Literacki melanz z Pragi*, *Warszawa sprzed lat* oraz *Korzenie miasta*, ale te ostatnie rysunki się nie ukazały.

Redaktor Kasprzycki był barwną postacią. Jak Pan go wspomina?

Przytoczę kilka anegdot. Pewnego razu pani redaktor z telewizji zaprosiła mnie i pana Jerzego na 30-minutowy wywiad. Przyszliśmy do studia na Woronicza, pierwsze pytanie zadała oczywiście panu Kasprzyckiemu. Po 28 minutach pan Jerzy dał jej dość do słowa. Zdołała wstrzelić się na moment w mitralię jego wymowy, wtedy ja wypowiedziałem dosłownie jedno zdanie, a w tym momencie pani oznajmiła, że to już koniec programu! Wiedza Jerzego Kasprzyckiego była ogromna, opowiadał o Warszawie w sposób przykuwający uwagę, barwny, hipnotyzujący. To były wielowątkowe, piętrowe opowieści o domach i ludziach, pełne anegdot, zaskakujących wiadomości, mówione w sposób uroczy, pięknym językiem. Miał też poczucie humoru. Kiedy zdymisjonowano pewnego ministra o nazwisku Barszcz, skomentował: „Barszcz wylany, mimo że czerwony”.



Niebotyczna oficyna kamienicy Kazimierza Spinka przy ul. Górskiego 3 z 1909 r.

Stworzył Pan ogromną liczbę rysunków, z zapasem, bo nie wszystkie opublikowano. Czy były jakieś przygody w plenerze związane z tą pracą?

Pan Jerzy dawał mi po pięć, sześć tematów do narysowania. Któregoś razu była to willa przy stacji metra Wilańska. Zwlekałem parę dni, a tu dzwoni pan Kasprzycki i pyta, czy mam rysunek gotowy. Odpowiedziałem, że tak. Pojechałem na miejsce następnego dnia i okazało się, że w międzyczasie dom został... zburzony. Wszystko się wydało i musiałem narysować sąsiedni. Mam też w archiwum rysunek spalonego domu, właściwie kamienicy, przy Radzimińskiej. Przyjechałem na miejsce w chwili, kiedy lokatorzy podpalili kamienicę i wszystko stało w ogniu. Musiałem wrócić po paru dniach i narysować ten dom, ale już spalony, bez okien i dachu. I taki rysunek opublikowano w „Życiu Warszawy”. Niestety, domy umierają tak jak i ludzie. Kilka lat temu dopiero zburzono jego ruiny. Najbardziej ekscytująco było w czasie stanu wojennego. Chodziłem po mieście jak w konspiracji, bo

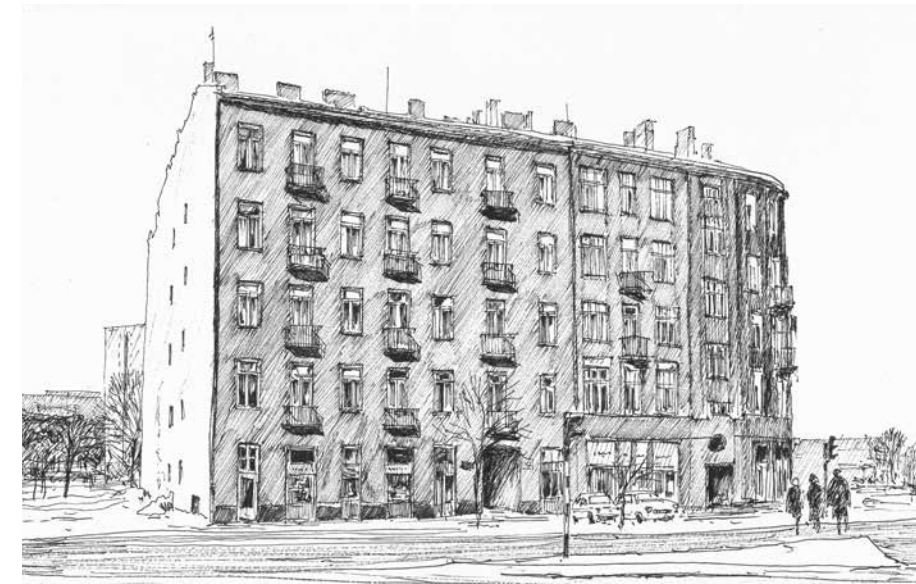
były ograniczenia w poruszaniu się z dzielnicy do dzielnicy, ustanowione bramki milicyjne, które musiałem omijać. Dostałem temat na ulicy Żąbkowskiej. Nagle podchodzi jakiś gość z przekleństwami i pretensją, pytając, co ja tutaj robię. W rękę – nóż. Musiałem zwinąć rysunek i szybko stamtąd uciekać, bo chyba chciał mnie zadźgać. Zdjęcie domu zrobiłem pośpiesznie z samochodu aparatem fotograficznym i ulotniłem się. Dziś Praga jest już na szczęście inna. Ale podobna sytuacja spotkała mnie w styczności ze stróżami prawa. Pan Jerzy oznajmił, że mam narysować gmach Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, powstańczej reduty, do felietonu na 1 sierpnia. Pojechałem na Rybaki. Raptem zaskoczyło mnie kilku milicjantów, kazali się wylegitymować. Wyglądało na to, że robię plany skoku na wytwórnię, siedząc w swoim samochodzie. Nadjechały radiowozy, chcieli mnie wyciągnąć z auta, ale miałem zaświadczenie z redakcji. Stali przy mnie z godzinę, dzwoniли do „Życia

Warszawy”, pytali, czy zaświadczenie nie jest aby fałszywe i czy przypadkiem telefonu nie odebrał mój współnik. Jeden z milicjantów z bronią był mocno agresywny i miał taką minę, że nie wiedziałem, czy chce mnie bić, czy do mnie strzelić. Pan Kasprzycki zmarł nagle, z dnia na dzień, nieoczekiwanie. Tydzień przed jego śmiercią dałem mu 10 rysunków. Cieszył się bardzo, że ma tyle roboty... Jego odejście to było zaskoczenie dla wszystkich czytelników, a tych była cała rzesza; otrzymywał setki listów miesięcznie, bo prowadził rubrykę *Pogotowie informacyjne dawnej Warszawy*. Jego felietony cieszyły się wielkim uznaniem. Kasprzycki nie zostawił żadnego następcy, moje rysunki pozostały niewykorzystane, bo teksty już nie powstały.

Redaktor Kasprzycki unikał takich tematów, jak kościoły, gmachy użyteczności publicznej, szkoły, urzędy. Jakie obiekty najbardziej go ciekawiły?

Cenił nade wszystko architektów Heppena i Czerwińskiego, Stifelmana i Weissa. To byli jego najukochańsi architekci, zachwycał się ich kamienicami. Szukał ponadto miejsc, gdzie coś ważnego się wydarzyło, gdzie mieszkały

Kamienica Trachtenberga z 1913 r. przy dawnej ul. Solnej 16, ciągnącej się wówczas spod placu Mirowskiego do Leszna. Dziś to al. Jana Pawła II 40



Kamienica Lejba Osmosa przy ulicy Twardej (dziś rondo ONZ) jest reliktem gęstej zabudowy dawnego Śródmieścia, ale także zabudowy warszawskiego getta. Są to w zasadzie dwie kamienice, wzniesione ok. 1912 r.

ważne osoby, po to, by te domy mogły ocaleć, by ich nie zburzono. Jakże często faktycznie były to pożegnania warszawskie, niejednokrotnie ostateczne. Czasami coś się udało skutecznie nagłośnić, np. dom przy ul. Ciepłej 3, miejsce urodzenia księdza Skorupki. Dziś patrzę na rysunki i widzę, że cała armia obiektów już nie istnieje, a na ich miejscu często nie powstała wartościowa architektura. Dokumentowaliśmy kamienice, wille, domy drewniane, relikty poprzemysłowe. Niektóre stoją, ale pozbawione dekoracji, obłożone sidingiem, z potwornymi plastikowymi oknami, oszpecone, ze zniszczonymi gzymsami, zerwanymi balkonami, wściekłą kolorystyką elewacji, fatalnie nadbudowane – urągawisko wobec formy i proporcji.

Które obiekty spośród tych 1100 najbardziej Pan ukochał?

Jest takich kilka. Oto kamienica Lejba Osmosa przy ulicy Twardej, czyli rondzie ONZ, która jest reliktem gęstej zabudowy dawnego Śródmieścia, ale także zabudowy warszawskiego getta. Wzniesiona ok. 1912 r. i niegdyś bogato zdobiona. Po wojnie mocno zdewastowana, pozbawiona cech stylowych, będzie jednak remontowana. Przylega do niej wspomniana kamienica przy ul. Ciepłej 3, zdewastowana w identyczny sposób. Podobnym reliktem jest kamienica przy dawnej ulicy Solnej, ciągnącej się pod placu Mirowskiego do Leszna. Dziś to aleja Jana Pawła II. Jest to jedyny dom, który ocalał z tego rejonu miasta. Dawniej aż siedmiopiętrowy, o bogatym wystroju neorenesansowym, po wojnie obniżony do trzech pięter i mocno przebudowany. Narysowałem ją na szczęście przed ową przebudowę z lat 90., nieudaną i niefortunną. Dom jest cennym świadkiem istnienia dawnej, niezwykle ożywionej, gęsto zabudowanej kamienicami handlowej



Żelazna przy Grzybowskiej. Tu znajdowała się brama wjazdowa go warszawskiego getta. Okazała, wysoka kamienica nr 65 z ok. 1860 r. stała jeszcze kilka lat temu, dziś w jej miejscu pozostał pusty plac

części Śródmieścia. A także reliktem warszawskiego getta. Marszałkowska przy placu Zbawiciela – dom pod numerem 43, wzniesiony ok. 1870 r. Większość bogatych zdobień elewacji skuto w 1954 r. Jest przykładem standardowej kamienicy warszawskiej. Takich domów było w Śródmieściu blisko 20 tys., ocalało kilkaset. Kamienica jest reliktem, jednym z nielicznych, zabudowy nieparzystej strony ulicy Marszałkowskiej. Pierzeja ta padła pod kilofami ekip wyburzeniowych w latach 50. Kamienica przy ul. Mokotowskiej 73, trafiona olbrzymią bombą niemiecką podczas Powstania, odbudowana, choć do dziś nie odtworzono jej przedwojennej elewacji. Może się jeszcze kiedyś tego doczekam. Przed wojną znana była wszystkim warszawiakom, zwłaszcza osobom z tzw. dobrego towarzystwa – w jej podwórzu znajdował się popularny teatr rewii Stara Banda, miejsce spotkań bohemy artystycznej Warszawy. Uwielbiam adres al. Róż 3 – stojąca tam willę rodziny Plater-Zyberk. Aleja Róż, uznawana za najdroższy adres Warszawy przedwojennej, poniosła wielkie straty podczas Powstania. Zniknęło kilka pałaców i willi, spłonęły kamienice, a wszystkie lokale mieszkalne obrabowano. Dom czynszowy przy ul. Kruczej 3, wzniesiony w latach 1882-1883 dla Jakuba Zaleskiego. Cała ulica Krucza, będąca synonimem mieszczańskiego życia, padła pod bombami niemieckich sztukasów w 1944 r. Dzieła dopełniły rozbiórki i poszerzenie ulicy, a także pozbawienie zachowanych budynków wystroju architektonicznego. W jednej z tych pięknych kamienic mieszkał przez pewien czas Karol Szymanowski. Neorenesansowa elewacja domu przy ul. Kruczej 3 została zerwana razem z tynkami w 1949 r. i taki stan pozostaje aż do dziś. Przetrwały jedynie resztki balkonów, zarys gzymsów i pilastrów ryzalitu, a także wysunięte cegły,

stanowiące niegdyś podbudowę rustyki parteru. Kamienica przy ul. Górskiego 3 – był to imponujący, secesyjny, siedmiopiętrowy dom z wykuszami i wieżyczką, zaprojektowany przez architekta Józefa Napoleona Czerwińskiego w 1909 r. Kamienica, uszkodzona podczas Powstania, po 1945 r. stała się w swej frontowej części topornym blokiem stalinowskim. W domu obok, przy ul. Górskiego 1, mieszkał po wojnie aż do śmierci Tadeusz Konwicki. Powstał felieton i rysunek. Dom przy ul. Koszykowej 4 – wspaniała, „paryska” kamienica, powstała późno, bo w 1929 r. Po wojnie stała się siedzibą Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Pan Jerzy mówił, że pytano wówczas żartobliwie, ale po cichu: „Jaki jest najwyższy dom w Warszawie? Koszykowa 4, bo stamtąd widać Syberię”. Budynek w al. Szucha 9 – to nie kamienica mieszkalna, ale ogromny zakład chirurgiczny i ginekologiczny doktora Solmana, wzniesiony w 1907 r. W owych czasach szpitali było niewiele, rodzono się i umierano

zazwyczaj w domu lub w prywatnych lecznicach. Gmach lecznicy, odznaczający się wysokimi walorami architektonicznymi, ok. 1980 r. przeznaczono do wyburzenia. Kiedy jednak rozbiórka była na półmetku, liczne protesty ludzi kultury doprowadziły do jej wstrzymania. Naruszony dom frontowy odbudowano, na zawsze zniknęły jednak oficyny. Pan Jerzy nie mógł tego znieść.

Gdyby nie Bohdan Lachert, nie zostałyby Pan architektem ani rysownikiem. Jak Pan ocenia swoje zawodowe życie?

Patrzyłem od małego, jak rysował ojciec, a potem prof. Lachert. Zrezygnowałem z marzeń o ASP, choć nieźle malowałem, ale wpływ Lacherta na mnie był ogromny. Uwielbiałem go, był przyjacielem rodziny, odwiedzał nas w Miedzeszynie, uczestniczyłem w jego pracy nad ważnymi dla Warszawy obiektami. Dzięki niemu jestem tym, kim jestem, a dzięki nieodżałowanemu redaktorowi Kasprzyckiemu mogłem potem utrwalić piękno Warszawy w rysunku. Cieszę się, że ten dorobek po mnie zostanie. Cieszy mnie, kiedy słyszę, że tak wiele osób wycinało z gazety kolejne odcinki *Warszawskich pożegnań*, że mają je do tej pory i traktują jako coś cennego. To wielka dla mnie satysfakcja. Nadal rysuję Warszawę, ukazują się moje pocztówki, kalendarze z moimi rysunkami, mam wiele wystaw. Nie wyobrażam sobie życia poza moim miastem. Mogę tylko żałować, że z powodu bardzo absorbującej pracy architekta nie zdołałem narysować wszystkich warszawskich zabytków i pereł takich miejscowości, jak Konstancin, Podkowa Leśna czy Milanówek. 🍷

Tomasz Lerski – historyk, dziennikarz, varsavianista, dramaturg, aktualnie związany jako scenarzysta z Teatrem Polskiego Radia



Film o niezwykłym życiu chłopca, który cudem ocalał podczas rzezi Woli. Jego rodzina została zabita 5 sierpnia 1944 r.

Życie zwycięża śmierć

Aleksandra Pieterwas

Czy można opowiedzieć w krótkim dokumencie historię długiego życia człowieka, który swoim życiorysem mógłby obdzielić kilka osób? Człowieka, o którym napisano dziesiątki tekstów i który sam o sobie opowiedział w niejednym reportażu filmowym i słuchowisku radiowym, napisał też książkę? Pokazać na nowo całą dramaturgię jego losu i skomplikowany kontekst, właściwie rozłożyć akcenty, a do tego nie znudzić widza? Dagmara Drzazga w swoim najnowszym filmie dokumentalnym pt. *Życie to coś pięknego* udowodniła, że można.

Tezę zawartą w tytule dokumentu udowadnia już samo miejsce, w którym wszystko się zaczęło, a właściwie – znalazło swój szczęśliwy finał. Stawisko. Miejsce magiczne, o czym wiedzą wszyscy, którzy choć raz przekroczyli próg tego domu, a obecnie Muzeum, jednego z najciekawszych na Mazowszu, noszącego imię niegdysiejszych gospodarzy: Anny i Jarosława Iwaskiewiczów. Stawiskiem nazwali posiadłość darowaną Annie w prezencie ślubnym przez jej ojca, Stanisława Wilhelma Lilpopa. To willa w tzw. stylu dworcowym, posadowiona w 35-letnim parku w Podkowie Leśnej. Od początku była →

czymś odrębnym. Jechało się nie do Podkowy, lecz „na Stawisko”.

Przed trzema laty przyjechała tu Dagmara Drzazga, scenarzystka i reżyserka związana z katowickim oddziałem TVP, autorka filmów dokumentalnych, wykładowczyni Uniwersytetu Śląskiego. Czy to przypadek, że spotkała Wiesława Kępińskiego, który teraz bywa na Stawisku rzadko, ale kiedyś był jego stałym mieszkańcem? Od słowa do... tańca – tak, Wiesio, który sam o sobie mówi: amant z Woli, zaprosił ją do tanga! I obiecała sobie, że skoro tu wreszcie trafiła (co nie udawało się przez lata, mimo wizyt u rodziny w sąsiedniej Podkowie Leśnej), skoro usłyszała tę historię, to poniesie ją dalej. Nakręci film o przybranym synu państwa Iwaszkiewiczów. Nastąpiła seria spotkań w Stawisku i w Warszawie, liczne sesje zdjęciowe przerywane pandemią, kolejne „dokrętki” i wreszcie – długo wyczekiwany, premierowy pokaz filmu. W ostatnią niedzielę czerwca tego roku „na Stawisku”, w przyciasnym jak na takie imprezy holu Muzeum, przed publicznością złożoną ze stałych bywalców i bohaterów obrazu. Godzinny dokument obejrzano w ciszy i skupieniu, dopiero kiedy zniknęły napisy końcowe, rozległy się oklaski.

Życie to coś pięknego – trudno o lepszy tytuł filmu, którego bohater powtarza tę frazę na co dzień, przy wielu okazjach. Nieustająca afirmacja życia to znak rozpoznawczy Wiesława Kępińskiego, mimo, a może właśnie dlatego, że w dzieciństwie cudem uniknął śmierci, gdy 5 sierpnia 1944 r. ranny od kuli plutonu egzekucyjnego

sturlał się z nasypu i zdołał zbiec. To był początek tzw. rzezi Woli, największej jednostkowej masakry ludności cywilnej w Europie w czasie II wojny światowej. Na rozkaz Hitlera po wybuchu Powstania Warszawskiego stolica Polski miała być zrównana z ziemią. Historycy szacują, że tylko podczas rzezi Woli zginęło min. 15 tys. osób, a niektórzy badacze są zdania, że nawet między 30 a 60 tys. ludzi.

Tamtego dnia w rowie przy ulicy Wolskiej w Warszawie Niemcy rozstrzelali 60 osób. Wśród nich byli matka, ojciec, dwóch braci Wiesia i ciężarna bratowa. Dwunastoletni chłopiec miał być sześćdziesiątą pierwszą ofiarą. Kula przeszła centymetr od kręgosłupa. Upadł, ale udało mu się ukryć na pobliskim cmentarzu prawosławnym, potem w polu pomidorowym – pomidory uratowały mu życie. Kilka tygodni później odnalazła go starsza siostra, obydwoje tułali się po podwarszawskich gospodarstwach. Po wojnie biedny i głodny chłopiec wysłał list do „Expressu Wieczornego” z prośbą o pomoc, a list został opublikowany. I wydarzył się cud, jak on sam to nazywa: biednego chłopca z robotniczej Woli przygarnął jeden z najważniejszych powojennych polskich pisarzy – Jarosław Iwaszkiewicz. Z żoną Anną zaoferowali mu nie tylko dom, lecz także swoją miłość. Jarosław, ojciec dwóch córek, który zawsze chciał mieć syna, nigdy go formalnie nie adoptował, publicznie jednak za syna uznawał. Wiesio stał się wychowankiem domu na Stawisku, wszedł w centrum życia kulturalnego i intelektualnego ówczesnej Polski. Czy mógł

przypuszczać, że „dane mu będzie siadać do stołu z Julianem Tuwimem, przyjmować wraz z gospodarzami królową belgijską Elżbietę i odbywać długie podróże z Jarosławem Iwaszkiewiczem po Polsce”?

W filmie o małym Wiesiu opowiada siwowłoso, prawie 90-letni Wiesław. Występuje nie tylko jako jego bohater, jest też świetnym narratorem. Czy to na tarasie domu w Stawisku, kiedy wsłuchuje się w śpiew kosa i obserwuje prześwietlone słońcem liście lipy, czy kiedy zapala świece w cerkwi lub opowiada przed tablicą upamiętniającą rozstrzelanych przez Niemców członków rodziny na cmentarzu Wolskim, a także przy



Wiesław Kępiński w swoim mieszkaniu

swój biurku w małym mieszkanku przy Anielewicza, gdzie sypie zabawnymi anegdotami (czy to przypadek, że okna gabinetu wychodzą na Muzeum Polin?). Snuje refleksje przed pomnikiem Polegli Niepokonani w parku Krasińskich, gdzie spotyka się z synem i wnukiem, i – obserwując spacerujące rodziny – wypowiada znamienne słowa: „Cmentarze zamieniają się w park. Życie zwycięża śmierć”.

Świetną reżyserię filmu wspomaga znakomity montaż, doborowa muzyka i dźwięk. Lirykę zrównoważy humor, smutek martyrologii – zachwyty nad urodą i radością życia. Jeśli Telewizja Polska wypełnia jeszcze jakąś misję publiczną, to ten film jest jej częścią. Notabene, oddaje hołd nie tylko człowiekowi o niezwykłym życiorysie, lecz także swojemu byłemu pracownikowi – Wiesław Kępiński przez 40 lat budował w TVP przy Woronicza scenografie do różnych programów.

Opuszczam Stawisko, które wciąż żyje, toczy dysputy i – jak mówią dzisiejsi gospodarze – sprawia wrażenie, jakby jego właściciele tylko chwilowo byli nieobecni. Nieobecni ciałem, bo ich dusza wciąż tu jest. Historia Wiesia, sieroty z robotniczej rodziny, który wszedł „na salony”, wciąż do nich powraca i nie jest jedyną, jaka miała tu miejsce. Willa w Stawisku przez cały okres

okupacji, a zwłaszcza po upadku Powstania Warszawskiego, była schronieniem dla wielu Polaków i Żydów zagrożonych aresztowaniem. W szczytowym momencie w majątku ukrywało się ponad 40 osób (za pomoc Żydom w czasie okupacji Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie zostali w 1988 r. uhonorowani medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata). Gdyby żyli dziś, z pewnością przyjełby pod swój dach niejedną ukraińską rodzinę, uciekającą przed rosyjskim agresorem. Nawet jeśli, tak jak podczas okupacji, nie starczałoby pieniędzy na opał i jedzenie. ❁

Życie to coś pięknego, scenariusz i reżyseria: Dagmara Drzazga, zdjęcia: Witold Kornaś, montaż i udźwiękowanie: Beata Widuch, produkcja: Krystyna Nowojaska. TVP SA Oddział w Katowicach

Aleksandra Pieterwas – dziennikarka z zawodu i charakteru, przez część swojego zawodowego życia związana z Koszalinem, z „Głosem Pomorza” i „Głosem Koszalińskim”, potem w Warszawie związana ze „Sztandarem Młodych”, „Super Expessem” i miesięcznikami kobiecymi. Interesuje się tematyką społeczno-kulturalną

Dom Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku, dziś muzeum



Dary dla Zamku

Magdalena Białonowska

„Každy bez mała ką w Zamku nosi dziś piętno zbiorów Andrzeja Ciechanowieckiego”
(Aleksander Gieysztor)

Darczyńcy i ich dary to wątek niezwykle ważny w historii Zamku Królewskiego w Warszawie – Muzeum, szczególnie w kontekście obchodzonego 50. jubileuszu odbudowy Zamku. Odbudowa murów i odtworzenie kolekcji królewskich, przede wszystkim zbiorów ostatniego króla, Stanisława Augusta, miały doprowadzić do restytucji symbolu Zamku jako siedziby najwyższych władz państwowych, symbolu państwowej suwerenności. Znaczenie obiektów darowanych do odtwarzanej kolekcji zamkowej przez osoby prywatne, przedstawicieli rządów zagranicznych, organizacje i firmy jest nie do przecenienia, biorąc pod uwagę: wysoką wartość artystyczną przekazanych dzieł, ich proveniencję, wskazującą często na dawne zbiory królewskie, oraz liczbę – szacuje się, że dary stanowią ponad 25% obecnych zbiorów.

Kolekcjoner, marszałek i mecenas

Cytat użyty jako motto tego artykułu to słowa Aleksandra Gieyszтора z 1989 r. Są one także dzisiaj aktualne. Andrzej Stanisław Ciechanowiecki urodził się 28 września 1924 r. w Warszawie jako jedyny syn Jerzego Stanisława i Matyldy Marii „Tilly” z Osiecimskich-Hutten-Czapskich, a zmarł w Londynie 2 listopada 2015 r. Działacz AK, brał udział w kampanii wrześniowej i Powstaniu Warszawskim. Po wojnie ukończył Akademię Handlową w Krakowie oraz Uniwersytet Jagielloński na kierunku historia sztuki. W latach 1950-1956 osadzony w więzieniach stalinowskich. Po wyjściu na wolność wyjechał na Zachód i w 1960 r. obronił doktorat na Uniwersytecie w Tybindze. Od 1961 r. mieszkał w Londynie, gdzie prowadził kolejno trzy galerie sztuki: Mallett at Bourdon House, Heim Gallery i Old Masters Gallery – specjalizujące się głównie we włoskiej i francuskiej sztuce nowożytnej – przez co wyraziście wpisał się w obraz londyńskiego rynku sztuki drugiej połowy XX w. Mieszkając i pracując w Londynie, Andrzej Ciechanowiecki wyszukiwał i skupował polskie bądź z Polską związane dzieła sztuki, kierując się dewizą zaczerpniętą od Emeryka Hutten-Czapskiego *Monumentis patriae naufragio ereptis (Pamiętkom ojczystym ocalonym z burzy dziejowej)*. W tym okresie wzbogacał muzea polskie i zagraniczne cennymi darami dzieł sztuki oraz pośrednictwem i doradztwem w zakupach.

Organizator darów

Andrzej Ciechanowiecki angażował się również w organizowanie tzw. darów aranżowanych – głównie dyplomatycznych, otrzymanych od przedstawicieli rządów zagranicznych, przy których przekazywaniu czasem dokładnie określano, jakie obiekty powinny trafić do Zamku. Ich organizacja wynikała z potrzeb ekspozycyjnych oraz aktualnej oferty zachodniego rynku sztuki. Przykładowo, w latach 1973-1980 na rzecz Zamku został złożony w geście pojednania dar rządu Republiki Federalnej Niemiec. Przekazanie daru zostało zorganizowane przez prof. Aleksandra Gieyszтора oraz dr. Arna Schönbergera, dyrektora Germanisches Nationalmuseum w Norymberdze. Istotną rolę merytoryczną przy wyborze ofiarowanych obiektów

Andrzej Okńczyc, *Portret Andrzeja Stanisława Ciechanowieckiego*, 2009 r., olej na płótnie



Andrzej Ciechanowiecki w Heim Gallery w Londynie, 1984 r.

odegrał właśnie Andrzej Ciechanowiecki. Znacząc potrzeby ekspozycyjne odbudowywanego Zamku, wyszukał na międzynarodowym rynku antykwarycznym polonice i obiekty pasujące profilem do kolekcji zamkowej. Wówczas do Zamku trafił pochodzący ze zbiorów stanisławowskich *Portret Ludwika z Poniatowskich Zamoyskiej* pędzla Bacciarellego oraz znaczące dla zbiorów rzeźby wykonane przez artystów królewskich: *Marsjasza* z 1783 r. – figurę wykonaną przez pierwszego rzeźbiarza króla, André Le Bruna, znajdującą się niegdyś w kolekcji królewskiej (odnotowaną w Małym Teatrze Łazienek Królewskich) – oraz odkute przez Jakuba Monaldiego *Popiersie Stanisława Augusta* z 1780 r. Dzięki działalności Andrzeja Ciechanowieckiego w Zamku znalazły się ponadto niezwiązane z tym miejscem, ale pasujące do odtwarzanej ekspozycji liczne popiersia papieży i innych ważnych osobistości, reprezentujące wysoki poziom rzeźby rzymskiej dojrzałego baroku.

Do zaaranżowanych przekazów należał też dar rządu Wielkiej Brytanii złożony na rzecz Zamku Królewskiego w Warszawie

w 1980 r. Przekazano wówczas marmurowe *Popiersie Stefana Czarnieckiego* dłuta Jakuba Monaldiego, najprawdopodobniej pochodzące ze zbiorów księcia Stanisława Poniatowskiego, bratanka króla. Rzeźba ta znajdowała się od 1966 r. w Victoria & Albert Museum w Londynie, gdzie uchodziła za popiersie przedstawiające Andree Dorię autorstwa Giovanniego Montorsolego, ucznia i asystenta Michała Anioła. Błędną identyfikację rzeźby rozpoznał Andrzej Ciechanowiecki, a następnie przyczynił się do sprowadzenia popiersia do Polski, darowanego przez rząd brytyjski.

Półmisek z serwisu sułtańskiego, Belweder, 1777 r., fajans





Élisabeth-Louise Vigée-Lebrun, *Portret Adama Kazimierza Czartoryskiego w czerwonym płaszczu*, 1793 r., olej na płótnie

Fundacja Zbiorów im. Ciechanowieckich i bezprecedensowy dar

Andrzej Ciechanowiecki, mieszkając w Londynie od początku lat 60. XX w. i mając dostęp do zasobów zachodniego rynku sztuki oraz korzystając z kontaktów towarzysko-zawodowych, zgromadził unikatową kolekcję poloniców. Kolekcja ta zainspirowała go do założenia w 1986 r. Fundacji Zbiorów im. Ciechanowieckich przy Zamku Królewskim w Warszawie. Była to wówczas pierwsza fundacja tego typu założona w Polsce po II wojnie światowej i stała się przykładem dla innych fundacji rodzinnych, np. Czartoryskich czy Raczyńskich. Majątek stanowiła jego prywatna kolekcja cennych poloniców – malarstwa, rzeźby i rzemiosła artystycznego – a fundator powiększał zasoby Fundacji o dzieła sztuki i środki finansowe przez kolejne 30 lat. W chwili śmierci Andrzeja Ciechanowieckiego, w 2015 r., kolekcja fundacyjna obejmowała blisko 4 tys. obiektów, wzbogacającą stałą ekspozycję Zamku Królewskiego w Warszawie na zasadzie długoterminowego depozytu. Jednocześnie zgodnie z wolą zmarłego zbiory Fundacji są przekazywane w darze Zamkowi – proces został zainaugurowany 27 września 2021 r. przekazaniem najcenniejszych obiektów z kolekcji Fundacji. Jest to długotrwały proces, ale zdecydowanie bezprecedensowy i należy go zestawiać z największymi donacjami na rzecz zbiorów muzealnych w Polsce.

Do kolekcji malarstwa zgromadzonej przez Andrzeja Ciechanowieckiego należą dzieła o proveniencji królewskiej oraz takie, które programowo odpowiadają ekspozycji stałej Zamku. Wśród obrazów są głównie



Pierre Subleyras, *Portret Fryderyka Krystiana na tle budowli Rzymu*, ok. 1738 r., olej na płótnie

portrety postaci historycznych, a wśród nich wizerunki ostatniego króla Polski: *Portret Stanisława Augusta z popiersiem Piusa VI*, pędzla Marcello Bacciarellego z 1789 r., czy członków jego rodziny oraz trzy z serii 12 owalnych portretów członków rodziny Poniatowskich również pędzla Bacciarellego, które pierwotnie eksponowane były w Sali Jadalnej Pałacu na Wyspie w Łazienkach. Na uwagę zasługują portrety autorstwa najświetniejszych

Uroczystość przekazania kolekcji rysunków, akwarel, starodruków i archiwaliów przez Fundację Zbiorów im. Ciechanowieckich na rzecz Zamku, 24 maja 2022 r.



M. Bronarski, A. Ring, L. Sandzewicz



Brosza – gemma z wizerunkiem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, Jan Regulski, Jean Martin, 1787 r., szafir, diamenty, złoto

Marcello Bacciarelli, *Portret Stanisława Augusta z popiersiem Piusa VI*, 1789 r., olej na płótnie

europjskich portrecistów i portrecistek, np. *Portret Fryderyka Krystiana na tle budowli Rzymu* sygnowany przez Pierre'a Subleyras'a, z lat 1736-1737, czy *Portret Adama Kazimierza Czartoryskiego w czerwonym płaszczu*, autorstwa Élisabeth-Louis Vigée-Le Brun z 1793 r.

W zbiorze rzeźby znajdują się liczne marmurowe popiersia: *Popiersie Ferdynanda I Medici* wykonane przez Giovanniego Cacciniego w latach 70. XVI w. czy *Popiersie Antonia Barberiniego* przypisane Giulianowi Finellemu z lat 20. XVII w. Szczególnej klasy obiektami są *Popiersie Napoleona I*, dłuta Antoine'a-Denis Chaudeta, czy *Popiersie Aleksandra I* sygnowane przez Bertela Thorvaldsena. Najliczniejszym zespołem rzeźb jest grupa brązów z warsztatów europejskich, w dużej części złożonych, niebędących polonicami, głównie z XVI-XVIII w. W kolekcji Fundacji znajdują się ponadto liczne przykłady polskiego i europejskiego rzemiosła artystycznego: wyroby złotnicze i zegary, meble, tkaniny oraz naczynia ceramiczne, a także numizmaty, rysunki, akwarele i książki.

Zupełnie wyjątkowym obiektem jest gemma w postaci broszy z wizerunkiem króla Stanisława Augusta, rzeźbiona intaglio w szafirze cejlońskim, wykonana w 1787 r. przez królewskiego szlifierza kamieni Jana Regulskiego, a ozdobiona brylantami przez francuskiego jubilera, Jeana Martina. Ten wysokiej klasy artystycznej



i historycznej obiekt jubilerski został подарowany przez Fundację do kolekcji Zamku w 2019 r. Obecnie blisko 450 obiektów z kolekcji Fundacji Zbiorów im. Ciechanowieckich dopełnia ekspozycję stałą Zamku oraz pałacu Pod Blachą.

W maju bieżącego roku odbyła się uroczystość przekazania kolejnej transzy darowizny – na własność Zamku został darowany zbiór rysunków i akwarel, starodruków i archiwaliów (278 rysunków, 5164 woluminy i ok. 40 m bieżących akt). Wśród najcenniejszych darowanych prac na papierze należy wymienić te autorstwa artystów takich jak: Stefano della Bella, Tadeusz Kuntze-Konicz, Daniel Chodowiecki, Sylwester Dawid Mirys, Aleksander Orłowski, Piotr Michałowski, Jan Matejko, Zygmunt Vogel czy Jan Piotr Norblin. W następnym roku zarząd Fundacji – według słów jej prezesa, prof. Andrzeja Rottermunda – planuje przekazać Zamkowi dzieła sztuki zdobniczej: porcelanę, fajans, wyroby ze srebra, tkaniny i meble. A w kolejnych latach do zbiorów Zamku ma zostać przekazana kolekcja rzeźby i malarstwa. 🍷

dr Magdalena Białonowska – kustosz w Zamku Królewskim w Warszawie, adiunkt w Instytucie Historii Sztuki UKSW. Kuratorka wystaw, organizatorka konferencji oraz autorka wielu publikacji naukowych, m.in. książki *Andrzej Stanisław Ciechanowiecki. Kolekcjoner, marszałek i mecenas* (Lublin 2012), redaktorka (wraz z Katarzyną Mączewską) książki *Darczyńcy polskich muzeów. Historia i współczesność* (Warszawa 2021)

Koniec teatru Słobodzianka?

Tomasz Miłkowski

Od 1 września dyrekcję Teatru Dramatycznego w Warszawie obejmuje Monika Strzępka. Teatr Tadeusza Słobodzianka, tworzony przez tegoż od 10 lat, przechodzi do historii. Dla jednych to okazji do świętowania, dla drugich – do teatralnej żałoby

Na zakończenie swojej drugiej kadencji odchodzący dyrektor wystawił przyjęty z entuzjazmem spektakl *Amadeusz* Petera Schaffera (w reżyserii Anny Wieczur) z udziałem orkiestry i śpiewaków na żywo, z niespotykanym operowym rozmachem, olśniewającymi kostiumami i budzącymi podziw kreacjami Marcina Hycnara (Mozart) i Adama Ferency (Salieri). Nie jest to jedyny popisowy akcent tego sezonu w Dramatycznym. W styczniu odbyła się premiera *Sztuki intonacji*, trzech nowych dramatów (kwartetów) Tadeusza Słobodzianka spiętych w jednym wieczorze, opowieści o kreatorach polskiego teatru w koronkowym wykonaniu aktorów i dyskretnej reżyserii Anny Wieczur. Ten trwający niemal cztery godziny spektakl o teatrze i świecie publiczności i recenzenci przyjęli pospołu z nieklamany zachwytem. A to nie wszystkie osiągnięcia tego pożegnalnego sezonu, w którym rozbłysła jak raca nowa inscenizacja *Rewizora* Gogola przygotowana przez rosyjskiego reżysera Juriya Murawickiego, która proroczo wyprzedziła złowrogą wymową agresję rosyjską w Ukrainie. Warta pamięci była też mroczna *Pułapka* Tadeusza Różewicza w reżyserii Wojciecha Urbańskiego. Na tę listę budzących szacunek dokonań dopisać by trzeba otwarcie strony internetowej poświęconej historii Teatru Dramatycznego (wspólne dzieło z redakcją *Encyklopedii Polskiego Teatru Instytutu Teatralnego*), niebywałą aktywność Laboratorium Dramatu, świetną edycję Warszawskich Spotkań Teatralnych zorganizowaną przez Dramatyczny i jeszcze sporo innych zrealizowanych projektów, a wśród nich rejestrację rozmów Wojciecha Majcherka z aktorami Dramatycznego i prezentację kolejnych dramatów Słobodzianka z jego cyklu dramatów otwockich dopełniających *Sztukę intonacji* w równie wybornej obsadzie.

Skoro tak wyglądała produkcja Teatru Dramatycznego, a poprzedni sezon także przyniósł sporą garść sensownych wyników, nic dziwnego, że cisnęło się na usta pytanie: po co zmieniać zaprzęg, jeśli wóz

toczy się w dobrym kierunku. Toteż rozległy się liczne ubolewania z powodu zakończenia tak obiecującego kierunku pracy teatralnej w Teatrze Dramatycznym. Paradoksalnie celowali w nich ci, którzy 10 lat temu lali krokodyle łzy z powodu obsadzenia dyrekcji Dramatycznego właśnie przez Słobodzianka, kierującego wcześniej Teatrem na Woli oraz Laboratorium Dramatu. Ówczesna nominacja sprawiła, że pod rządami nowego dyrektora znalazły się trzy teatry, co spotkało się z protestami części środowiska. Powstały koncert teatralny nazywano kąśliwie „Słoboplexem” – ja nazywałem go „kombajnem teatralnym”, choć wbrew wielu innym stawałem w obronie dyrektora, a potem wykazywałem jego osiągnięcia. Należy do nich np. utrzymanie w repertuarze *Szczęśliwych dni* z Mają Komorowską (premiery 1995) czy też przeniesienie na dużą scenę *Naszej klasy* (premiery w Teatrze na Woli, 2010).

Kiedy 1 października 2012 r. kierownictwo teatru przejął Tadeusz Słobodzianek, zadeklarował się jako zwolennik axerowskiego wehikułu czasu, zafascynowany teatrem, dzięki któremu można podróżować w głąb społeczeństwa, w głąb kultury, komunikować się z tym, co jako cywilizacja stworzyliśmy, kim jesteśmy od wieków. Zapowiedział, że Dramatyczny będzie wystawiał dobrze skonstruowane dramaty, dostosowując ich obecność do możliwości poszczególnych scen i potrzeb widza. I jak deklarował, tak czynił, chociaż przez pierwszą kadencję towarzyszyła mu nieskrywana niechęć środowiska i niemal zмова milczenia recenzentów. Tymczasem już w pierwszym sezonie po zmianie dyrekcji Dramatyczny dał kilka wyróżniających się premier opartych na zachodniej dramaturgii współczesnej – na małej scenie *Cudotwórcę* Briana Friela (reż. Wawrzyniec Kostrzewski) i *Romantyków* Hanocha Levina (reż. Grzegorz Chrapkiewicz) z pamiętnymi kreacjami Małgorzaty Niemirskiej, Władysława Kowalskiego i Zdzisława Wardejna.



Amadeusz Petera Schaffera w reż. Anny Wieczur, Teatr Dramatyczny, scena zbiorowa

W następnych sezonach te wysokie ambicje repertuarowe zostały utrzymane niebanalnymi realizacjami klasyki, m.in. *Mizantropa*, *Króla Edypa*, *Hamleta* (w nowych przekładach) czy dramatów Arthura Millera.

Tadeusz Słobodzianek zadbał zarazem o obecność nowej dramaturgii polskiej na afiszu, m.in.: *Noc żywych Żydów* Igora Ostachowicza (adaptacja Marek Kalita, reż. Aleksandra Popławska i Marek Kalita, 2014), *Dzieci księży* (reż. Daria Kopiec, Dramatyczny, Scena na Woli, 2019) na podstawie przejmujących reportaży Marty Abramowicz, *Don Juan albo nasze własne inferno* Marcina Bartnikowskiego (reż. Ewa Piotrowska, koprodukcja z Teatrem Malabar, Scena Przodownik, 2015), *Moja pierwsza śmierć w Wenecji* Justyny Bargielskiej (reż. Tomasz Cyz, Scena im. Haliny Mikołajskiej, 2015), *Coming out* Jacka Góreckiego (reż. Aleksandra Popławska, Scena Przodownik, 2016), *Tajny dziennik Mirona Białoszewskiego*, adaptacja Elżbieta Chowaniec i Wojciech Urbański (reż. Wojciech Urbański, Scena Przodownik, 2017). Prowadzono także liczne czytania nowych sztuk, zwykle połączone z dyskusjami na ich temat.

Na scenach Dramatycznego pokazywał dyrektor także swoje nowe sztuki, dając świadectwo wysokiej próby warsztatu i oryginalności podejmowanych w nich spraw: *Niedźwiedź Wojtek. Historia arcypolska* (reż. Ondrej Spišák, Scena na Woli, 2016), *Historia Jakuba* (reż. Ondrej Spišák, Scena na Woli, 2017) z Łukaszem Lewandowskim w roli tytułowej, *Fatalista* (reż. Wojciech Urbański, Scena im. Haliny Mikołajskiej, 2019). Zarówno sztuki Słobodzianka, jak i innych polskich autorów wywoływały spory, a często gwałtowne ataki – dotyczyło to zwłaszcza *Nocy żywych Żydów*

i *Historii Jakuba* – dramatów skierowanych przeciw ksenofobii i odradzaniu się tęsknot profaszystowskich.

Do repertuaru włączano nie tylko nowe sztuki polskie, lecz także obce, wśród których wyróżniały się dramaty Iwana Wyrupajewa: *Letnie osy kłusują nas nawet w listopadzie* (reż. Wojciecha Urbańskiego, Scena na Woli, 2015), *Pijani* (reż. Wojciech Urbański, 2018), *Irańska konferencja* (w reżyserii autora, Scena na Woli, 2018).

Silną obecnością na scenach Dramatycznego zaznaczyły się sztuki feministyczne i utwory niosące ważne pytanie moralne.

Nowym składnikiem repertuaru zainicjowanym przez Słobodzianka stały się spektakle muzyczne, którym początek dał musical Wojciecha Kościelniaka *Operetka* według Witolda Gombrowicza (2012). Potem zrealizowano z powodzeniem *Cabaret* (reż. Ewelina Pietrowiak, 2016), *Kinky boots* (reż. Ewelina Pietrowiak, 2017) i *Człowieka z La Manchy* (reż. Anna Wieczur, 2020).

Tadeuszowi Słobodziankowi, dzięki uporczywemu trzymaniu się obranego kursu, udało się przezwyciężyć ostracyzm, a co ważniejsze – przekonać, że jest w Warszawie miejsce dla teatru dramatycznego nie tylko z nazwy, respektującego dramaturgię dawną i nową, analizującego słowo autora, wyczulonego na aktorski fałsz. Można to nazwać programem konserwatywnym, jeśli ktoś chce, ale można też widzieć w tym zdrowy kult kontynuacji. Czy publiczność stolicy upomni się o swój teatr dramatyczny – nie wiem. Wiem na pewno, że teatr Moniki Strzępki będzie zupełnie inny i – być może – model teatru wypracowany przez Słobodzianka zagości gdzie indziej. 🍷

◆ Najmłodsza polska sztuka – malarstwo, rysunek, instalacje, fotografia, wideo – z lat 2020-2022, których autorami są osoby urodzone między 1985 a 2000 r., do obejrzenia na wystawie *Niepokój przychodzi o zmierzchu* w Zachęcie. Tytuł wystawy zaczerpnięto z książki pod tym samym tytułem, której autorem jest Marieke Lucas Rijneveld. Podobnie jak bohaterce książki, tak i autorom prezentowanych prac, wypowiadających się w imieniu swego pokolenia – a może i nas wszystkich – towarzyszy niepokój, który w sprzyjających warunkach może stać się główną emocją w naszych ciałach. Pierwiastkiem optymistycznym jest tkwiący w tym uczuciu potencjał zmian. **Do 16 października**

◆ Także w Zachęcie wystawa indywidualna Susan Mogul, amerykańskiej artystki zajmującej się głównie sztuką wideo. Zobaczmy realizację wideo z lat 70., fotografie, prace na papierze, których wiodącymi tematami są społeczne przemiany obyczajowe, pozycja społeczna kobiet, wątki autobiograficzne w perspektywie feministycznej. **Do 30 października**

◆ Fundacja Hereditas prowadzi kolejną, już trzecią, odsłonę projektu Akademia Opiekunów Dziedzictwa, w ramach którego przeszkoleni wolontariusze inwentaryzują pod nadzorem historyków sztuki, konserwatorów zabytków i architektów detale architektoniczne kamienic, budynków użyteczności publicznej i poprzemysłowych z lat ok. 1850-1939 w Warszawie. Zdjęcia i opisy zinventaryzowanych detali trafiają do Lapidarium Detali Architektonicznych: lapidarium.fundacja-hereditas.pl. W tej internetowej bazie można obejrzeć detale z ponad 250 obiektów z terenu Warszawy. W bieżącym roku internetowe Lapidarium powiększy się o detale kolejnych stołecznych budynków. Projekt jest dofinansowany w ramach programu Narodowego Instytutu Dziedzictwa – Wspólnie dla dziedzictwa. STOLICA jest patronem medialnym przedsięwzięcia.



Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Fantazja – Bajka*, l. 1921-1922, olej na płótnie, Muzeum Narodowe w Warszawie

Fantastyczność bez ładu i składu

Na tej wystawie obecność jest obowiązkiem. Najnowsza wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie nie tylko przypomina wielowymiarowego twórcę, ale pozwala odkryć go na nowo. Witkacy (właśc. Stanisław Ignacy Witkiewicz) – filozof, pisarz, dramaturg, malarz, fotografik. Artysta wszechstronny, teoretyk sztuki, autor teorii Czystej Formy, wizjoner. Wspomagający się w swej twórczości narkotykami skandalista i prowokator. Choć zapisano o nim tysiące stron książek i artykułów, nie przestaje fascynować. Był świadkiem I wojny światowej i rewolucji październikowej. Wrażliwy, ze skłonnościami do depresji, podciął sobie żyły dzień po wkroczeniu do Polski Armii Radzieckiej, 18 września 1939 r.

W Muzeum Narodowym w Warszawie trwa właśnie wystawa *Witkacy. Sejmograf epoki przyspieszenia*. Można na niej obejrzeć blisko 500 prac – rysunków, pastelów i fotografii – które trudno zamknąć w jakichkolwiek ramach. Być może właśnie dlatego kuratorzy, Zofia Machnicka i Paweł Polit, wybrali inną, nietrądną, nieco przewrotną formę prezentacji dzieł – achronologiczną, skupiającą się na ikonicznych dla artysty wątkach i tematach, które ukazano w szerokich kontekstach: filozoficznych, socjologicznych, antropologicznych XX w. i współczesnych. Witkacy był świadkiem przyspieszonego rozwoju cywilizacji w pierwszych dekadach XX stulecia – przenikliwym obserwatorem, który niczym czuły „sejmograf”, jak w tytule wystawy, odbierał przejawy końca pewnego porządku, przyspieszenia cywilizacyjnego, ale i kryzysu w ówczesnym świecie. Jako remedium artysta proponował Czystą Formę, odejście od tradycyjnych, klasycznych wzorców, w których nie tyle tematyka i logiczna treść mają znaczenie, co forma – nierealna, uduchowiona, nieliniowa, poruszająca odbiorcę, „fantastyczność bez żadnego ładu i składu”. Jak pokazują twórcy wystawy, spojrzenie Witkacego na otaczającą rzeczywistość okazuje się niepokojąco aktualne także w naszych czasach. Na ekspozycji prezentowane są obiekty ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, licznych innych placówek muzealnych oraz ze zbiorów prywatnych. Wystawie towarzyszą wydarzenia poszerzające przekaz, jak debaty, wykłady, spacerki miejskie, czytania na wystawie, warsztaty malarskie, fotograficzne i filozoficzne, a także dwujęzyczna publikacja. Wystawę można oglądać **do 9 października**. ●

Muzeum Narodowe w Warszawie

Upiornie niepokojące

Obrazy olejne, pastele i gwasze, na których snują się wampiry, upiory, opętane kobiety i tajemnicze koty. Istoty rodem z podań wschodnich i północnych regionów Europy, powieści gotyckich, mitologii pogańskich, a nawet średniowiecznych rękopisów, płaszące po mokradłach, w leśnych gęstwinach, na spowitych mrokiem przedmieściach. Całość mocno oniryczna i metaforyczna, odsyłająca widzów do emocji najbardziej prymarnych – pożądania, miłości, lęku przed śmiercią. Ponad 130 prac Aleksandry Waliszewskiej zaprezentowano z dziełami innych artystów w tle, znanych z podręczników historii sztuki, zwłaszcza symbolizmu przełomu XIX i XX w. Zobaczmy m.in. prace Bolesława Biegasa, Mikołajusa Čiurlionisa, Mieczysława Jakimowicza, Konstantego Laszczki, Teofila Ociepki, Edwarda Okunia, Kristjana Rauda, Karela Šlengera, Witolda Wojtkiewicza i in. *Opowieści okrutne. Aleksandra Waliszewska i symbolizm Wschodu i Północy*, Muzeum Sztuki Nowoczesnej. **Do 2 października** ●

Retuszowane analogi

Autorka tysięcy fotograficznych portretów, która w 1968 r. uzyskała tytuł mistrza rzemiosła w dziedzinie fotografowania, prowadząca od lat 60. XX w. do dziś swój zakład fotograficzny przy ulicy Zwycięzców na Saskiej Kępie – pani Celina Osiecka – jest bohaterką wystawy w Muzeum Warszawskiej Pragi. Obejrzymy fotografie wykonane w zakładzie między 1962 a 2022 r. – portrety i zdjęcia okolicznościowe – z których wszystkie powstały w technice analogowej, z odręcznym retuszem ołówkowym, i stanowią tym samym obiekty unikatowe, jedyne w swoim rodzaju. To znakomita okazja do bliższego poznania tradycyjnego warsztatu fotografa, coraz częściej przegrywającego dziś z nowoczesną techniką cyfrową. *Celina Osiecka. Usługi fotograficzne*, Muzeum Warszawskiej Pragi. **Do 16 października** ●



Rodin niezrównany

Jego rzeźby zwiastowały nadejście modernizmu, formalnie i stylistycznie – reprezentowały impresjonizm, tematycznie – nawiązywały jeszcze do romantyzmu, jako że nie brakowało w nich odniesień do literatury i mitów. Trzy rzeźby Auguste'a Rodina ze zbiorów Staatliche Kunstsammlungen Dresden – *Ewa*, *Jean d'Aire* i *Mały tors męski* – można oglądać na wystawie *Istota impresjonizmu. Rzeźby Rodina w Łazienkach Królewskich*. Prezentowane prace to okazja do bliskiego kontaktu z niedopracowanymi – w sposób charakterystyczny dla francuskiego artysty – materiałami (technika *non finito*), do bezpośredniego poznania ważnych dla niego aspektów przedstawień, jak ruch i stany emocjonalne człowieka. **Do 15 listopada** ●



Materiały prasowe

◆ Wyniki badań związanych z funkcjonowaniem Centrów Sztuki Współczesnej Sorosa – sieci centrów sztuki działających w latach 90. XX w. w 20 stolicach Europy Wschodniej – na wystawie *Maszyna wpływu w CSW*. To okazja do poznania pomijanego okresu w historii sztuki – lat 90. – oraz jego wpływu odczuwalnego do dziś. Wystawa dotyczy mechanizmów propagandy i jest tej propagandy wyrazem, jak wszystkie wystawy sztuki współczesnej. Zobaczmy prace współczesnych artystów z regionów, w których funkcjonowały CSW Sorosa, a którzy reprezentowali swoje kraje na największych biennale na świecie. **Do 6 listopada**

◆ Teatr Wielki – Opera Narodowa zapowiada dwa niezwykle koncerty. Na *Głosy gór* (22 września) złożą się muzyka trzech wybitnych polskich kompozytorów: Karola Szymanowskiego, Henryka Mikołaja Góreckiego i Wojciecha Kilara, zestawiona w „górskie” widowisko muzyczne. Nazwiska: Sebastian Karpiel-Bułęcka, Janusz Olejniczak, Atom String Quartet czy Kwartet Orkiestry Kameralnej AUKSO wróżą niezwykle wydarzenie. Teatr prosi o pozostawienie ciupag w szatni. 7 października zaś odbędzie się koncert najwspanialszych partii na chór. Zabrzmiały operowe chóry takich kompozytorów, jak Bizet, Verdi, Puccini, Wagner, Penderecki, Szymanowski, Moniuszko.

◆ Ofiarom tzw. Wielkiej Akcji jest poświęcona nowa wystawa plenerowa Muzeum Getta Warszawskiego pt. *Spośród tysięcy*. W ciągu dwóch miesięcy Wielkiej Akcji, do 21 września 1942 r., wywieziono z Warszawy do obozu w Treblince i tam zamordowano ok. 270 tys. Żydów, głównie kobiet, dzieci i osób starszych. Na ten rok przypada 80. rocznica tych tragicznych wydarzeń. Wystawę można oglądać do 31 grudnia. Warto obejrzeć także plansze edukacyjne na dziedzińcu dawnego szpitala Bersohnów i Baumanów – przyszłej siedziby Muzeum Getta Warszawskiego.

8 września w salach muzealnych w Teatrze Wielkiego – Opery Narodowej otwarta zostanie wystawa pt. *Teatralna egiptomania*, poświęcona teatralnym fascynacjom kulturą starożytnego Egiptu, a przede wszystkim historią jego ostatniej królowej, Kleopatry, w której rolę wcielały się największe gwiazdy polskiej sceny: Helena Modrzejewska, Helena Sulima, Maria Majdrowska, Irena Eichlerówna, Nina Andrycz, Kalina Jędrusik oraz Aleksandra Ślaska czy Danuta Stenka w Teatrze Polskiego Radia. Motywy egipskie pojawiły się w teatrze polskim na przełomie XVIII i XIX w. m.in. dzięki operze *Flet czarnoksiężski* Mozarta z urzekającą dekoracją Antoniego Smuglewicza. Na wystawie znajdują się dokumenty, fotografie, projekty scenograficzne, kostiumy, rekwizyty i pamiątki z kolekcji muzealnych i teatralnych rekwizytorni. **Do 4 grudnia**

Od 11 do 16 września odbywać się będzie po raz pierwszy w Polsce XVI Międzynarodowy Kongres Numizmatyczny. Jednym z jego współorganizatorów, obok Uniwersytetu Warszawskiego, Narodowego Banku Polskiego, Zamku Królewskiego w Warszawie oraz Muzeów Narodowych w Warszawie i Krakowie, jest Polskie Towarzystwo Numizmatyczne. To największa impreza numizmatyczna, która odbywa się cyklicznie co sześć lat od ponad stulecia w różnych państwach na całym świecie. Dzień przed rozpoczęciem Kongresu, czyli 10 września, w siedzibie PTN (ul. Jezuicka 6/8) odbędzie się otwarcie wystawy *Odsiecz wiedeńska 1683 w numizmatyce*. Wystawa **do 10 grudnia**

Od początku września uczniowie szkół podstawowych i ponadpodstawowych mogą za 1 zł odwiedzić mazowieckie instytucje kultury pozostające pod zarządem Urzędu Marszałkowskiego Województwa Mazowieckiego. Lista instytucji, a także przygotowane przez muzea i teatry specjalne programy oraz szczegółowe informacje o akcji *Kultura za złotówkę* na mazovia.pl. ●

Muzyczne szaleństwa

Już po raz dwunasty odbędą się w Warszawie Szalone Dni Muzyki – w tym roku pod hasłem *Ballady i romanse*. Będą miały miejsce w ostatni weekend września (23-25) i w trakcie tych trzech dni w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej oraz Kościele Środowisk Twórczych wysłuchamy ponad 30 koncertów orkiestrowych i kameralnych. Szczególny nacisk w programie organizatorzy kładą w tym roku na twórczość Franciszka Schuberta – prekursora romantyzmu, którego jubileusz 225. urodzin przypada na ten rok. Symboliczny początek polskiemu romantyzmowi dały z kolei *Ballady i romanse* Adama Mickiewicza, wydane równo 200 lat temu. Wystąpią m.in. pianiści Jonas Vitaud i Tanguy de Williencourt, śpiewaczka Agata Zubeł, Kwartet Modigliani, Atom String Quartet, La Morra i Trio Nebelmeer, Sinfonia Varsovia, NFM Leopoldinum oraz Orkiestra Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Muzycy będą grać pod batutami takich dyrygentów, jak Patrick Fournillier, Marta Gardolińska, Ernst Kovacic i Dirk Vermeulen.

Ideą festiwalu Szalone Dni Muzyki jest przybliżanie odbiorcom muzyki klasycznej i przełamywanie barier w kontakcie z nią poprzez wyjątkową atmosferę spotkań, krótki czas trwania poszczególnych koncertów odbywających się o różnych porach dnia w kilku salach jednocześnie, a także poprzez niskie ceny biletów (20-30 zł). Koncertów podczas dotychczasowych edycji festiwalu wysłuchało ponad 350 tys. melomanów. Wszystkie poprzednie edycje odbywały się w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej, a głównym organizatorem była Sinfonia Varsovia. **Program na www.szalonednimuzyki.pl** ●

Co talerz mówi o nas?

Różnorodność tradycji i dań żydowskich nie przestaje fascynować przedstawicieli innych kręgów kulturowych. Dzięki migracjom Żydów potraw o dziwnych nazwach (holiszki, czulent, latkes), kolorach, często przeciwstawnych smakach (gorzki-słodki) możemy dziś spróbować chyba w każdym zakątku świata. Ale co tak naprawdę o nich wiemy? Na wystawie *Od kuchni. Żydowska kultura kulinarna* w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN zaprezentowano religijną podstawę spajającą żydowską kuchnię, zasady koszerności w przygotowywaniu potraw, a także... łamanie tradycji wielowiekowej kuchni we współczesnym świecie. Dajmy się porwać tej kulinarnej podróży w czasie i przestrzeni! **Do 12 grudnia** ●



Norblin w pałacu Pod Blachą

Marta Zdańkowska

Od 9 września do 11 grudnia 2022 r. w warszawskim pałacu Pod Blachą można oglądać wystawę *Jan Piotr Norblin. Sentymalny reporter*. To pierwszy monograficzny pokaz prac tego artysty organizowany przez Zamek Królewski w Warszawie. Jan Piotr Norblin, właśc. Jean-Pierre Norblin de la Gourdain (1745-1830) przybył do Polski w 1774 r. na zaproszenie rodziny Czartoryskich. Choć był Francuzem, to właśnie nad Wisłą w pełni rozwinął skrzydła swojego talentu. Jego prace są cennym źródłem wiedzy na temat wydarzeń politycznych i życia codziennego różnych warstw społecznych w Rzeczypospolitej drugiej połowy XVIII w. Artysta z upodobaniem przenosił na papier widoki zaludnionych placów, na których gromadziły się tłumy sprzedawców i kupujących, skupionych wokół zaprzężonych w konie wozów. Wśród żywiołu miejskiego potrafił dostrzec chłopca z koszem pełnym gęsi, przekupkę zaganiającą stadko rozpierzchającego się ptactwa czy charakterystyczną postać Żyda zachwalającego towary rozłożone na straganie.

Sceny rodzajowe były dla Norblina również okazją do przedstawienia lokalnej architektury – zarysowanej jedynie szkicowo bądź uwzględniającej detale, pozwalające na identyfikację konkretnych budynków. Doskonałym przykładem jest rysunek wykonany tuszem *Targ pod kościołem św. Anny w Warszawie* (1799), na którym Norblin przedstawił neoklasycystyczną fasadę przebudowaną 10 lat wcześniej według projektu Christiana Aignera.

W 1784 r. Norblin namalował *Odpust na Bielanych pod Warszawą w drugi dzień Zielonych Świątek*. Kompozycja do dziś oczarowuje



Jan Piotr Norblin, *Odpust na Bielanych pod Warszawą w drugi dzień Zielonych Świątek*, 1784 r., gwasz, akwarela, pędzel, papier, Zamek Królewski w Warszawie

wirtuozerią i lekkością kreski oraz pełnym wdzięku kolorytem. Gwasz pędzla Norblina jest jednym z najsłynniejszych dokumentów ikonograficznych ilustrujących bielański kiermasz, którego dzieje sięgają jeszcze czasów króla Władysława IV i początków tamtejszego kamedulskiego eremu. Jako artysta zatrudniony przez Czartoryskich Norblin stał się również doskonałym ilustratorem nieistniejących już dziś podwarszawskich Powązek. Gwasz *Zabawa w Powązkach* (1787) jest jednym z nielicznych źródeł ikonograficznych przedstawiających powązkowski domek Izabeli Czartoryskiej. Według relacji jednego z podróżników w urzędzonej ze smakiem i przepychem chatce księżnej znajdował się pokój „pokryty tapetą z papieru mâché, na której wyobrażone były zabawy wiejskie wykonane przez Norblina, bardzo zdolnego malarza, pozostającego w służbie księżnej”. Artysta pracował również dla Heleny Radziwiłłowej w Arkadii nieborowskiej. Do arkadyjskiej świątyni Diany namalował plafon *Jutrzenka*. Stworzył również serię widoków prezentujących ów piękny, sentymalny park. Wśród nich m.in.: sangwinowy rysunek *Łuk Grecki i Świątynia Diany w Arkadii nieborowskiej* (1783).

Jan Piotr Norblin nigdy nie związał się ściśle z dworem króla Stanisława Augusta. Monarcha cenił sobie jednak jego pełne wdzięku prace i kilka z nich nabył do swojej kolekcji. Owocem kontaktów Norblina z królem było m.in. kilkanaście kompozycji przedstawiających stanisławowską letnią rezydencję – Łazienki Królewskie. Wśród nich m.in. *Widok z tarasu Pałacu na Wyspie na Staw Południowy* (1788). Nieocenionym dokumentem ilustrującym ówczesne życie teatralne jest seria Norblinowskich rysunków *Przedstawienie baletowe „Kleopatra” w Łazienkach Królewskich w Warszawie* (1789-1791).

Na wystawę *Jan Piotr Norblin. Sentymalny reporter* składa się 125 dzieł sztuki ze zbiorów Zamku Królewskiego w Warszawie – oleje, gwasze, akwarele, rysunki kreślone tuszem i akwaforty. Znaczna część prezentowanej kolekcji to nabytki pozyskane drogą zakupu w latach 2018-2022 dzięki dofinansowaniu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Mecenasu Zamku – KGHM Polska Miedź SA. Dopełnieniem wspaniałego zbioru są dzieła przekazane w tym roku w darze przez Fundację Zbiorów im. Ciechanowieckich. Wśród prezentowanych eksponatów znajdują się m.in. prace dotąd nieznanne lub dotychczas uznawane za zaginione. ●

Barnaba, Bazyli i Gacek – prawdziwe i zmyślane koty książkowe



Paweł Dunin-Wąsowicz

Kocia antologia, kocia monografia, biografia warszawskiego kota – w ciągu ostatnich paru lat takie książki ukazywały się z nienacką – przyjrzyjmy się zatem przekrojowo, co literatura mówi o warszawskich kotach

Pierwszy warszawski przewodnik, poemat *Gościniec albo opisanie Warszawy* Adama Jarzębskiego z 1643 r., wymienia wśród cudów zebranych w pałacu Kazanowskiego rzekomego „kotka morskiego”, ale o zwyczajnych kotach milczy. W wielkich powieściach warszawskich Bolesława Prusa odnotujemy kocią obecność przede wszystkim w nazwiskach – August Katz z *Lalki* i Władysław Kotowski z *Emancypantek*, acz w tej drugiej pojawia się także wspomnienie Madzi Brzeskiej o kotach z dzieciństwa oraz kot, który zwędził kotlet ze stołu u Burakowskich. Tytułowa bohaterka opowiadania Zofii Nałkowskiej *Koteczka czyli Białe tulipany* z 1909 r. to wcale nie przedstawicielka gatunku *Felis catus*, ale młoda kobieta o białych łapkach, „zgrabna i giętka jak prawdziwe koteczki”, powstrzymująca się, by „nie skoczyć do malarza i nie ugryźć go ze złości w szyję, mocno, strasznie, do krwi, jak podobno czynią prawdziwe koteczki”.

Koty łowne i rasowe

Kot w literackich realiach dawnej Warszawy to zwierzę na pół domowe, a na pół wychodzące, traktowane utylitarnie. Żydowski noblista Isaac Bashevis Singer, syn rabina, w opowiadaniu *Głód* z tomu *Urząd mojego ojca* (tłum. Irena Wyrzykowska, wyd. polskie 1992)

wspominał dzieciństwo w czasie I wojny światowej – w domu przy ul. Krochmalnej 10, gdzie gryzonie wyjadały nędzne zapasy:

„Matka postarała się o kotkę, ale ta przyglądała się obojętnie ich wyczynom, a jej żółte oczy zdawały się mówić: «Niech sobie biegają. Kogo to obchodzi?». Najwyraźniej była myślami gdzieś daleko, stale drzemała, coś śniła.

Ojciec powiedział:

– Kto wie? Może ona jest czymś ponownym wcieleniem?

Ojciec zajmował się troskliwie kotką. A może wstąpiła w nią dusza jakiegoś świętego?

[...] Czyż mogła łapać myszy?”

Kot jako zwierzę „samoobsługowe” mogło być obecne w domach ortodoksyjnych Żydów, w odróżnieniu od psów, których „nieczystość” poważnie koliduje z rytuałnymi przepisami szabatowymi. Skądinąd w wydanej dwa lata temu w nakładzie ledwie 400 egz. monografii Anny Landau-Czajki *Koty w społeczeństwie II Rzeczypospolitej* sporo materiału pochodzi z poświęconych warszawskim kotom listów dzieci do redakcji „Małego Przeglądu” – założonego przez Janusza Korczaka

dotadku do polskojęzycznego dziennika żydowskiego. Sam Korczak kilkakrotnie opisywał dręczenie kotów w warszawskich realiach, zaś w jego *Kajtusiu Szarodzieju* dochodzi do wojny kotów z psami na Bielańskiej i Senatorskiej.

W *Rajskiej jabłoni* Poli Gojawiczyńskiej (1937) zauważymy stado łownych kotów na podwórku mokotowskiej kamienicy, w której mieszka Bronka. Pisarka Helena Boguszevska ukończyła studia przyrodnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale jeśli chodzi o zwierzęta, to dominują w jej prozie psy. Tylko w powieści *Ci ludzie* (1933) mieszkająca na Grochowie Gieńka marzy o wzięciu kota sąsiadki do łóżka, ale ta jej go nie daje, bo „kot się zwydrzy, przestanie łowić myszy, jak się przyzwyczai spać w łóżku”.

Największą kociarą wśród przedwojennych pisarek warszawskich jawi się Elżbieta Szemplińska. Już na trzeciej stronie jej debiutanckiej powieści *Narodziny człowieka* (1932), której akcja rozgrywa się podczas I wojny światowej, mała Klea z Polnej płacze i modli się po zobaczeniu wyrzuconych na śmietnik ślepych kociątek, marząc, by nie za bardzo bolało je umierać albo żeby dożyły wiosny, a ona będzie mogła czasem je pogłaskać. Klea i jej siostra Alda biorą pod opiekę kota Mruka opuszczonego przez sąsiadkę, która wyjechała z Warszawy, a ich serca rozdiera później powrót jego pani i odebranie im pieszczoła.

Właściwie aż do Szemplińskiej mamy w literaturze do czynienia tylko z kotami bezimiennymi! Jak pisze Landau-Czajka, uniwersalnym imieniem dla kota był Maciek – mówiło się wręcz o macusiach jak o azorkach w przypadku psów. Wynikało to poniekąd z charakteru ówczesnej kociej populacji, udomowionej polowicznie – prof. Landau-Czajka szacuje jej liczebność

w przedwojennej Warszawie na 100 tys. kotów wychodzących wobec najwyższej paru setek rasowych kotów domowych – perskich i syjamskich.

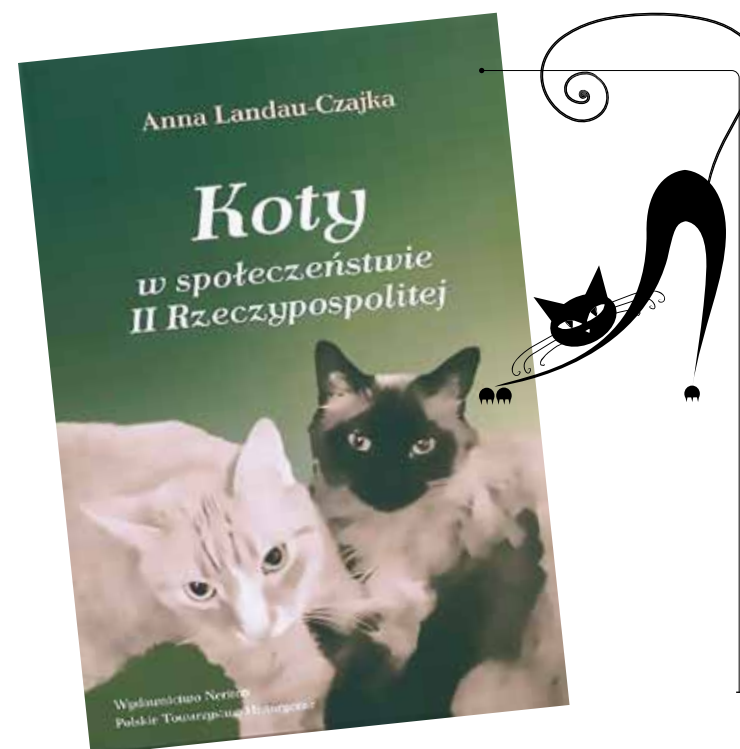
Takie rasowe obecne są w trylogii Elżbiety Szemplińskiej *Potrójny ślad*, *Kochankowie z Warszawy* i *Śmierć Bazylego* z lat 1938-1939 – i one właśnie mają imiona. Koty towarzyszą tytułowemu kochankom – tancerce i aktorce Darii oraz nieudacznemu studentowi i literatowi Ludwikowi. Akcja rozgrywa się na początku lat 30. Ruda Daria chadza po mieście z rudym persem Januarym na ramionach albo prowadzi go na smyczy. W Orłowie rozrabiającego w pensjonacie kota poją wódką, żeby usnął: „tak biedny January przespał w oparach alkoholu pierwszy poryw serca”. Zostawiony jest nawet jako zastaw w pensjonacie przez niewypłacalnych kochanków. Dla zaspokojenia jego kolejnego „porywu serca” Ludwik wycyganiam syjamską kotkę Ofelię, aby rychło sprzedać ją za 10 zł i odkupić (na prezent dla Darii) za 25 zł na Kercelaku. Podejrzeniu o zajście w ciążę przez Darię towarzyszy macierzyństwo Ofelii – z nierasowego miotu zatrzymują tylko czarnego Bazylego. Z trudem udaje im się – z trzema kotami – wynająć kolejne mieszkanie na Żoliborzu (wcześniej: Wronia i Złota). Kiedy zamieszkują na Grójeckiej, zrozpaczony Ludwik przemawia do Bazylego, że jest symbolem ich miłości: „nie pozwól, żeby ona odeszła”, jednak wychodzą na jaw ciemne interesy hazardowe literata. W noc rozstania Bazyli spada z szóstego piętra i się zabija, ześlizgnąwszy się z okna po nieopatrznie zamknięciu przez Ludwika drzwi na taras.

Koty wojny

Choć pisząc o użytkowym aspekcie nie tylko kotów żywych, lecz także martwych w II RP, Landau-Czajka reprodukuje w swej monografii głównie ogłoszenia skupu i sprzedaży kocich skórek, wydarzenia II wojny światowej miały przenieść tę wartość użytkową gdzie indziej. Bohaterowie powieści Bogdana Wojdowskiego *Chleb rzucony umarłym* (1971) próbują w obliczu głodu w warszawskim getcie polować na koty – wyposażeni w worek, drąg i łopatę. Bez powodzenia:

„– Dawno już uciekły – powiedział Ernest. – Zamur. Na aryjską stronę. [...] zwierzęta przenosiły się tam, gdzie śmietniki nie były przetrząsane przez oszalałych z głodu ludzi, którzy skryci za kubłami śmieci rzucali się z nienacką na psy, koty i dusili je gołymi rękami”.

Album *Miasto nieujarzmione* z 1957 r. (scenariusz i teksty Jerzy Piórkowski, wybór zdjęć Stefan Bałuk) w części poświęconej Powstaniu Warszawskiemu zawiera zdjęcie kociołka podpisane „do garnków szły ostatnie koty”. Narrator powieści Jerzego Stefana Stawińskiego *Młodego warszawiaka zapiski z urodzin* (1977) – tak samo jak jej autor oficer łączności pułku AK „Baszta” →



na Mokotowie – zauważa pod koniec września 1944 r., że psa ani kota nie widział od dawna. Agnieszka Cudała w książce o życiu codziennym powstańczej Warszawy (*Sten pod pachą, bimber w szklance, dziewczyna i...* 2015) przytacza jednak tylko jeden przypadek: „pamiętam wspaniały smak potrawy z kota z kaszą pluj” – wspominał powstaniec Andrzej Ligęza „Cowboy”. Koty najwyraźniej trudniej było złapać niż psy. Także w relacjach z 1945 r. pojawiają się zapisy o licznych zdziczałych kotach buszujących w ruinach.

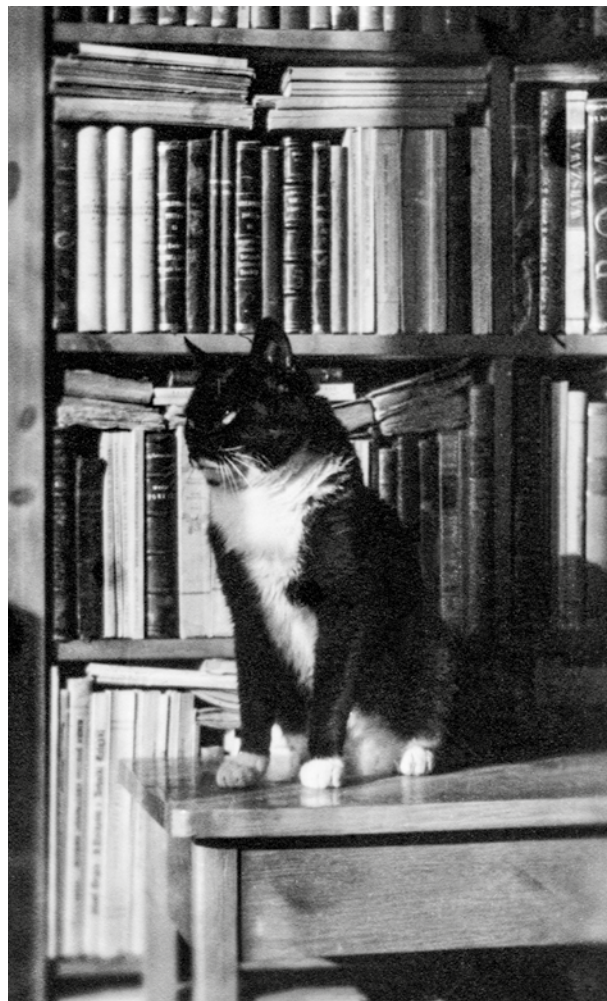
W 1947 r. Jerzy Seweryn (właśc. Stanisław Maria Saliński) opublikował powieść *Za jeden twój uśmiech Joanno*. Zdziczały kot żerujący na gruzach willi przy Szustra okazuje się dawnym Barnabą przedwojennych lokatorów tego domu. Łasi się do rozdzielonych wojną i powojennymi romansami Ireny i Witolda, doprowadzając do ponownego zejścia się małżonków. Z kolei zabiedzony szczurołap Pimpus z poogryzаныmi uszami, znaleziony w ruinach u podnóża Starego Miasta, gdzie w ocallej piwnicy zwanej Hadesem mieszka 12 chłopców, jest ważnym bohaterem rozgrywanej się w 1945 r. akcji powieści Haliny Rudnickiej *Chłopcy ze Starówki* (1960). Wskazuje drogę Hance i Skierce, uwięzionym w bandyczej melinie na Podwalu.

Słynne koty pisarzy

W wydanej w USA książce *Ziele na kraterze* (1950) Melchior Wańkowicz wspominał swój przedwojenny żoliborski Domeczek przy ulicy Dziennikarskiej. W jednym koszyku ze szczeniakiem terierem Gawłem wychowała się tam syjamska kotka Malwinka – koloru „café au lait z czarnymi pończoszkami, ogonkiem (przełamany rasowo), uszkami i połową mordki”. Kiedy przysłała na nią pora, sprowadzono do niej rasowego kocura – „porodziły się kocięta, a Gawel jak zwykle przyprowadził jakiegoś kolegę z ulicy – rozszonona Malwinka z wielkim prychnieniem wyrzuciła intruza. [...] podprowadziwszy Gawła do legowiska, wspięła się na łapki i wobec całego areopagu kobiet chlasnęła Gawła w pysk”. Natomiast do łóżka żony Melchiora, Zofii, Malwinka „przyniosła z dołu w pyszczku cztery kociaki – kociak po kociaku – i ulokowała w najlepszym miejscu, jakie mogła znaleźć w Domeczku. Była to wizyta matki u matki”.

Gawel swatany był zaś bez rezultatu z terierką mieszkających po sąsiedzku Broniewskich, co opisywał zarówno Wańkowicz, jak pierwsza żona poety Władysława – Janina. Ale Broniewscy mieli wcześniej kotkę, kiedy mieszkali na Mokotowie w nadbudówce nad stacją w podwórku przy ul. Sandomierskiej 17, co zostało opisane przez Janinę Broniewską w książce *Dziesięć serc czerwonych* (1964).

Czarna znajda, nieznaną z imienia, była kotką wychodzącą – kiedy małżonkowie wyjechali na wakacje, zostawili uchylony lufcik. Po powrocie znaleźli



Maurycy von Murr, zdjęcie ze zbiorów rodziny Gomulickich, publikujemy dzięki uprzejmości Maurycego Gomulickiego

pod łóżkiem cztery kocięta. Odwiedzającego ją kociego oprycha z naderwanym uchem kotka biją łapą po pysku. „Aleś dostał! Nie widzisz, ile to nas! Na kogo się narywasz, ciapciaku jeden! Kotka jest mokotowska, to jak się ma wyrażać? Rzecz jasna, że po mokotowsku! (Na Woli i Powiślu mówią obficie i raczej bardziej do rodziny nawiązują...)”. Po urodzeniu przez Janinę w 1929 r. córki Anielka, dochodząca posługaczka z sąsiedztwa, przekazała kotkę swej ciotce na Pelcowiznę, bo zwierzę mogłoby zadusić niemowlę.

Bibliofil i literaturoznawca Juliusz Wiktor Gomulicki w datowanym na 1978 r. szkicu *Mój przyjaciel von Murr* z tomu *Zygzakiem* pisze: „parokrotnie wspominałem w takich bibliofilskich rozmowach mego niezjącego już przyjaciela i protegowanego von Murra, przy czym paru rozmówców kiwnęło głową, jakby to nazwisko było im znane...”. Następnie przytacza życiorys stworzenia, jakby wyjęty z *Polskiego słownika biograficznego*: „Murr Maurycy, baron von (zm. 1958), bibliolog i bibliofil, pamiętnikarz, rękopiśmiennik, szpargalista. Ur. i zm. w Warszawie. Syn Ign. von M. oraz Wiborady Funiewicz, wywodził się z rodziny niemieckiej, nobilitowanej w Polsce w r. 1775 (herbu Przyjacieli). Wcześniej

osierocony, odebrał początkowe wychowanie w księgarskiej rodzinie Piotra i Mieczysławy z Pstrągowskich Hniedziewiczów, pod których wpływem stał się zapalonym miłośnikiem książek. Oddany przez nich pod opiekę Juliuszowi i Marii z Roszkowskich Gomulickim, pogłębił w ich domu wiedzę bibliologiczną i literacką, [...] Domator, całe dni spędzał wśród książek i papierów, pomagając gospodarzowi w jego studiach nad literaturą polskiego Oświecenia oraz w pracy nad edycją pism C. Norwida [...]”.

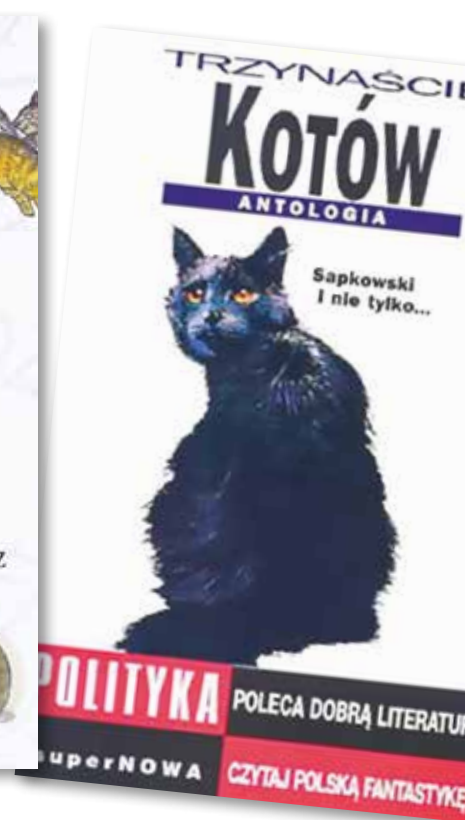
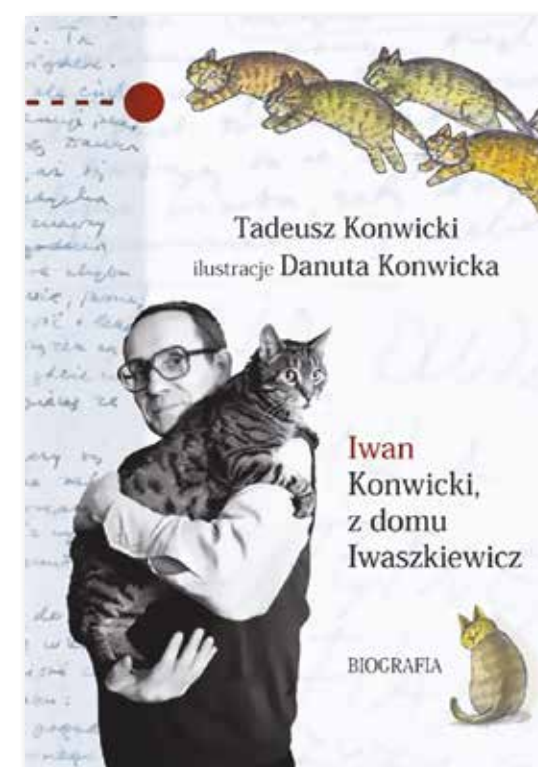
Gomulicki tłumaczy dalej, że von Murr (imię z pism E.T.A Hoffmanna w polskich tłumaczeniach występuje jako Mruczysław) narodził się w 1948 r. w jednej z najbardziej zaszczurzonych piwnic przy Marszałkowskiej jako jedno z sześciorga dzieci Funi, kotki antykwaryusza Hniedziewiczów i nieznanego kocura (*Ign.* – skrót od *ignotus* – łac. *nieznany*). Mieszkali najpierw na rogu Niepodległości i Narbutta, potem na Szustra (ob. Dąbrowskiego). Obecność przyjaciela przyprawiała pisarza o alergiczną astmę, która minęła po zaginięciu kota – Jan Sztudynger napisał fraszkę *O szlachetny Maurycy!*: „Ile Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie / Kto cię utracił, a odzyskał zdrowie”. Wnuk Juliusza Wiktora, znany choćby z żoliborskich nadwiślańskich instalacji artysta Maurycy Gomulicki, otrzymał imię właśnie po kocie.

Najsłynniejszym kotem literackim Warszawy okazał się jednak ten, którego Tadeusz Konwicki dostał od córki Jarosława Iwaszkiewicza Marii i z którym na ul. Górskiego 1 przemieszkał 19 lat. Futrzak najpierw został bohaterem napisanej przez Konwickiego książeczki dla

dzieci *Dlaczego kot jest kotem* (1976), ilustrowanej przez żonę autora Danutę, potem pisarz wspominał Iwana wielokrotnie w pięciu kolejnych książkach dla dorosłych: *Kompleks polski, Kalendarz i klepsydra, Wschody i zachody księżycy, Nowy Świat i okolice, Pamflet na siebie*, wykazując gnuśność i głupotę kota, ale i wielkie własne przywiązanie do tego domowego potwora. Fragmenty prozy o zwierzęciu zostały skompilowane w jeden tekst tworzący wydaną trzy lata temu biografię pt. *Iwan Konwicki, z domu Iwaszkiewicz*.

Koty zmyślone

Książki o warszawskich kotach adresowane do młodocianego czytelnika wydawali oprócz Konwickiego także inni pisarze znani z „dorosłej” twórczości. Autorka kryminałów Barbara Nawrocka-Dońska opublikowała *Historię życia czarnego kota* (1974) – narratorem jest kocia z wioski na Helu, którego turyści wykupili od tubylca, przebijając kwotę, jaką tamten dostałby za jego skórę (50 zł), i wywieźli autem do Warszawy. Stworzenie nie może wychodzić z zamkniętego mieszkania, ale na balkonie upolowało gołębia, opowiada o licznych imionach, którymi jest nazywane – samo wolałoby jakieś kocie, ale z ludzkich najchętniej byłoby Aleksandrem. Podobnie jest z bohaterem książeczki Marka Nowakowskiego *Opowieść o kocie Gacku* (1982), najmniejszym z miotu Siwej z hangarów żeglarskich nad Wisłą, przegarniętym przez narratorkę i także przez balkon próbującym polowania na gołębie (dozorca, pan Kuna, ocenia że Gacek ma ładne futro i nadawałby się na kołnierza,



sprowadza też łapaczkę kotów, Chadzajkę, wabiącą je walerianką do furgonetki i z zarobków za kocie skórki budującą sobie dom). Po wykastrowaniu Gacka narrator snuje rozważania o niedostępnej już dla kota krainie wolności.

Już w III RP wydawcy dwukrotnie namówili pisarzy do napisania opowiadań do specjalnych kocich antologii. W 1997 r. SuperNowa wypuściła *Trzynaście kotów* – wątki warszawskie były w dwóch. Pierwsze to *Kotek Marcina Wolskiego*, gdzie narrator kupuje na Stadionie X-lecia modny worek, do którego azjatycki sprzedawca wkłada wbrew jego woli kociaka. Zwierzątko rozrasta się do rozmiarów cielaka i terroryzuje swego pana, zabija też jego kumpla. Drugim opowiadaniem jest *Rydwán bogini Freyi* – Konrada Lewandowskiego – tu narrator filozof po wysłuchaniu w knajpie na Woli kilku przerażających historii z kotami w tle wyrusza do kapłanki kociary urzędującej we Włochach i tam dowiadyuje się, że koty potrafią się poruszać między alternatywnymi rzeczywistościami.

W wydanej w 2018 r. przez Wydawnictwo Czarne antologii *O kotach* znalazła się napisana w konwencji fantastycznej opowieść Stefana Chwina *Fiona. Kot, który myślał*. W Warszawie, gdzie ludzie wymarli, rośnie w siłę koci rasizm. Kot Bidoń, wobec nadciągających mas kotów azjatyckich, ze swojego sztabu przy Nowogrodzkiej przekonuje, że tylko mazowieckie burasy przegowane są prawdziwymi kotami. Fiona ukrywa rannego kota Abdullacha znalezione na podwórku kamienicy Alkowa na Powiślu. Motywy warszawskie znajdziemy też w opowiadaniu Piotra Pazińskiego *Kociczka, alef i biały kot (bajka domowa)*, gdzie kotka wypowiadająca pierwsze imię hebrajskiego alfabetu przenosi narratora z Warszawy do Jerozolimy, oraz w *Rysiu* Pawła Sołtysa, którego narrator, Wojtek, wspomina okazjonalne pomieszkiwanie w dzieciństwie u dziadków na Bielanach.

Warszawskie koty w piosence

Tenże Paweł Sołtys jako Pablopavo był wcześniej autorem wykonywanej przez siebie piosenki *Koty*, której podmiot liryczny, widząc wiosną wychodzące z piwnic koty, zachęca partnerkę do wycieczki na Okęcie, do Powsina czy też na Moczydło. Z kolei poznaniak Grabaż z zespołem Strachy Na Lachy na początku drugiej dekady obecnego wieku nagrał piosenkę *Mokotów* ze słowami:

„[...] kot prychnął na pannę – kotu słońce zaémiała.
Kot to znany oszust, choć udaje przyjaźń [...] Upłynął kotom termin – wróciły na Mokotów
Tam, gdzie magazyn kotów”.

Wiele żyć kota

W powieści Jerzego Sosnowskiego *Prąd zatokowy* (2003) starą lekarzkę psychiatrę Stefanię odwiedza w mieszkaniu przy Marszałkowskiej pacjent Krzysztof. Jej kot



„nazywał się Wroński – jak Aleksy Kiryłowicz – na co istniały przynajmniej trzy uzasadnienia, które Stefania przedstawiała w zależności od osoby rozmówcy: „[...] Rówieśnicy z Szarych Szeregów, jak ona dobrze pamiętający bezczynność Armii Czerwonej stacjonującej na praskim brzegu Wisły, dowiadawali się, że koty w ogóle powinny nosić rosyjskie imiona, zważywszy na tę samą słodycz w obejściu i zarazem przewrotny charakter”. Natomiast w *Małej futrzastej śmierci* ze zbioru *Linia nocna* (2002) Sosnowski, nawiązując do przesądu o wielu życiach kota, opowiada o nawiedzającym go kilkakrotnie czarnym egzemplarzu z rudym uchem, którego kolejnych śmierci narrator staje się świadkiem.

Niejasny jest też status ontologiczny tytułowej bohaterki powieści Joanny Rudniańskiej *Kotka Brygidy* (2007). Bezimienna kotka zostaje powierzona małej Helenie z Pragi przez przesiedloną do getta siostrę żydowskiego współnika jej ojca – Brygidę. Dziewczynka rozmawia z kotką, która decyduje się udać do swej pani. Po kilkadziesiąt lat emigrująca do Izraela Brygida, nie poznając Heleny, oddaje jej... tę samą kotkę (która przecież nie mogłaby przeżyć 70 lat!). Gdy schorowana Polka umiera, kotka Brygidy przybiera jej imię i staje się Heleną. W powieści Macieja Sieńczyka *Wśród przyjaciół* (2018) narrator uwalnia kota uwięzionego w mieszkaniu innej niedawno zmarłej staruszki sąsiadki z praskiej kamienicy.

Do książek o wysokim nasyceniu kotami należy z pewnością powieść *Dziewięć* Andrzeja Stasiuka z 1999 r. Z kotem Pankracym w koszyku wyrusza na poszukiwania swego szefa Pawła, który ukrywa się przed windykatorami gangsterami, ekspedientka



z jego sklepu Zosia. Ginie w wypadku, potrącona przed kościołem na Żeraniu: „[...] plastikowy koszyk toczył się jeszcze chwilę po asfalcie, aż przeskoczył krawężnik i wtedy z jego wnętrza wydobył się przegowany kot. Próbował iść, ale jego tylne łapy były bezwładne”. Wcześniej Sy, dziewczyna gangstera Bolka, obserwuje innego kota katowanego przez łobuzów, rozpinających go na podwórkowym trzepaku na Starej Pradze.

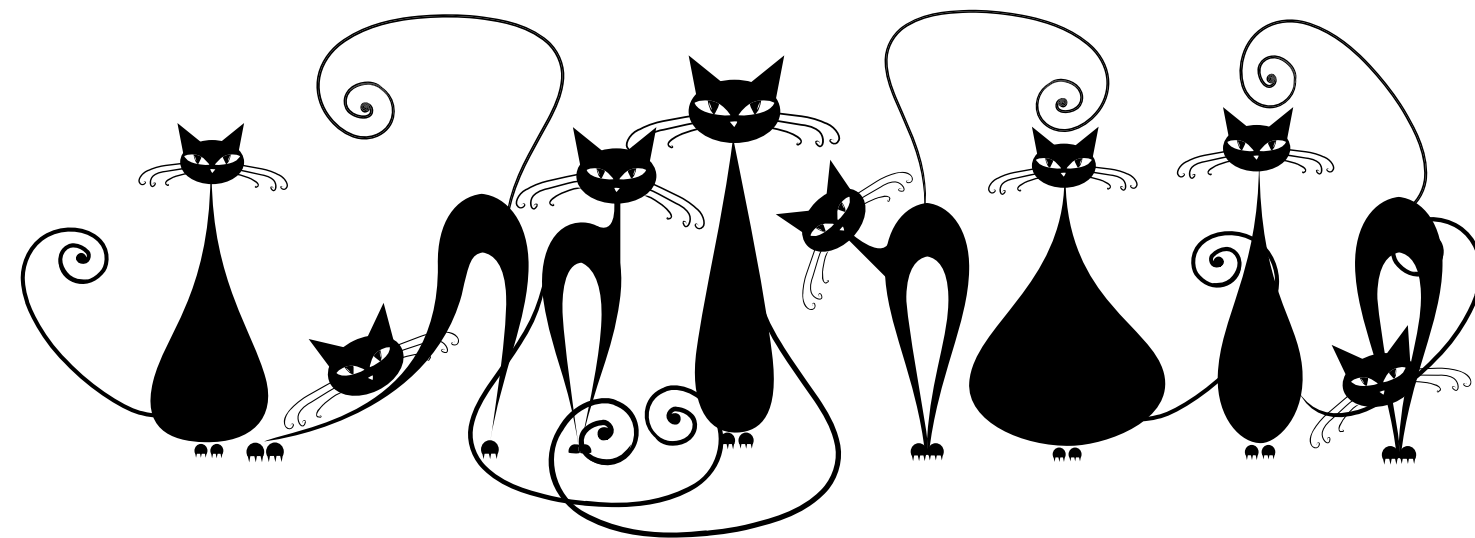
Wątek znęcania się nad kotami zarysowany jest bardzo wyraźnie w kryminale Anny Fryczkowskiej *Starsza pani wnika* (2012), którego akcja rozgrywa się na podwórku przy Słowackiego na Żoliborzu. Morderca kotów nieszczęsne zwierzęta, dla których emerytki wybudowały domek, podpala, krzyżuje i klei ze sobą w żywy łańcuch. Zostaje jednak w końcu pojmany przez zdesperowane staruszki, uwięziony, ośmieszony i zmuszony do wyprowadzki.

Synteza kocia

O ile przytaczane przykłady literackie mają swoje pojedyncze, indywidualne kocie wymiary, zaistniała także książka będąca literacką syntezą sytuacji

warszawskich kotów po transformacji ustrojowej, czasów zamykania osiedli, piwnic i presji przeprowadzania sterylizacji (dziś w Warszawie żyje na wolności ponoć tylko ok. 30 tys. kotów). Na trzy lata przed swą śmiercią wspomniany już przy okazji kota Gacka Marek Nowakowski wydał niedługi *Domek trzech kotów* (2011), gdzie – choć nazwy ulic nie są wymieniane – rozpoznać można dom pisarza: „nasze podwórko przylega do przedszkola, a za przedszkolem są podwórza i ogródki należące do kamienic przy ulicy biegnącej ukośnie do naszej. [...] Tam grasował Czarny Ogon, rzekomy ojciec dwójki kociąt” [Śniadeckich i Lwowska – przyp. PDW]. Sąsiadów integruje opieka nad dziko żyjącą Białą i jej dwojgiem małych – Murzynkiem i Kropką, dla których wystawiają tytułowy domek: „Odpowiadało to naszym wyobrażeniom o kociej przykładowej rodzinie. [...] Pragnęliśmy jakiejś, choćby minimalnej harmonii w tym zdeorganizowanym świecie, gdzie tyle się psuje i rozłazi”. Są jednak także przeciwnicy kotów, uważający, że futrzaki te cuchną i psują im estetykę – jak nowa spadkowa lokatorka bizneswoman. Po stronie dzikości kotów stają równo mecenas, kierowca i pijaczek. Nie wiadomo, czy Murzynek padł, dlatego że został otruty. Biała znika. Gdy działaczka fundacji napiera na sterylizację Kropki, mała po zabiegu słabnie i nie nadaje się już do życia na wolności; musi zostać przygarnięta przez panią Irenę, hodującą już udomowioną Misię: „Opowiadała kierowniczką sklepu spożywczego, że u niej w blokach po drugiej stronie rzeki kotów już nie ma”. I pani Irena, gładząc dwa udomowione, marzy o nowej dyskretniej opiece nad kolejnymi żyjącymi dziko kotami. 🐾

Paweł Dunin-Wąsowicz – warszawiak, dziennikarz, publicysta, krytyk literacki, varsavianista, autor kilkunastu książek, w tym literackich przewodników po dzielnicach Warszawy



Zagadka baronówny Kronenberg

Rafał Skąpski

To nie będzie moja kolejna recenzja, ponieważ książka, która wywołała ten felieton, ukazała się kilka lat temu (Michał Wójcik *Baronówna. Na tropie Wandy Kronenberg – najgroźniejszej polskiej agentki*, Znak, Kraków 2018). To będą rozważania związane z bohaterką tej książki – Wandą Kronenberg, ale też i całą jej rodziną, spowodowane moim zainteresowaniem tym rodem. To warszawska, wielopokoleniowa rodzina przemysłowców i bankierów – bez wątpienia – wielce zasłużonych dla Warszawy i Polski

Pierwszą znaczącą postacią tego rodu był pochodzący z Wyszogrodu Samuel Kronenberg (1773-1826), który rozpoczął w Warszawie działalność bankową. Rodzina, jak można się domyślić, miała korzenie żydowskie, ale syn Samuela, Leopold Stanisław (1812-1878), zmienił wiarę, przystępując do kościoła ewangelickiego. Leopold Stanisław to niewątpliwie najciekawszy reprezentant rodu. Nic dziwnego, że historyk i znany biograf Andrzej Żor jemu właśnie poświęcił monografię *Leopold Kronenberg – dzieje fortuny* (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2011). To postać niezwykła. Obszar zainteresowań, podjęte i zrealizowane inicjatywy, przedsięwzięcia – mogłyby być dziełem kilku osób. Działalność społeczna i polityczna Kronenberga – mimo podzielenia części poglądów zwolennika współpracy z rosyjskim zaborcą Aleksandra Wielopolskiego – świadczy o jego głębokiej asymilacji z Polską i jej sprawami, o rozumieniu potrzeby jej rozwoju gospodarczego.

W 1871 r. Leopold Kronenberg założył wspólnie z Jakubem

Natansonem i Gustawem Findeisenem przedsiębiorstwo akcyjne w celu wydobywania węgla, przekształcone trzy lata później w Warszawskie Towarzystwo Kopalń Węgla i Hut Żelaza. Jakub Natanson to stryjeczny dziadek Wojciecha Natansona, uczestnika Powstania Warszawskiego, znanego literata, tłumacza i członka władz PEN Clubu, zaś Gustaw Findeisen to dziadek prof. Władysława Findeisena, rektora Politechniki Warszawskiej w latach 1981-1985, przewodniczącego Prymasowskiej Rady Społecznej (1986-1990), w 1989 r. współprzewodniczącego obrad Okrągłego Stołu.

Mnie szczególnie interesuje historia Warszawskiego Towarzystwa Kopalń oraz osoby dwóch Kronenbergów: najmłodszego syna Leopolda – Leopolda Juliana (1849-1937) – i wnuka Leopolda Jana (1891-1971). To oni zajmowali się interesami rozpoczętymi przez ojca i dziadka. Zainteresowanie wynika stąd, iż Ojciec mojej Mamy, Witold Sągajłło, związany był z tymi właśnie Kronenbergami. W 1912 r. został dyrektorem kopalni, niedługo potem dyrektorem generalnym całego Warszawskiego Towarzystwa, a od

Leopold Stanisław Kronenberg (1812-1878), fot. Karol Beyer, 1861 r.



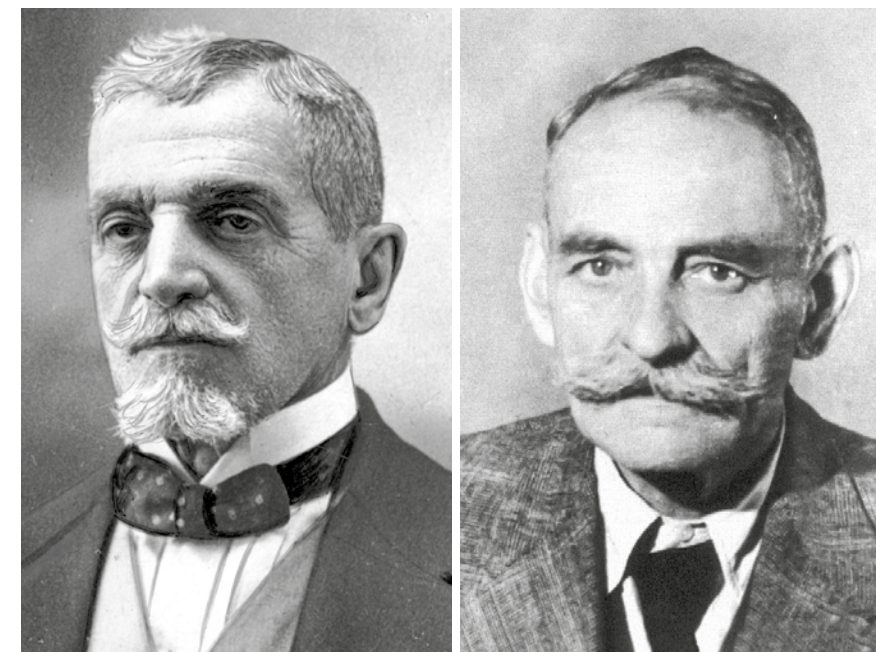
1937 r. członkiem Rady Nadzorczej. To Leopold Julian podjął decyzję o zatrudnieniu mego dziadka, a z Leopoldem Janem współpracował dziadek w ostatnich latach przed wojną. Dla obu tych Kronenbergów zarówno przemysł, jak i bankowość to dziedziny dalekie od ich zainteresowań. Leopold Julian był nie do końca spełnionym muzykiem, znany bardziej jako współfundator Filharmonii Warszawskiej, a także przez pewien czas prezes spółki zarządzającej tą instytucją – niż jako kompozytor i dyrygent amator. Jego małżeństwo można także podciągnąć do kręgu zainteresowań muzyką. Jego żona Józefina Reszke, utalentowana śpiewaczka, ceniona na estradach europejskich, pochodziła z bardzo muzykalnej rodziny. Jej bracia Jan i Edward także byli śpiewakami operowymi o sławie światowej.

Leopold Jan był natomiast wykształconym i zamiłowanym agronomem. Interesami rodzinnymi założonymi przez ich przodka Leopolda zajmowali się więc niejako z konieczności, a może nawet z przymusu.

W ten sposób docieramy do tytułowej bohaterki felietonu. Jest ona córką Leopolda Jana z małżeństwa z poznaną w czasie I wojny w Petersburgu wdową Wandą de Mantalto-Rowton, Włoszką, posiadającą z racji pierwszego małżeństwa obywatelstwo angielskie. Z małżeństwa tego do związku z Kronenbergiem wniosła dwóch synów: Mikołaja i Aleksandra. Ich wspólne dzieci to Wanda urodzona w 1922 r. i Leopold Wojciech urodzony w 1925 r. Pasierbowie Kronenberga uczyli się w warszawskich szkołach, obywatelstwa polskiego jednak nie przyjęli. Ich dalsze losy nie są mi w zasadzie znane. Pewne bardzo osobiste światło na postać jednego z nich rzuca znaleziona w rękopisach mojej Mamy notatka:

„Aleksander Rowton był pasierbem Leopolda Jana Kronenberga, który skierował go na praktykę do «naszych» kopalń. Ojcem jego był Anglik trudniący się w Ameryce Północnej zawodowo lub amatorsko traperstwem. Aleksander miał około 22 lat, skończył Akademię Handlową w Antwerpii, mówił po polsku bezbłędnie, z postawy i rysów trochę kanciastych był typowym Anglikiem. Ujmował ludzi połączeniem naturalności i prostoty młodzieńczej z dojrzałością intelektualną. Mieszkał w pobliskim «Klubie», odwiedzał nas i potrafił nawiązać kontakt ze starszymi osobami. Mamusia ceniła go szczególnie za liczne zainteresowania i kulturę osobistą. To on przyniósł Mamusi do przeczytania dwa pierwsze

Wikipedia: NAC



Leopold Julian Kronenberg (1849-1937)

Leopold Jan Kronenberg (1891-1971)

tomy *A la recherche du temps perdu* Prousta. Utkwiła mi jego uwaga, że byłoby optymalnym połączenie treści pisarstwa Dostojewskiego z formą Prousta. Podczas którychś wakacji, będąc na wsi w majątku ojczyma, zmarł na tyfus brzuszny. Ta krótkka, bez osobistych akcentów, towarzyska znajomość wywarła zapewne znaczny wpływ na mój stosunek do ludzi. Nieakceptowanie osób pozbawionych dostatecznej kultury umysłowej i osobistej oraz wdzięku intelektualnego. Duże wymaganie i poczucie obcości wobec innego rodzaju ludzi. Nie wiem teraz, czy wpływ osobowości A.R. mogę nazwać zauroczeniem, a jeśli było nim choć trochę, czy powstało za Jego życia, czy po śmierci. Po prostu zatarło mi się to w pamięci”.

Wróćmy do Wandy. Niewątpliwie w czasie okupacji była agentką kilku wywiadów, trzech co najmniej: Intelligence Service, Armii Krajowej i Gestapo. Są na to dowody i autor książki *Baronówna...* je przedstawia. Nie znamy jednak odpowiedzi na pytanie, który z tych wywiadów był tym podstawowym, dla którego rzeczywiście pracowała – pozostałym przekazując fałszywe informacje. Nie są też do końca jasne motywy, dla których w ogóle podjęła taką działalność. Czy była to ochrona samej siebie, w końcu wedle praw hitlerowskich Żydówki, czy może też swego ojca, którego represje najeźdźców w zasadzie nie dosięgnęły. Pamiętajmy, że jej brat rodzony był żołnierzem AK, może i jego w jakiś sposób też chciała chronić? A może, z każdym dniem tak złożonej działalności wywiadowczej, znalazła się w pułapce, z której wyjście i tory postępowania narzuca seria przypadków? Może też działalność ta była →

rodzajem narkotyku czy hazardu, który wyłącza rozsądek. A może Wanda była od któregoś momentu ofiarą tych wszystkich wywiadów i uwikłań? Mimo dziennikarskiego śledztwa, jakie przedstawia w swej książce Michał Wójcik, autor o ustalonej przeciwnej pozycji, pytania i wątpliwości pozostają. Chcę wierzyć, że jest w historii Wandy Kronenberg jakiś pozytywny motyw jej działania, wciąż nieodgadnięty, nieodkryty, tak jak w wielu okupacyjnych postaciach i zachowaniach osób, które po czasie, w przededniu stalinowskiej nocy, nie mogły, nie potrafiły lub nie chciały udowodnić swych czystych intencji działań.

Pospieszne, powierzchowne dochodzenia i podjęte na ich podstawie wyroki na zawsze zostawiły plamę na ich biografiach. Czy przywoływać nazwiska? Dlatego czytając z zaciekawieniem książkę Wójcika, nie mogę zaakceptować jej przesłania – zgodnego z wyrokiem podziemia – że z całą pewnością na wyrok śmierci (wykonany) zasługiwała. Zagadka moim zdaniem trwa. Wciąż.

Ród Kronenbergów zasługuje na monograficzne upamiętnienie. Biografia Leopolda Kronenberga pióra Andrzeja Żora powinna być dobrym jej początkiem. Warto dogłębnie przeanalizować wszystkie wątki i koligacje rodzinne, towarzyskie i biznesowe Kronenbergów. To może wyjaśnić wiele zawiłości historii gospodarczej



Pałac Kronenberga przy placu Małachowskiego, ok. 1871 r.

Polski XIX i XX w. W rezultacie analizowania drzewa genealogicznego Kronenbergów zrozumiałem, jak we władzach Warszawskiego Towarzystwa znalazł się – bliski mojej rodzinie – Edward Rose, brat Adama, wiceministra przemysłu i handlu w ostatnich latach II RP. Sądziłem dotąd, że dzięki protekcji tego właśnie brata. Okazuje się, że bracia Rose to wnukowie brata żony Leopolda Kronenberga. Na marginesie dodam, iż wnuczką Edwarda Rose była znana dziennikarka i senator Krystyna Bochenek. Inna ciekawostka z tej rodziny: córka Adama Rose, Maria z męża Skuncke, odwiedziła Polskę powojenną służbowo we wrześniu 1967 r., jako tłumaczka generała Charles'a de Gaulle'a. Żona Edwarda Rose (Izabela z Karpińskich) to siostra żony malarza i pisarza Jerzego Hulewicza (brata Witolda – pisarza i radiowca). Jej ciotką była zaś babka Stanisława Dygata. Jedną jeszcze informacją ukazującą środowisko wokół Kronenbergów – w ostatnich przedwojennych latach członkiem zarządu Warszawskiego Towarzystwa był Jerzy Łempicki, jego brat Tadeusz to mąż słynnej obecnej na całym świecie malarki Tamary Łempickiej. W dodatku ci bracia Łempiccy byli wnukami bratanicy Cypriana Kamila Norwida. A to zapewne tylko część nader ciekawych koligacji Kronenbergów.

Mam nadzieję, że Fundacja im. Leopolda Kronenberga znajdzie środki i pomysł, jak upamiętnić ten zasłużonyród – ku satysfakcji czytelników także. 🍷

Mam nadzieję, że Fundacja im. Leopolda Kronenberga znajdzie środki i pomysł, jak upamiętnić ten zasłużonyród – ku satysfakcji czytelników także. 🍷

Domena publiczna

Jak Henryk Sienkiewicz wódę lał

Włodzimierz Winek

Na wstępie zaznaczyć trzeba, że nie jest to tekst krytyczny, podważający wiarygodność treści zawartych w dziełach naszego noblisty Henryka Sienkiewicza. To raczej opowieść o pewnym interesie jego życia

W 1900 r. z okazji 25-lecia działalności literackiej Henryk Sienkiewicz otrzymał od narodu polskiego majątek ziemski w Oblęgorku, oddalonym od Kielc o ok. 20 km. W majątku, prócz 270 ha ziemi i pałacyku do remontu, znajdowało się źródło bardzo smacznej wody mineralnej.

Pewnego dnia 1902 r., bawiąc w posiadłości z gospodarską i doradczą wizytą, niejaki inż. Stefan Włodarkiewicz z Warszawy zwrócił uwagę zacnemu gospodarzowi na możliwości wykorzystania źródlanej wody nie tylko do potrzeb gospodarczych i orzeźwienia spragnionych, lecz także do celów leczniczych. Potwierdzeniem tych ostatnich były ustne przekazy okolicznej ludności o cudach i ozdrowieniach wielu nie tylko ogólnie szanowanych osób miejscowych, lecz nawet kieleckich czy krakowskich biskupów. Te i inne argumenty, ale i możliwość zarobienia na utrzymanie i remonty majątku zachęciły Sienkiewicza i Włodarkiewicza do założenia konsorcjum mającego zająć się eksploatacją źródła na przemysłową skalę. Brakujący kapitał wnieśli dodatkowo: Jan Sieklucki, ks. Zygmunt Chełmicki (działacz społeczny, publicysta i wydawca), mecenas Antonii Osuchowski (warszawski adwokat i doradca prawny wielu zamożnych ludzi i arystokratów, których skłaniał do przekazywania

„Kurier Poranny”, 1902, nr 248



Henryk Sienkiewicz (1846-1916)

środków na cele narodowe) i Mściława Godlewski (ziemianin, prawnik, publicysta i wydawca). Mimo że większość z nich na co dzień nie zajmowała się biznesem i pomnażaniem kapitału, to sporo o nim wiedziało z racji licznych, prowadzonych przez siebie akcji charytatywnych. Interes zapowiadał się bardzo lukratywnie, bo w planach było produkowanie nawet... jednego miliona półlitrowych butelek rocznie leczniczej wody, w cenie po 15 kopiejek za flaszkę. Jednym słowem konsorcjum miało „zalać” rynki Galicji i Królestwa, które rocznie konsumowały niecałe 70 tys. butelek minerałki.

Jako że według lekarzy od krenoterapii, czyli leczenia wodami mineralnymi, obłęgorska szcawowo-kwaśna woda dawała siłę i moc, to akcjonariusze postanowili nazwać eliksir mianem Ursus – zapożyczonym od nazwiska siłacza z *Quo vadis*. Nawiazująca do popularnej wówczas powieści Sienkiewicza nazwa miała jednocześnie zachęcić do używania swojskiego wyrobu w miejsce wydawania rubli na wody zagraniczne, np. kaukaski Narzan czy czesko-niemieckie Gießhübler i Apollinaris. ➔

Druga od lewej stoi Wanda Kronenberg





Władysław Czachórski, *Portret Jadwigi Sienkiewiczówny*, 1901 r.

Stosowne papiery podpisano, poszły pierwsze przelewy gotówki i jeszcze w maju 1902 r. przystąpiono do budowy rozlewni. Źródło osłonięto altaną w stylu zakopiańskim, według projektu młodzianki i uzdolnionej plastycznie córki wieszczki – Jadwigi Sienkiewiczówny. Rurami woda płynęła do okazałej stodoły, gdzie mieściły się płuczakarnia butelek, urządzenia do alkalizowania, maszyny do korkowania itd. W całej rozlewni miało pracować 50 osób. W jednej z warszawskich hut zamówiono butelki.

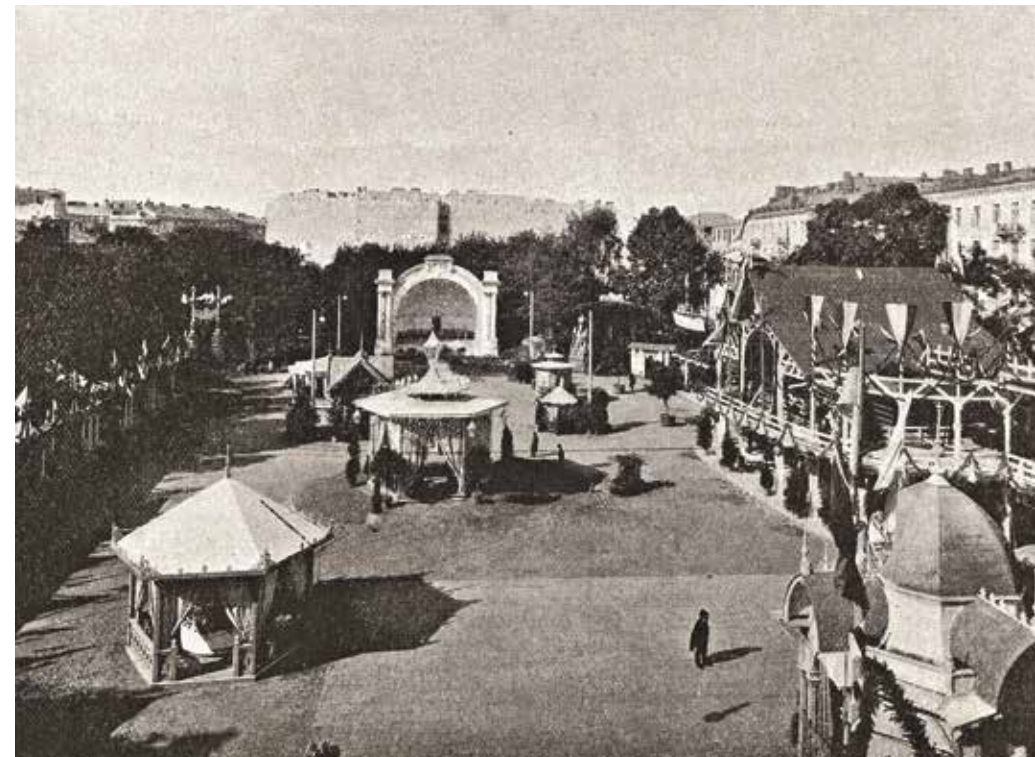
W lipcu na stację w Kielcach nadszedł pierwszy wagon butelek i... zaczęły się schody. Kamienisty, wyboisty trakt z Kielc do Obłęgorka i włościańskie wozy na drewnianych kołach skutecznie uszczupliły dostawę szkła prawie o jedną trzecią. Do pierwszego nieszczęścia doszły następne, gdy okazało się, że zarówno robotnicy, jak i sprowadzony z Kalisza kierownik nie opanowali swego rzemiosła zbyt dobrze i spora część butelek pękała po zakorkowaniu. Kolejnym zmartwieniem było, jak dowieźć na stację w Kielcach gotowy trunek. Pomysłowi włościanie wyściełali jednak furmanki miękkim sianem i w początkach września woda stołowa Ursus dotarła do warszawskich aptek Edwarda Treutlera, specjalizujących się w dystrybucji naturalnych wód mineralnych. Dosłownie na chwilę przed otwarciem wielkiej wystawy kucharsko-spożywczej w Dolinie Szwajcarskiej, gdzie miała nastąpić oficjalna premiera wody. W specjalnym pawilonie wybudowanym sumptem akcjonariuszy Włodarkiewicza i Siekluckiego wodę z pyska sączył tur z gipsu, stojący na tle wyobrażenia starożytniej studni rzymskiej. Secesyjne wejście do pawilonu kryjącego źródło ozdobiono dodatkowo

butelkami Ursusa, wśród których skryto pojemniki ze sztucznym lodem i zamrożonymi w nim kwiatami. Trzeba powiedzieć, że było to arcydzieło sztuki reklamowej i zgodnie z oczekiwaniami producentów warszawska klientela ustawiała się w kolejki po wodę dającą siłę i moc Ursusa. Felietonista popularnego tygodnika satyrycznego „Kolce”, kryjący się pod pseudonim „Poszkodowany”, tak opisywał moc trunku w zabawnej reklamie:

„Ostrzegam wszystkich, którym miły jest spokój, aby nie pili wody Ursus. Po wypiciu dwóch butelek wody rodzina moja uległa następującemu losowi:

1. Żona moja, kobieta niezmiernie łagodnego temperamentu, wybiła służącą bez najmniejszego powodu. W sądzie tłumaczyła się nadmiarem sił, zdobytych dzięki wodzie Ursus – wyrok – trzy tygodnie aresztu.
2. Syn starszy za złamanie trzech łątarń i wyrwanie z korzeniami drzewa w parku Ujazdowskim – pięć dni kozy.
3. Córka w pocałunku udusiła narzeczonego – uniewinniona, bo za karę zostanie starą panną.
4. Młodszy syn za pobicie o 10 lat starszego kolegi – wydalony ze szkoły.
5. Ja podałem się do dymisji, gdyż przy przepisaniu jakiegoś aktu (jestem kancelistą) – zламаłem 104 stalówki”.

Liczne ogłoszenia i reklama prasowa, obecna nawet w Paryżu, zaowocowały zdobyciem uznania wśród klientów, którzy nagrodzili medalami wyrób z Obłęgorka (Wilno 1902 r., Łódź 1903 r., Paryż 1904 r.) i odstawili zagraniczne „kryniczanki”. Zapotrzebowanie na wodę gwałtownie wzrosło, ale problemy produkcyjne nie chciały opuścić Obłęgorka. Co prawda po 1904 r. opanowano korkowanie poprzez pogrubienie szkła w butelkach, ale największą bolączką był



Wystawa kucharska w Dolinie Szwajcarskiej, 1902 r.



transport w obie strony na trasie wytwórnia – stacja w Kielcach. Mimo trudności tylko od 1 września do 31 grudnia 1903 r. udało się wyeksportować z Obłęgorka w świat ponad 30 tys. butelek Ursusa, co pozwoliło firmie zająć drugie miejsce wśród największych producentów wód mineralnych w Galicji i wyprzedzić wody z Iwonicza (8 tys. butelek), Szczawnicy (17 tys.), Krynicy (8,5 tys.), a nawet pobić zagranicznych konkurentów, którzy w 1903 r. dostarczyli ok. 20 tys. butelek (Vichy, Karlsbad-Bilin – Gießhübler).

W czerwcu 1904 r. Lubelskie Towarzystwo Lekarskie przyjęło wzorcową uchwałę dla innych towarzystw w Królestwie i Galicji, która zobowiązywała wszystkich członków (lekarzy, farmaceutów) do zaprzestania kupowania wód zagranicznych i sprzedaży wyłącznie krajowych. Woda Ursus miała być stosowana we wszystkich przypadkach, w których są wskazane węglany alkaiczne, m.in. w różnych stanach kataralnych błon śluzowych żołądka, jelit czy nosa lub też w utrzymaniu naturalnej równowagi w żołądku między kwasami i zasadami. Wreszcie miała wyeliminować z rynku ponad 30 wód zagranicznych: Apollinaris, Selters, Gießhübler, Billin, Faschingen, Neuenahr, Teinach. Krystalicznie czysta, naturalnie filtrowana piaskowcem woda Ursus

miała być najlepszą.

Mimo ogromnej popularności leczenia Ursusem koszty funkcjonowania konsorcjum były wysokie i nie przynosiły oczekiwanego zysku finansowego. Co prawda z roku na rok zwiększała się produkcja i poprawiała dystrybucja, ale w konkurencyjnej walce Ursus przegrywał z kaukaską wodą Narzan i czesko-niemiecką Gießhübler. W 1909 r. zaprzestano produkcji, a rok później rozwiązano konsorcjum. Tym samym woda dająca siłę i moc Ursusa zniknęła z rynku. Ale... niezupełnie.

W 2002 r. pewna kielecka firma zajmująca się produkcją wód mineralnych postanowiła reaktywować obłęgorskie źródło i rozpocząć jego eksploatację na masową skalę (do 60 tys. butelek dziennie!). W zamysłach właścicieli było nawet wspieranie finansowe z części zysków ze sprzedaży wody Muzeum Sienkiewicza w Obłęgorku i Towarzystwa Naukowego. Do realizacji pomysłu ze względów proceduralnych i geologicznych jednak nie doszło. Głównym oponentem było Muzeum Narodowe w Kielcach, które uważało, że wielkoprzemysłowa eksploatacja źródła może zagrozić pałacykowi.

Może to i dobrze, bo nowi eksploatatorzy mieli inną propozycję na nazwę wody. Miała zwać się – Sienkiewicz, a nie Ursus ze źródła Ursus. Podobno nazwa Ursus była pechowa. Czyżby byli przesadni? 🍀

Analiza wykonana przez inżynierów okręgu kielecko-lubelskiego w październiku 1903 r. wykazała, że w litrze wody ze źródła Ursus znajdowały się: dwuwęglan sodu – 1,3438, chlorek sodu – 0,2117, siarczan wapnia – 0,0153, siarczan magnezu – 0,0135, węglan magnezu – 0,0106. Woda pozbawiona była amoniaku i kwasu azotowego. Wydajność źródła wynosiła 124 litry na minutę („Kurier Kolejowy”, 1905, nr 97)

ŹRÓDŁA:

O użyciu wód galicyjskich w Królestwie, „Wiadomości Farmaceutyczne”, 1903, nr 19; Ursus – woda stołowa – naturalna szczawa alkaiczna, „Kurier Kolejowy”, 1905, nr 97; Ursus, „Kurier Poranny”, 1902, nr 146; Wystawa kucharsko-spożywcza, „Kurier Warszawski”, 1902, nr 259.

SPACERKI ST. OLICY

Stanisław Olica, w skrócie St. Olica, jest warszawiakiem z krwi i kości, z dziada pradziada, i nic, co warszawskie, nie jest mu obce. Spacery z nim po Warszawie Marii Terleckiej zastąpią nam jej zapiski z *Notatnika miastoluba*



Plac Radości

Maria Terlecka

Jeszcze nie tak dawno, przed pierwszym uderzeniem covidu, a może i wcześniej, może dużo wcześniej, na placu Hallera zamieszkała nuda. W pięknych okolicznościach placowej bujnej zieleni, między tętniącą fontanną, placem zabaw dla dzieci a siłownią, błakali się głównie emeryci. Robiący zakupy przysiadali na ławkach, żeby odsapnąć. Ławki. Siedzieli na nich ludzie trzeciego wieku, pod tętniącą też łapali oddech emeryci, czasem ławeczki zajmowali pijacy i bezdomni. Na placu zabaw dzieci niewiele było, na siłowni mało kto prostował kości i mięśnie. Nuda, której nie rozwiewał tzw. element. Czasami atrakcją był niejaki Manius, który lubił poleżeć przed wejściem do jednego dyskontu. Personel sklepu wzywał straż miejską, która sprawdzała, czy Manius żyje, a jeśli żyje, to czy pamięta swój pesel. O dziwo, pamiętał, choć sił wstać nie miał.

Przy tętni siedziały babcie z wnukami. Geriatria z domieszką dzieciństwa. Tak do niedawna było na placu Hallera – powiedział St. Olica, który nieopodal placu mieszka, czasami przysiadł przy tętni i podsłuchuje, co mówią niemłode kobiety. Przeważnie narzekają na synowe, służbę zdrowia, zwierają się z chorób, obgadują sąsiadów i zmuszają wnuki do słuchania tych opowieści jak bajek z mchu i paproci. Latem każą dzieciom wdychać głęboko solankę. Same zaciętrzewiają się w płytkim oddechu.

Aliści dzień 24 lutego wyrócił zastany poranek do góry nogami. Dotąd pustawy i senny plac Hallera ożył. Miejsce narzekań na uciążliwość dnia codziennego zajął żywioł pełen witalności, radości życia – to dzieci. Kobiety łapią oddech, zagospodarowują tymczasowość, martwią się o tych, co zostali w Ukrainie.

Dzieci – jak to dzieci – odreagowują stresujące trudy podróży do obcego kraju. W niepojętej radości cieszy je wszystko: piłki, hulajnogi, rowery, drabinki... Po alejkach placu biegają, jeżdżą na rowerkach, grają w „nogę”, wykrzykują swoją radość hałaśliwie, po ukraińsku, wciągają do zabaw polskie dzieciaki. St. Olica powiedział, że nie widać już znużonych maluchów, a w miejsce plot o banałach codzienności wszedł inny język, inne tematy. Alejkami krążą młode kobiety z dziećmi w wózkach. Plac Hallera odmłodniał.

Praga II jest dzielnicą starych ludzi. Polikwidowano na podwórkach place zabaw, piaskownice. Jediną atrakcją dla praskich maluchów został ogród jordanowski na rogu Namysłowskiej i Darwina oraz plac Hallera, który teraz ożył.

Nie słychać już: babciu, nudzę się. Dzieci szybko znajdują wspólny język, chociaż różni je właśnie... język. Tak teraz wyglądają wszystkie place zabaw w Warszawie – powiedział St. Olica – niestrudzony wędrowiec warszawski. 🍷



Rys. Maria Terlecka



J. Roqueblave

Jacek Fedorowicz

Wrzesień to miesiąc rozpoczynającego się roku szkolnego, choć w Warszawie nie zawsze. We wrześniu 1944 r. się nie rozpoczął. Żałowałem. Przedtem szkoła – na Marszałkowskiej, nie dochodząc Świętokrzyskiej – zapewniała mi stałe wycieczki do centrum wielkiego miasta. Moje Powiśle, owszem, trochę już wielkomiejskie było, ale dopiero jak człowiek wsiadł do „dwójki” na przystanku przy Wilanowskiej i wysiadł na Nowym Świecie, zanurzał się w prawdziwej wielkomiejskości. Na Czerniakowskiej się mieszkało, chodziło nad Wisłę, kupowało kajzerki, nici i agrafki. Banał. Atrakcje zaczynały się dopiero tam, na górze. Sklep futrzarski na Wareckiej z wypchanym lisem (jak żywy!), na Marszałkowskiej przy Sienkiewicza ogromny na całą wystawę model transatlantyku, płynący po szklanym błękitnym oceanie, do dziś pamiętam fale z białymi grzywami prute dziobem statku. Wielkie wrażenie robiły banki, ten na Jasnej przede wszystkim, i w ogóle ciągi zabudowy olśniewające przybyśza z dołu. Okazałe bramy z krasnoludkami chroniącymi kanty murów przed wjeżdżającymi na podwórka pojazdami, kariatydy i inne potężne ludzko-ptasio-zwierzęce towarzystwo, które wspaniałymi rzeźbami obsiadło kamienice. Ale i budynki, które klasyfikowałem sobie jako nowoczesne: „amerykańskie” pierwsze piętro całe przeszkolone, chyba na Brackiej, i dom towarowy Braci Jabłkowskich. Zielen pamiętam tylko z placu Napoleona. Poza tym wszystko wybrukowane – i bardzo dobrze, przecież zielen miałem u siebie, na dole, między naszym domem a Rozbrat było nawet regularne kartoflisko.

Trwa od dłuższego czasu dyskusja o betonozie. Plac Pięciu Rogów ma być jej niechlubnym przykładem. Nie będę się wtrącał w opinie fachowców, chcę tylko przypomnieć, że w mieście musi obowiązywać

Zaczyna się rok szkolny, kończy plac Pięciu Rogów

kompromis. Rozumiem tych Polaków, którzy po dekadach tonięcia w błocie okalającym wykwyty socjalistycznego budownictwa odetchnęli z ulgą, gdy dzięki chodnikom zafundowanym głównie przez UE nagle zaczęli docierać wszędzie suchą stopą. I tych, którzy po dekadach zaduchu we wnętrzach z nieotwieralnymi oknami nagle doczekali klimatyzacji. I tych, co po godzinach czekania na autobus nagle dochrapali się możliwości dotarcia wszędzie własnym samochodem. Ale nie pochwalam tych, co się zatracili

li w budowaniu sześciopasmowych autostrad w centrum miasta, i tych, co nastawiają klimatyzację tak, że nie da się przeżyć bez kożucha, lub tych, który betonują parki, by ustawić w nich drzewka w doniczkach. W Warszawie trwa coraz skuteczniejsza walka o równowagę i proponuję, żeby to zauważać, mimo że narzekanie jest przyjemniejsze.

Na koniec wrócę do wspomnień z trasy dojścia do szkoły w 1943 r. Idąc ulicą Zgoda, nagle zwróciłem uwagę na gablotę z plakatem wabiącym klientów do

lokalu z występami. Był wymalowany artysta grający na czymś, było nazwisko artysty i zdjęcie artysty. Spytałem babcię, która tego dnia pełniła dyżur odprowadzającej, dlaczego ten pan ma wielki nochal, pokraczne nogi i wybałuszone oczy, a babcia wyjaśniła, że to karykatura tego artysty ze zdjęcia. Zapamiętałem, co to karykatura, a dodatkowo zapamiętałem, że ta akurat zupełnie nie przypominała pana ze zdjęcia. Kiedy po latach zostałem karykaturzystą – zdarzył mi się taki okres w życiu – mając w pamięci tamten plakat, zawsze starałem się karykaturować tak, żeby znanej postaci nie trzeba było podpisywać. Dołączam rysunek bez podpisu. Z nadzieją, że rozpoznawalny. Na wszelki wypadek dodam ułatwienie, że to poseł bieżącej kadencji, wyróżniający się w walce o wyrwanie Polski z łap Unii Europejskiej. 🍷



Rys. Jacek Fedorowicz

KS „Warszawianka”

Ponad 10 lat trwały prace projektowe nad ośrodkiem sportowym KS „Warszawianka”. To niezwykle założenie krajobrazowe położone na skarpie było jednym z najciekawszych tego typu projektów zrealizowanych po 1945 r. Tymczasem niecała dekada wystarczyła, by zniszczyć to wybitne dzieło. Polska potransformacyjna bywała bezlitosna dla architektonicznych perełek doby PRL-u.

Prace nad stadionem rozpoczęły się w 1954 r. W tym roku zespół w składzie: Jerzy Sołtan (generalny projektant), Zbigniew Ihnatowicz (architektura), Wojciech Fangor (plastyka) i Franciszek Strynkiewicz (rzeźba) wygrał otwarty konkurs zorganizowany przez SARP. Rozległy teren położony przy ul. Puławskiej 101 z jednej strony dawał duże możliwości do popisu, z drugiej był wyzwaniem. Obejmował skarpę warszawską, łączącą Górny Mokotów z Dolnym Mokotowem. Sołtan z zespołem (w ramach prowadzonych przez architekta Zakładów Artystyczno-Badawczych na warszawskiej ASP) wykorzystał te specyficzne cechy terenu po mistrzowsku, tworząc rodzaj *land-artu*, sztuki ziemi, zanim to pojęcie na dobre zaczęło funkcjonować w sztuce. Kolejne elementy założenia wprowadzał tarasowo, jednocześnie wykorzystując walory krajobrazowe skarpy i widoku na pradolinę Wisły. W pierwszym etapie powstały: stadion lekkoatletyczny, boiska ćwiczeniowe z pawilonem sportowym i stadion tenisowy z tzw. pawilonem tenisowym (budynkiem sędziowskim). Uformowano także sztuczne wzgórze ze specjalnie zaprojektowaną abstrakcyjną rzeźbą, która stanowiła dominantę plastyczną założenia. Mistrzostwem myśli konstruktorskiej były zaprojektowane przez Lecha Tomaszewskiego mury oporowe. Do kolejnego etapu prac przystąpiono w 1964 r. Wtedy to powstał zespół odkrytych basenów położonych na górnej skarpie, kawiarnia i budynki klubowe. Działania zakończono w 1972 r. i w tymże roku SKS „Warszawianka” otrzymał zaszczytny tytuł Mistra Warszawy w konkursie organizowanym przez „Życie Warszawy”. Warszawiacy pokochali nowe miejsce. Szczególnie tłumnie odwiedzali je w okresie letnim, kiedy otwierano baseny.

W latach 90. zaczęto niszczyć poszczególne elementy założenia, nie bacząc na spójny i przemyślany charakter całości. W 1996 r. wyburzono otwarte baseny, a w ich miejscu zrealizowano park wodny „Warszawianka” (proj. Adrian Górecki, Paweł Tiepłow). Na miejscu dawnych brodzików dziecięcych postawiono zespół mieszkaniowy, który zatarł perspektywy widokowe. Stadion główny przestał pełnić funkcje sportowe i wraz z trybuną ulega stopniowej dewastacji. W miejscu dawnego boiska piłkarskiego zbudowano korty



Baseny na „Warszawiance” jeszcze pełne życia, 1973 r.

tenisowe. Przebudowano pawilon tenisowy, częściowo został zniszczony także mur oporowy. Dewastacji uległa nie tylko architektura – sam Klub Sportowy „Warszawianka” również podupadł. Zamknięto niektóre sekcje klubu, m.in. piłki nożnej i koszykówki (obecnie działają cztery sekcje: piłki ręcznej, tenisa, szermierki, lekkiej atletyki). O niegdyjszej pozycji Klubu przypominają nazwiska dawnych olimpijczyków, w tym Janusza Kucińskiego, Stanisławy Walasiewicz, Emila Ochry czy Witolda Gerutty.

W 2021 r. Klub Sportowy „Warszawianka” obchodził ważną rocznicę – 100-lecie swego powstania. Świętowano jednak skromnie i bez fanfar. Tak jak trudno obecnie dostrzec walory architektoniczno-krajobrazowe świadczące o dawnej świetności kompleksu, tak sportowa sława KS stała się pieśnią przeszłości. Klub ma jeszcze jedno zmartwienie: tocząca się przez lata sprawa sądowa między Miastem a Klubem o odebranie rozległego kompleksu sportowego (teren w 1992 r. został przekazany temu ostatniemu w użytkowanie wieczyste) została wygrana przez Miasto. Nie wiadomo, jakie będą dalsze losy wybitnego założenia architektoniczno-urbanistycznego. Zastanawia fakt, że procedowany od 2006 r. plan zagospodarowania przestrzennego dla tego terenu (ul. Merliniego, cz. II) nadal nie został uchwalony. Pomimo licznych działań społeczników – m.in. w 2016 r. z inicjatywy Tu było, tu stało, Muzeum Sztuki Nowoczesnej i Stowarzyszenia Okolska został przeprowadzony międzynarodowy konkurs architektoniczny na rewitalizację stadionu – impas w sprawie kompleksu sportowego „Warszawianka” trwa. 🗳

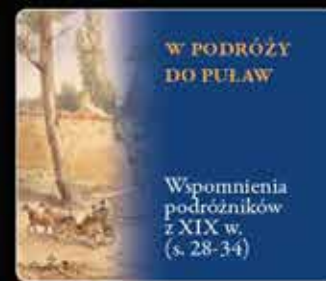
Patrycja Jastrzębska

„Stolica”, 1973, nr 22

SPOTKANIA Z ZABYTKAMI

INDEKS 377325 • ISSN 0137-222X

7-8 | LIPIEC-SIERPIEŃ 2022
CENA 21 ZŁ (W TYM 8% VAT)



Bernardo Bellotto

W 300. rocznicę urodzin malarza

23.09.2022 - 8.01.2023

Wystawa w Zamku Królewskim
w Warszawie

Bernardo Bellotto, *Plac Żelaznej Bramy* (fragment), Zamek Królewski w Warszawie

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Stowarzyszenie Miłośników Zamku
Królewskiego w Warszawie
Stowarzyszenie Miłośników
Kamienicy w Warszawie

Organizatorzy



Bellotto
300

Stowarzyszenie
Kamienicy w Warszawie
Stowarzyszenie
Miłośników
Kamienicy

Mecenas Zamku Królewskiego



Partner Strategiczny



Partnerzy Jubileuszu



Patroni Medialni

